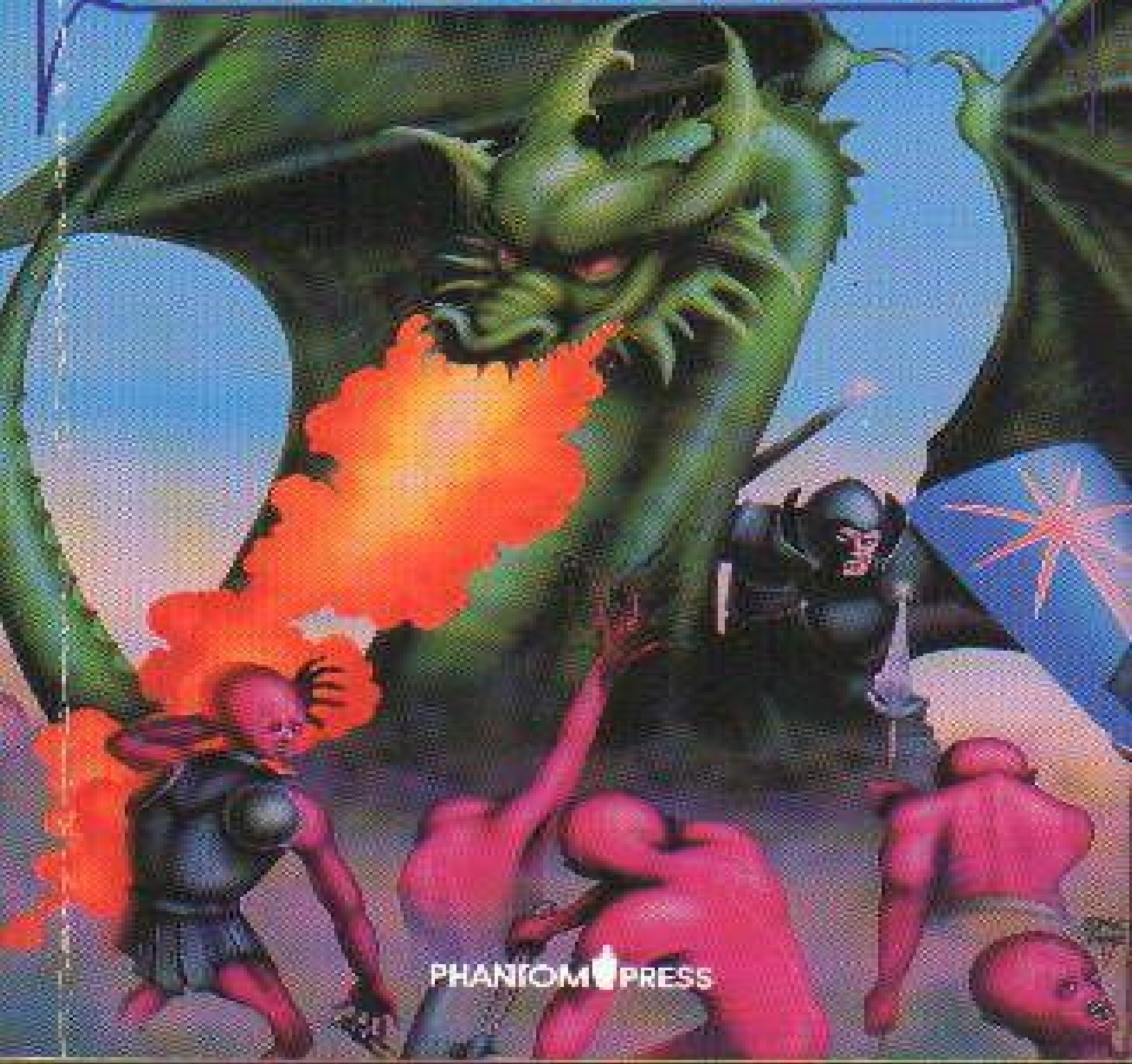


SAMUEL R. DELANY

POWIEŚĆ ZDOBYŁA NAGRODĘ NEBULĄ W 1967 ROKU

PUNKT EINSTEINA



PHANTOM PRESS

Samuel R. Delany

Punkt Einsteina

Przełożył Grzegorz Rąkowski

The Einstein Intersection

En – 1967

Pl – 1992

*Dla Dona Wollheima,
Człowieka odpowiedzialnego pod każdym względem,
Za to , co jest wewnątrz,
i dla Jacka Gaughana
za to, co jest na zewnątrz.*

To ubarwia ten nasz zabawno-zwierzęcy świat.

James Joyce, Przebudzenie Finnegana

Nie twierdzą jednak, że każda uluda czy wędrówka umysłu winna być nazywana szaleństwem.

Erazm z Rotterdamu, Pochwała głupoty

Wewnątrz mej maczety jest pusty cylinder z szeregiem otworów, ciągnący się od rękójści po ostrze. Kiedy dmucham w ustnik znajdujący się w rączce, moja broń dźwięczy muzyką. Gdy wszystkie dziurki są zakryte, dźwięk jest smutny i nieco chropawy, nie na tyle jednak, by nie móc nazwać go łagodnym. Gdy wszystkie dziurki są otwarte, wysoki dźwięk rozbrzmiewa wokoło, przywołując na myśl rozbłyśki słońca na wodzie lub w okrucach metalu. Otworów jest dwadzieścia. Mam na imię Lobey, ale od czasu jak zacząłem grywać na mym instrumencie, znacznie częściej nazywają mnie głupcem, używając przy tym różnych odmian tego określenia.

Jak wyglądam?

Brzydki i niemal stale szczerzący zęby. Ogrom nosa, szare oczy i szerokie usta, wszystko to sfłoczone na małej brązowej twarzy, która byłaby odpowiednia dla lisa. Otacza ją nastroszona gęstwa przędzy w kolorze mosiądzu, czyli moje włosy. Obcinam je maczetą mniej więcej co dwa miesiące, ale szybko odrastają, co jest dziwne, bo pomimo moich dwudziestu trzech lat nie rośnie mi jeszcze broda. Mam sylwetkę jak figura używana do gry w kręgle: uda, łydki i stopy człowieka (goryla?) dwukrotnie wyższego ode mnie (mam około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu) oraz stosowne do tego biodra. W roku, w którym się urodziłem, pojawił się cały szereg noworodków hermafrodytów. Według znachorów również ja mógłbym być jednym z nich. Nie chce mi się jakoś w to wierzyć.

Jak powiedziałem, jestem brzydki. Palce u stóp mam prawie tak długie jak u rąk, a największy z nich jest częściowo przeciwstawny. Niech to jednak nikogo nie śmieszy, dzięki takim stopom uratowałem życie Małemu Jonowi.

Wspinaliśmy się wtedy na górę Beryl Face, ślizgając się na szklistych skałach, gdy nagle Mały Jon stracił równowagę i zawisł nad przepaścią na jednej ręce. Ja również wisiałem na rękach, ale wysunąłem w dół stopę, złapałem go za nadgarstek i wciągnąłem na górę.

Pamiętam, że Lo Hawk splótł wówczas ręce na swej skórzanej koszuli, mądrze skinął głową, tak że jego broda podskoczyła na węzłowatej szyi, i powiedział:

– A cóż, u licha, dwaj młodzi Lo robili na Beryl Face? To niebezpieczne, a my unikamy niebezpieczeństw, wiecie o tym. Liczba urodzeń ciągle spada, i nie możemy sobie pozwolić na bezmyślne trwanie naszej produktywnej młodzieży.

Oczywiście, ta liczba wcale się nie zmniejsza. Lo Hawk miał po prostu na myśli, że liczba całkowicie normalnych noworodków spada. Ale urodzeń jest bardzo dużo. Lo Hawk jest z pokolenia, w których liczba niefunkcyjnych, idiotów, mongoloidów i kretynów wynosiła grubo ponad

pięćdziesiąt procent. Obecnie jednak mimo wszystko rodzi się znacznie więcej osobników funkcjonalnych niż niefunkcjonalnych, więc nie ma się czym przejmować.

W każdym razie, ku mojemu wstydnemu, obgryzam nie tylko paznokcie u rąk, ale także i u nóg.

Przypominam sobie teraz, jak siedziałem u wylotu Jaskini, gdzie z ciemności wypływał strumień i sierpem światła spadał między drzewa. Na skale obok mnie wygrzewał się wielki jak moja pięść pająk, z gatunku żywiących się krwią, a jego odwłok pulsował po bokach, wywołując drżenie zwieszających się nad nim liści. Potem nadeszła La Carol z koszem owoców i dzieckiem pod pachą. (Kiedyś mieliśmy sprzeczkę, czy jest ono moje, czy też nie. Jednego dnia miało moje oczy, mój nos, moje uszy. A następnego: “Nie widzisz, że to dziecko Lo Easy’ego? Popatrz, jakie jest silne!” Potem oboje zakochaliśmy się w innych osobach i teraz znów jesteśmy przyjaciółmi). Dziewczyna spojrzała na mnie, zrobiła minę i zapytała:

– Co robisz, Lo Lobey?

– Obgryzam paznokcie u nóg. A co myślałaś?

– Naprawdę? – Potrząsnęła głową i powędrowała przez las do wioski.

Obecnie najchętniej wyleguję się na płaskiej skale, śpię, rozmyślam, gryzę paznokcie lub ostrzę maczetę. Mam prawo. Tak mi powiedziała La Dire.

Jeszcze nie tak dawno Lo Mały Jon, Lo Easy i Lo ja paśliśmy razem kozy (to właśnie robiliśmy na Beryl Face – szukaliśmy pastwisk). Tworzyliśmy świetne trio. Mały Jon, chociaż o rok starszy ode mnie, do śmierci będzie wyglądał jak mały, czarny czternastolatek o skórze gładkiej jak wulkaniczne szkliwo. Może się on tylko pocić przez dłonie, podeszwy stóp i język (nie ma prawdziwych gruczołów potowych i sika tak często jak diabełek pierwszego dnia zimy lub jak bardzo nerwowy pies). Zamiast włosów ma srebrną siateczkę, nie białą – srebrną. Pigment oparty jest na czystym metalu, a czarne zabarwienie skóry wywołują białka uformowane wokół tlenu. Ani śladu tej rdzawobrazowej melaniny, która tworzy opaleniznę u mnie i u innych. Mały Jon jest prostoduszny; śpiewa, biega i skacze wokół kóz, błyskając srebrną głową, łonem i pachami, aby zatrzymać się nagle, zadrzeć nogę (jak nerwowy pies, tak) przy pniu drzewa i patrzeć wokół zawstydzonymi czarnymi oczyma. Gdy się śmieje, jego oczy promieniają tak samo jasnym światłem (jednak o innym odcieniu) jak jego błyszcząca głowa. Mały Jon ma pazury. Twarde, ostre i spiczaste; moje paznokcie prezentują się przy nich bardzo niepozornie. W każdym razie nie chciałbym być w skórze tego, na kogo Mały Jon się wścieknie.

Easy z kolei jest wielki (ma prawie dwa i pół metra), owłosiony (jego włosy koloru umbry wiją się aż do pasa, tworząc loczki na brzuchu), silny (te sto pięćdziesiąt kilo Easy’ego to naprawdę kawał skały wtłoczony w skórę pofałdowaną od zrogowaciałych wyrostków mięśni) i łagodny. Kiedyś wściekłem się na niego, gdy jedna z płodnych kóz wpadła do komina skalnego.

Widziałem, na co się zanoszą. To była wielka ślepa koza, która od ośmiu lat dawała nam wspaniałe, zdrowe trojaczki. Stałem na jednej nodze, rzucając kamienie i kije pozostałymi trzema kończynami. Easy’ego trzeba wałnąć kamieniem w głowę, żeby zwrócić jego uwagę; był znacznie bliżej kozy.

– Uwważaj, ty niefunkcjonalny mongoloidzie, nie zasługujący na “Lo”! Ona zaraz wpadnie do...

I wtedy właśnie wpadła.

Easy przestał na mnie patrzeć z twarzą mówiącą czemu-rzucasz-we-mnie-kamieniami i zobaczył kozę rozpaczliwie usiłującą zatrzymać się na krawędzi; zanurkował za nią, ale jej nie złapał, i oboje zaczęli beczeć. Zaklinował się biodrami pomiędzy dwiema skałami. Wyciągnąłem go stamtąd z niemałym trudem. Easy darł się wniebogłosy.

Potem kucnął na krawędzi skały, a łzy toczyły się po jego futrzastych policzkach. Koza skręciła kark na dnie komina. Easy spojrział na mnie i powiedział:

– Nie sprawiaj mi już więcej bólu, Lobey. To – przetarł pięścią swoje błękitne oczy i wskazał na dół – rani mnie już i tak zbyt mocno.

Co można zrobić z takim Lo? Easy także ma pazury. Używa ich jednak tylko do wspinania się na ogromne palmy i zrywania dla dzieci owoców mango.

Ogólnie jednak świetnie dawaliśmy sobie radę z kozami.

Kiedyś Mały Jon skoczył z gałęzi dębu lwu na grzbiet i rozerwał mu gardło, zanim ten zdołał się zbliżyć do stada. (Potem wstał znad martwego cielska, otrząsnął się i poszedł za skałę, oglądając się przez ramię). Innym razem Easy, mimo że jest taki łagodny, strzaskał głowę niedźwiedziowi za pomocą kłody. Ja natomiast mogłem posługiwać się maczetą, używając wszystkich czterech kończyn. W razie potrzeby byłem lewostopy i praworęczny lub vice versa. Tak, świetnie dawaliśmy sobie radę.

Ale to się już skończyło.

Z powodu Frizy.

“Friza” czy “La Friza” – to było zawsze przedmiotem debat starszyny i głównych znachorów, którzy weryfikowali tytuły. Wyglądała normalnie: szczupła, o brązowej cerze, pełnych ustach, szerokim nosie i oczach koloru mosiądzu. Przypuszczam, że mogła się urodzić z sześcioma palcami u jednej z rąk, ale ponieważ ten dodatkowy palec był niesprawny, jakiś wędrowny znachor go amputował. Jej włosy były czarne i sprężyste, przewiązywała je znaną czerwoną wstążką, chociaż strzygła się krótko. Tego dnia włożyła bransolety i mnóstwo sznurów miedzianych paciorków. Była piękna.

I niema. Kiedy była dzieckiem, trzymano ją w klatce razem z innymi niefunkcjonalnymi, ponieważ się nie poruszała. Nie przysługiwało jej “La”. Pewnego dnia dozorca odkrył, że jest tak żywa jak cień wiewiórki. Nie poruszała się dotąd, bo po prostu nie chciała, ale już od urodzenia wiedziała, jak to robić. Zabrano ją z klatki i otrzymała swoje “La”. Lecz gdy miała osiem lat, kiedy stało się oczywiste, że ta piękna sierota jest niema, straciła “La”. Teraz jednak nie mogli jej tak po prostu z powrotem zamknąć. Była funkcjonalna, plotła koszyki, uprawiała ziemię i świetnie polowała za pomocą lassa. To właśnie wtedy zaczęły się owe debaty.

Lo Hawk zaczynał:

– Za moich czasów “La” i “Lo” były zarezerwowane dla całkowicie normalnych. Staliśmy się bardzo tolerancyjni, nadając te tytuły symbolizujące czystość każdemu funkcjonalnemu, który miał nieszczęście urodzić się w tych ciężkich czasach.

La Dire odpowiadała na to:

– Czasy się zmieniają i od trzydziestu lat stało się już niepisany prawem, że “La” i “Lo” przysługuje każdej funkcjonalnej istocie urodzonej w naszym nowym domu. Kwestią jest tylko, jak daleko rozciągnąć definicję funkcjonalności. Czy zdolność do komunikacji werbalnej jest warunkiem *sine qua non*? Ona jest inteligentna, uczy się szybko i sumiennie. Jestem za “La Friza”.

Podczas gdy dyskutowano jej status socjalny, dziewczynka siadywała przy ognisku i bawiła się białymi kamykami.

– Początek końca, początek końca – mruczał Lo Hawk. – Musimy coś zachować.

– Koniec początku – zachnęła się La Dire. – Wszystko musi się zmienić.

Ich stanowiska były niezmiennie, odkąd pamiętam.

Kiedyś, zanim się urodziłem, jak opowiadają, Lo Hawkowi znudziło się życie w wiosce. Plotki głosiły, że pojechał na jeden z księżyców Jowisza, by wydobywać jakiś metal, którego błękitne żyły niczym robaki przenikały tamtejsze skały. Mówiono, że potem odleciał stamtąd. Od tego czasu datuje się spokojny spór, który połączył ich mocniej niż miłość.

– ...zachować – Lo Hawk.

– ...zmienić – La Dire.

Zazwyczaj Lo Hawk dawał za wygraną, ponieważ La Dire była kobietą odczytaną, o dużej kulturze i rozsądku; Lo Hawk był w młodości świetnym myśliwym i świetnym wojownikiem, jeśli zaszła potrzeba. Był jednak na tyle mądry, że rozumiał, iż teraz takiej potrzeby już nie ma. Tym razem jednak Lo Hawk nie dawał za wygraną.

– Porozumiewanie się jest ważne, jeśli kiedykolwiek mamy stać się ludźmi. Zamiast niemego dziecka wolałbym już raczej jakiegoś psa o krótkim pysku, który zszedłby ze wzgórz i był w stanie opanować czterdzieści czy pięćdziesiąt naszych słów, aby wyrazić swe pragnienia. Ach, te bitwy, które widziała moja młodość! Gdy walczyliśmy z gigantycznymi pajakami czy gdy fala grzybów wypełzła z dżungli albo gdy za pomocą wapna i soli zniszczyliśmy dwudziestometrowe ślimaki, które wylazły z ziemi; wszystkie te bitwy wygraliśmy, ponieważ mogliśmy do siebie mówić, wykrzykiwać polecenia, ostrzegać się wrzaskiem, czy też szeptem układać plany w mroku jaskiń. Tak, prędzej bym dał “La” lub “Lo” mówiącemu psu!

Ktoś skomentował złośliwie:

– Skoro tak, to równie dobrze mógłbyś dać jej “Le”!

Niektórzy parsknęli śmiechem. Ale starsi są bardzo dobrzy w ignorowaniu tego rodzaju oznak braku szacunku. Wiadomo, że każdy ignoruje “Le”. Tak czy inaczej sporu nie rozstrzygnięto. O zachodzie księżyca ludzie zaczęli się rozchodzić i ktoś zaproponował zakończenie obrad. Zebrani podnosili się, stękając i z chrzęstem rozprostowując zmartwiałe kończyny, Friza, ciemna i piękna, wciąż bawiła się kamykami.

Jak pamiętacie, dziewczynka nie poruszała się jako niemowlę, a jednak wiedziała, jak to robić. Obserwując ją (podobnie jak ona miałem wtedy osiem lat), po raz pierwszy zacząłem się domyślać, dlaczego stale milczy: podniosła jeden z kamyków i rzuciła w faceta, który zrobił uwagę na temat “Le”. Już w wieku ośmiu lat była wrażliwa. Nie trafiła; tylko ja to widziałem. Widziałem także grymas, który wykrzywił jej twarz, wysiłek ramion i sposób, w jaki skurczała palce u nóg (siedziała po turecku), gdy rzucała kamyk. Obie pięści spoczywały zaciśnięte na kolanach. Nie użyła rąk czy stóp. Kamyk po prostu uniósł się z ziemi, śmignął w powietrzu, chybił celu i zaszleścił, przelatując przez nisko zwieszony liście. Ale ja widziałem: ona go rzuciła.

Od tygodnia każdej nocy włoczyłem się po opustoszałych nabrzeżach. Pałace tłoczyły się po lewej, a migotliwe światelka rysowały sylwetkę portu w mroku ciepłej jesieni. Pisanie idzie mi dziwnie. Dzisiejszego wieczora, gdy powróciłem na wielką trapezoidalną Piazza, mgła dosięgła wierzchołków czerwonych masztów flagowych. Usiadłem u podstawy masztu najbliższego wieży i zacząłem robić notatki dotyczące trosk Lobeya. Później porzuciłem schyłkowy przepych Bazyliki i wędrowałem bocznymi uliczkami, aż zrobiło się dobrze po północy. W pewnej chwili zatrzymałem się na jednym z mostków, aby popatrzeć na wąski kanał biegnący pomiędzy wysokimi ścianami i na zwieszające się nad nim nocne latarnie oraz sznury bielizny. Nagły wrzask gwałtownie wyrwał mnie z zadumy: pół tuzina przeraźliwie miauczących kotów przemknęło obok moich nóg i pognęło za brązowym szczurem. Ciarki przeszły mi po plecach. Znowu spojrzałem na wodę: sześć kwiatów – róż – wypłynęło spod mostu, torując sobie drogę przez warstwę ropy. Obserwowałem je, dopóki nie zabrała ich klaszcząca o fundamenty fala, wywołana przez motorówkę przepływającą pobliskim większym kanałem. Powędrowałem ku Canale Grandę, przechodząc przez kilka wąskich mostków; tam złapałem vaporetto do Ferovii. Gdy przepływaliśmy pod ciemnym drewnianym łukiem Ponti Academia, zrobiło się wietrznie. Próbowałem w myślach połączyć kwiaty i rozwścieczone zwierzęta z przygodami Lobeya. Czuję, że każdy z tych elementów można by wykorzystać w mojej opowieści, ale jeszcze nie wiedziałem jak. Orion migotał na wodzie. Światła nabrzeża zadrżały w kanale, gdy przepływaliśmy pod ociekającymi wodą kamieniami Rialto.

Dziennik pisarza, Wenecja, październik 1965

W kilku słowach opowiem, jak w pierwszych latach życia Maldoror był prawy i szczęśliwy. A później odkrył, że urodził się człowiekiem złym. Cóż za fatalne zrządzenie losu!

Isidore Ducasse (hrabia de Lautreamont), Pieśni Maldorora

Po tym prologu opowiem wam, dlaczego Easy, Mały Jon i ja nie pasiemy już kóz.

Friza, smągła i tajemnicza, zaczęła chodzić za nami jak cień. Biegała i skakała z Małym Jonem, w podwójnym tańcu w takt jego piosenki, siłowała się na niby z Easym i spacerowała, trzymając mnie za rękę, po porośniętych jeżynami łąkach. Nie mówi się “La” czy “Lo” do kogoś, z kim pasie się kozy, zaśmiewa się do łez albo z kim się kocha. Wszystko to robiłem z Frizą. Mogła godzinami siedzieć, patrząc na mnie, nieruchoma jak głaz, nie bacząc na liście drżące przy jej twarzy. Albo przedzierać się do mnie przez głazowiska pełne odłamów skalnych, zwinna i pełna gracji. A gdy trzymałem ją w ramionach – śmiała się, to był jedyny dźwięk, jaki wydawała i bardzo go lubiła.

Wniosła w moje życie wiele piękna. I oddalała od nas wszelkie niebezpieczeństwa. Myślę, że robiła to w ten sam sposób, jak rzuciła tamten kamyk. Pewnego dnia stwierdziłem, że złe i groźne sytuacje po prostu się nam nie zdarzają. Żadnych lwów, żadnych nietoperzy-kondorów. Kozy trzymają się razem, kozłeta się nie gubią i nie zbliżają do przepaści.

- Mały Jonie, nie musisz wychodzić dziś rano.
- Słuchaj, Lobey, jeśli myślisz...
- Daj spokój, zostań w domu.

Tak więc Easy, Friza i ja wyprowadziliśmy kozy.

Piękne rzeczy są jak stado białoskrzydłych jastrzębi, które usiadły na łące. Lub jak samica świstaka przynosząca swe małe, aby je nam pokazać.

– Easy, tu nie ma dostatecznie dużo pracy dla nas wszystkich. Czemu nie znajdziesz sobie czego innego do roboty?

– Ale ja lubię tu przychodzić, Lobey.

– Friza i ja damy sobie radę ze stadem.

– Ale ja nie...

– Spływaj, Easy.

Coś tam jeszcze odpowiedział, na co ja podniosłem kamień i zważyłem go w dłoni. Skonfundowany, oddalił się wreszcie, powłócząc nogami. Tak potraktować Easy'ego!

Friza i ja mieliśmy więc całą łąkę i stado tylko dla siebie. Było dobrze i pięknie. I było mnóstwo nie zapamiętanych kwiatów na stokach, po których biegaliśmy. Jeśli były tam jakieś jadowne węże – to umykały w popłochu, nie usiłując nawet się skryć. I, ach, jak ja wtedy grałem!

Coś ją zabiło.

Ukryła się w zagajniku leniwych wierzb, których gałęzie zwieszają się jeszcze niżej niż gałęzie wierzb płaczących. Szukałem jej, nawołując i śmiejąc się, gdy nagle krzyknęła rozpaczliwie. To był jedyny dźwięk, oprócz śmiechu, jaki kiedykolwiek słyszałem z jej ust. Kozy zaczęły beczeć.

Znalazłem ją pod drzewem; leżała z twarzą zwróconą ku ziemi.

Przeraźliwe beczenie kóz wypełniało łąkę. Milczałem zdumiony i oszołomiony własną rozpaczą.

Zaniósłem ją do wioski. Pamiętam wyraz twarzy La Dire, kiedy przeszedłem przez wioskowy plac z bezwładnym ciałem w ramionach.

– Lobey, co się... jak ona... o nie, Lobey, nie!

Tak więc Easy i Mały Jon z powrotem przejęli stado, a ja od tego czasu zwykłem siadywać u wejścia do jaskini, gdzie ostrzę maczetę, obgryzam paznokcie, śpię i rozmyślam, samotny na płaskiej skale. Tu właśnie rozpoczęła się nasza opowieść.

Pewnego dnia przyszedł do mnie Easy.

– Hej, Lobey, pomóż nam przy kozach. Lwy wróciły. Nie jest ich wiele, ale mógłbyś się przydać. – Przykucnął, górując nade mną swym potężnym ciałem, i pokręcił głową. – Biedny Lobey – powiedział i pogłaskał mnie owłosionymi palcami po szyi. – Potrzebujemy cię. Ty potrzebujesz nas. Pomożesz nam poszukać dwu zbłąkanych koźląt?

– Odejdź.

– Biedny Lobey – powtórzył. Ale odszedł.

Później przyszedł Mały Jon. Stał w pobliżu przez minutę, myśląc, co by tu powiedzieć. Ale kiedy już coś wymyślił, musiał pójść za krzak; zawstydzilo go to i już nie wrócił.

Przyszedł także Lo Hawk.

– Chodź zapolować, Lo Lobey. Widziano byka o kilometr stąd na południe. Mówią, że miał rogi długie jak twoje ramię.

– Dziś czuję się raczej niefunkcjonalny – odparłem.

Oddalił się chrząkając. Na temat tych rzeczy nie należy żartować z Lo Hawkiem. Ale ja po prostu nie byłem w stanie zważać na jego archaiczne maniery.

Jednak gdy przyszła La Dire, było inaczej. Jak już mówiłem, jest ona bardzo rozsądna i mądra. Przyniosła książkę, usiadła na mojej skale i ignorowała mnie przez godzinę. Aż się wściekłem.

– Co tu robisz? – zapytałem wreszcie.

– Prawdopodobnie to samo co ty.

– Czyli co?

Spojrzała na mnie surowo.

– Czemu mi nie powiesz?

– Ostrzę maczetę.

– A ja ostrzę swój umysł – powiedziała. – Jest coś, co musi być zrobione, a będzie to wymagało zarówno bystrości umysłu, jak i ostrej maczety.

– Hę?

– Czy w ten nieartykułowany sposób chciałeś zapytać, co miałam na myśli?

– Hę? – powtórzyłem – Taaa. Co miałaś na myśli?

– Trzeba zabić to coś, co zabiło Frizę. – Zamknęła książkę. – Pomożesz?

Pochyliłem się, zaciskając w pięści stopy i dłonie, otwarłem usta i postać La Dire rozplynęła się we łzach, które wypełniły mi oczy. Plakałem. Po tym wszystkim co przeszedłem, byłem zdumiony, że jeszcze jestem do tego zdolny. Oparłem czoło o skałę i ryczałem.

– Lo Lobey – powiedziała w podobny sposób jak Lo Hawk, ale inaczej. Potem pogładziła moje włosy, jak Easy. Tylko inaczej. Kiedy odzyskałem kontrolę nad sobą, czułem jednocześnie jej współczucie i zakłopotanie. Podobnie jak czułem to u Małego Jona, a jednak było to coś innego.

Leżałem zwinięty w kłębek i łkałem. La Dire głaskała mnie po ramieniu i nieforemnym biodrze, starając się ukoić mnie swą łagodnością i słowami:

– Pomówmy o mitologii, Lobey. Albo po prostu posłuchaj. Mieliśmy trochę czasu, aby zrozumieć racjonalne zasady, którymi rządzi się ten świat. Nie mniejszy problem stanowią rzeczy irracjonalne. Pamiętasz legendę o Beatlesach? Pamiętasz, jak Beatles Ringo zostawił swą ukochaną Maureen, mimo iż traktowała go bardzo czule? On był tym Beatlesem, który nie śpiewał, wiemy to z najwcześniejszych wersji tej legendy. Po nocy po ciężkim dniu on i reszta Beatlesów zostali rozdzieleni przez tłum wrzeszczących dziewcząt, by w końcu powrócić z wielkim rock and rolliem, połączeni już na zawsze.

Położyłem głowę na kolanach La Dire. Mówiła dalej:

– Ten mit jest wersją znacznie starszej historii, która nie jest zbyt dobrze znana. W tamtych odległych czasach nie było żadnych 45-ek i 33-ek. Jest tylko kilka wersji pisanych. Niestety, dzisiejsza młodzież raptownie traci zainteresowanie nauką czytania. W tej starszej historii Ringo zwany był Orfeuszem. Jego też uwielbiały rozwrzeszczane dziewczęta. Ale szczegóły mówią co innego. Stracił swą ukochaną – w tej wersji: Eurydykę – która poszła prosto do wielkiego rock and rolla. Orfeusz musiał również tam pójść, aby ją wydostać. Udał się tam śpiewając, bowiem w tej wersji, odmiennie niż w opowieści o Beatlesach, był on największym śpiewakiem. W legendach różne rzeczy przekształcają się w swe przeciwieństwa, w miarę jak jedne wersje mitów zastępują inne.

– Jak on mógł pójść do wielkiego rock and rolla? Przecież stamtąd się nie wraca.

– Zrobił to.

– Czy wyprowadził ją stamtąd?

– Nie.

Spuściłem wzrok ze starej twarzy La Dire i odwróciłem głowę, ciągle spoczywającą na jej kolanach.

– Więc kłamał. Na pewno tam nie poszedł. Prawdopodobnie zniknął w lesie na kilka dni i wymyślił jakąś historyjkę, gdy wrócił.

– Być może – odparła La Dire.

Znów na nią spojrzałem.

– Chciał, żeby wróciła – powiedziałem. – Wiem, że tego chciał. Jeśli więc znalazł się tam i jeśli byłaby choćby najmniejsza szansa wydostania jej, nie wróciłby bez niej. Dlatego wiem, że kłamał. To znaczy, kłamał jeśli chodzi o wyprawę do wielkiego rock and rolla.

– Życie jest rytmem – rzekła La Dire, gdy się podniosłem. – A śmierć jest zawieszeniem rytmu, synkopą przed zmartwychwstaniem.

Podniosła moją maczetę.

– Zagraj coś – powiedziała, kierując rękojęść w moją stronę. – Zagraj.

Podniosłem instrument do ust, przewróciłem się na plecy, obróciłem dokoła jasne, niebezpieczne ostrze i zagrałem. Stało się to wbrew mej woli; dźwięki formowały się w zagłębieniu języka, a mój oddech przenosił je do wnętrza maczety.

Niski, długo brzmiący dźwięk. Zamknąłem oczy, czując każdą nutę w czworokącie mięśni, ramion i pośladków przyciśniętych do skały. Dźwięki powstawały zgodnie z rytmem mojego oddechu, mięśnie palców moich nóg i rąk zaczęły drgać, przystosowując się do szybszego taktu serca. Rozpoczął się żałobny hymn.

– Lobey, kiedy byłeś chłopcem, często uderzałeś w skały stopami wybijając rytm, tańcząc, bębniąc. Bębnij, Lobey!

Pozwoliłem melodii przyspieszyć, obniżając ją o oktawę, tak bym mógł się z nią bez kłopotu uporać – to znaczy, bym mógł ją grać tylko za pomocą rąk.

– Bębnij, Lobey!

Poderwałem się na nogi i zacząłem klaskać podeszwami stóp o skałę.

– Bębnij!

Zobaczyłem, jak mój znajomy pajak umyka w popłochu. Muzyka śmiała się. Uderzenie za uderzeniem, trele i szczebioty; La Dire również zaczęła się śmiać do mnie, a ja grałem, zgarbiony, aż pot wystąpił mi na kark i ściekał po kręgosłupie. Nieruchomy powyżej pasa, kręciłem biodrami, wybijając krzyżujące się rytmy za pomocą palców stóp i pięt, trzymając w górze ostrze celujące w słońce, a nowy pot, ściekający zza uszu, toczył się po mojej pomarszczonej szyi.

– Bębnij, mój Lo Ringo, graj mój Lo Orfeusza! – krzyczała La Dire. – Och, Lobey! – Klaskała bez przerwy.

Później, kiedy jedynymi dźwiękami były tylko mój oddech, szmer liści i strumienia, skinęła głową uśmiechając się i powiedziała:

– Teraz wyraziłeś swój żal w sposób właściwy.

Skierowałem wzrok w dół. Piers błyśzczała mi od potu, żołądek rytmicznie kurczył się i

rozkurczał. Pył pod moimi stopami stał się brązowym błotem.

– Jesteś już prawie gotowy do tego, co musi być zrobione – powiedziała La Dire. – Idź teraz, paś kozy, graj. Wkrótce Le Dorik przyjdzie po ciebie.

Wszystkie dźwięki we mnie zamarły. Oddech i bicie serca także. Synkopa, zanim rytm powrócił.

– Le Dorik?

– Idź. Ciesz się życiem, zanim zaczniesz swą podróż.

Przerażony, potrząsnąłem głową i uciekłem z mojej skały. Le...

Nagle małe wędrujące bestie czmychnęły, zostawiając na mych kolanach – o zgrozo! – posuwając się w stronę elektrycznego ogrodzenia. Prawdopodobnie to coś niedługo umrze. Skądś dalej dochodził śmiech Grigi; był “Lo Grigą” aż do swych szesnastych urodzin. Ale coś – nikt nie wie, czy była to wada genetyczna, czy nie – popsuło mu mózg i niepohamowany śmiech zaczął tryskać z jego ust. Stracił swe “Lo” i został umieszczony w klatce. Le Dorik był prawdopodobnie gdzieś w środku, rozdzielając żywność, lecząc, tam gdzie leczenie mogło przynieść jakąś ulgę, lub zabijając, gdy jakiś osobnik nie kwalifikował się już do leczenia. Tak wiele smutku i przerażenia stłoczono tutaj; trudno było pamiętać, że wszyscy oni są ludźmi. Nie mają tytułów oznaczających czystość, ale są ludźmi. Nawet Lo Hawka gorszyły żarty na temat zamkniętych, w równym stopniu jak dyskusje o niektórych utytułowanych obywatelach.

Nie wiecie, co oni z nimi robili, gdy byłem chłopcem. Nigdy nie widzieliście, jak byli wywlekani z dżungli ci nieliczni, którym się udało przeżyć. Nie widzieliście, w jaki barbarzyński sposób działali ci całkowicie normalni, jak potworny strach zabijał w tych biednych istotach resztki rozsądku. Cieszcie się, że jesteście dziećmi bardziej cywilizowanych czasów.

Tak, byli ludźmi. Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, jak czuje się Le Dorik, opiekując się nimi.

Wróciłem do wioski.

Lo Hawk spojrział na mnie sponad naciąganej kuszy. Na ziemię przed drzwiami wyłożył stertę magazynków z nabojami, aby sprawdzić ich spłonki.

– Jak się macie, Lo Lobey!

Podniosłem stopą jeden z ładunków i obróciłem go.

– Złapaliście już tego byka?

– Nie.

Czubkiem maczety wypchnąłem nabój z magazynka. Był dobry.

– Chodźmy – powiedziałem.

– Najpierw sprawdź resztę.

W czasie gdy to robiłem, Lo Hawk skończył naciągać kuszę i przyniósł drugą dla mnie, a potem ruszyliśmy w dół rzeki.

Woda była żółta od mułu. Prąd był silny i wyginał długą trawę oraz paprocie, rozczesując liście i łodygi roślin jak włosy. Trzy kilometry szliśmy wzdłuż bagnistego brzegu.

– Co zabiło Frizę? – zapytałem w końcu.

Lo Hawk przykucnął, aby zbadać kłodę porysowaną kłami jakiegoś zwierzęcia.

– Ty tam byłeś, ty widziałeś. La Dire tylko się domyśla.

Oddaliliśmy się od rzeki. Jeżyny czepiały się nogawic spodni Lo Hawka. Ja nie potrzebuję spodni. Moja skóra jest twarda i mocna jak skóra Easy’ego i Małego Jona.

– Nic nie widziałem – powiedziałem. – Czego ona się domyśla?

Jastrząb albinos zerwał się z drzewa i zataczając kręgi na niebie, odleciał. Friza także nie potrzebowała spodni.

– To, co zabiło Frizę, jest niefunkcjonalne; podobnie jak niefunkcjonalna była sama Friza.

– Friza była funkcjonalna! – krzyknąłem. – Była!

– Ciszej, chłopcze.

– Stado trzymało się razem – powiedziałem łagodniej. – Mogła robić ze zwierzętami, co tylko chciała. Sprawiała, że niebezpieczeństwa się oddalały, a jednocześnie zdarzały się rzeczy piękne.

– Brednie – rzekł Lo Hawk, brnąc przez muł.

– Bez gestu czy słowa mogła skierować zwierzęta, dokąd chciała lub dokąd ja chciałem.

– To są nonsensy La Dire, których się nasłuchałeś.

– Nie. Sam widziałem. Mogła sterować zwierzętami, podobnie jak kamykiem.

Lo Hawk chciał coś powiedzieć. Nagle jednak dotarły do niego moje słowa.

– Jakim kamykiem?

– Tym, który podniosła i rzuciła.

– Jakim kamykiem, Lobey?

Tak więc opowiedziałem mu całą historię.

– I była funkcjonalna – zakończyłem. – Dbała o bezpieczeństwo stada, czyż nie? Mogła to robić nawet beze mnie.

– Tylko sama nie potrafiła się uchronić przed niebezpieczeństwem – stwierdził Lo Hawk i ruszył dalej.

Przedzieraliśmy się w milczeniu przez szepczące zarośla pogrążeni w myślach. Naraz:

– A a a a a!!! – zabrzmiało w trzech różnych tonacjach.

Liście zaszeleściły i z lasu wypadły trojaczki Bloi. Jeden z nich wskoczył na mnie i nagle miałem ramiona pełne rozhisteryzowanego rudego dziesięciolatka.

– Cześć – powiedziałem.

– Lo Hawk, Lobey! Tam...

– Uwważaj! – krzyknąłem, unikając łokcia.

– Tam! Tupał i drapał pazurami skały... – To ten u mego boku.

– Gdzie? – zapytał Lo Hawk. – Co się stało?

– Tam, koło...

– ...koło starego domu, blisko miejsca, gdzie strop Jaskini się obniża...

– ...pojawił się byk i...

– ...wszedł na ten stary dom, w którym...

– ...się bawiliśmy...

– Chwileczkę – powiedziałem i zszedłem na Bloi-3. – Gdzie się to wszystko wydarzyło?

Wszyscy trzej obrócili się jak na komendę i wskazali między drzewa.

Hawk zdjął z ramienia kuszę.

– W porządku – rzekł. – Wracajcie teraz do wioski.

– Powiedz – złapałem Bloi-2 za ramię – jak duży był ten byk?

Wystarczająco wymowne trzepotanie powiekami.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Idźcie już.

Spojrzeli na mnie, na Lo Hawka i na las. I poszli.

W milczącej zgodzie skierowaliśmy się w wąski przesmyk pomiędzy liśćmi, skąd wyłonili się

chłopcy. Tuż przed wyjściem na polanę zauważyliśmy leżącą w poprzek ścieżki deskę, zmiażdżoną z jednego końca. Minęliśmy ją, przedzierając się przez zwisające gałęzie sumaków.

Na polanie było mnóstwo innych zmiażdżonych desek, rozrzuconych dookoła.

Półtorametrowy fragment fundamentu został rozwalony potężnym kopnięciem i tylko jedna z belek podtrzymujących stała pionowo.

Fragmety strzechy były porozrzucane po całym podwórzu. Dawno temu Carol zasadziła tu trochę kwiatów. Mając dosyć wioskowego życia, przeprowadziliśmy się wtedy do tego starego, krytego strzechą domu, który kiedyś był taki przytulny, który kiedyś był... Carol posadziła żywopłot kolczastych krzewów o strzępiastych pomarańczowych kwiatach. Znacnie takie?

Zatrzymaliśmy się przy odcisku kopyta, gdzie płatki kwiatów i liście wdeptane w ziemię tworzyły w błocie ciemną mandalę. Moja stopa z łatwością zmieściła się wewnątrz śladu. Kilka drzew wokół wyrwanych z korzeniami, kilka innych złamanych na wysokości mojej głowy.

Bez trudu można było zorientować się, którądy byk dotarł do polany. Połamane krzaki, pnącza i liście sterczały tam ze zwartej ściany lasu. Stratowane.

Lo Hawk wyszedł z lasu z niedbale opuszczoną kuszą.

– Wcale nie czujesz się taki pewny siebie, nie? – zapytałem, patrząc dookoła na ślady zniszczenia.
– Musiał być wielki.

Lo Hawk rzucił mi twarde spojrzenie.

– Polowałeś już ze mną.

– To prawda. Nie mógł odejść daleko, skoro dopiero co wystraszył dzieciaki – dodałem.

Hawk skierował się w stronę, gdzie stratowane drzewa wytyczały szlak byka.

Pospieszyłem za nim.

Ledwie zrobiliśmy dziesięć kroków w głąb lasu, usłyszeliśmy siedem trzasków, jakie wydają łamane drzewa: najpierw trzy – przerwa – a potem cztery dalsze.

– Oczywiście, jeżeli on jest tak wielki, może się szybko poruszać – powiedziałem.

Następne trzy drzewa.

A potem ryk.

Dźwięk z jakimś metalicznym odcieniem, nie wyrażający gniewu ani patosu, wydobywający się z płuc większych niż miechy kowalskie, niosący się przeciągłym echem pośród liści poruszanych podmuchem wiatru.

Ruszyliśmy dalej niebezpiecznymi ścieżkami przez srebrnozielony gąszcz.

Krok, oddech i znów krok.

I wtedy spośród drzew po lewej...

Wyskoczył on; skok ten obsypał nas deszczem gałązek i kawałków liści.

Obracając się, z jedną nogą tu, a drugą gdzieś diabelnie d a l e k o, spojrział na nas z góry przekrwionym, brązowym okiem o silnie zgrubiałych kącikach. Jego gałka oczna musiała być wielkości mojej głowy.

Czarne, wilgotne nozdrza parowały.

Był imponujący.

Nagle podrzucił głowę do góry, łamiąc gałęzie, i przysiadł z pięściami wbitymi w ziemię – w miejscu gdzie powinien mieć przednie kopyta, były ręce, ręce z owłosionymi palcami, grubymi jak

moje ramię, zakończone pazurami. Ryknął, uniósł się ponownie i jednym susem zniknął pośród drzew.

Hawk zdążył wystrzelić z kuszy. Strzała utkwiała niczym igła między żebrami byka. Potwór rzucił się w bok.

Kora drzewa, do którego przywarłem, przylepiła mi się do pleców.

– Chodźmy – ponaglił Hawk, biegnąc w stronę, gdzie zniknął byk o ludzkich rękach.

Ruszyłem więc za tym szalonym człowiekiem, który pragnął zabić bestię. Przedarliśmy się przez szczelinę w rozłupanej skale (kiedy byłem tu ostatni raz, pewnego popołudnia wypełnionego delikatnym powiewem wiatru i mnóstwem słonecznych plamek, wędrując pośród drzew z ręką Fryzy w mojej dłoni, na moim ramieniu, na moim policzku, szczeliny w skale nie było). Zeskoczyłem na porośnięty mchami chodnik (jego fragmenty można spotkać w różnych miejscach lasu). Pobiegliśmy naprzód i...

Niektóre rzeczy są zbyt małe, aby je zauważyć. Inne są tak duże, że jest się już w ich środku, zanim się człowiek zorientuje, czym one są. O mało nie wpadliśmy do rozpadliny w zboczu góry. Ta jama o średnicy dwudziestu metrów i poszarpanych brzegach była wejściem do pieczary. Nie pomyślałbym nawet, że jest tam pieczara, gdyby nie wydobywał się stamtąd ten dźwięk.

Nagły ryk byka zabrzmiał wśród skał i okolicznych drzew.

Kiedy echo zamarło, podczołgaliśmy się do poszarpanej krawędzi rozpadliny i spojrzeliśmy w dół. Refleksy słońca tańczyły na pokrytym błyszczącą, czarną skórą cielsku, miotającym się w skalnym potrzasku. Byk zaryczał ponownie, mrugając oczami i potrząsając owłosionymi pięściami.

Hawk cofnął się gwałtownie, choć pazury wsparte o skalną ścianę znajdowały się o dobre pięć metrów poniżej nas.

– Czy ten tunel nie łączy się przypadkiem z Jaskinią? – wyszeptałem. Szepce się w obliczu czegoś tak ogromnego.

Lo Hawk skinął głową.

– Niektóre tunele, tak powiadają, są wysokie na trzydzieści metrów, inne – tylko na trzy. Ten jest jednym z większych.

– Czy on może stąd wyjść?

Głupie pytanie.

Po drugiej stronie dziury wyłoniła się właśnie rogata głowa i potężne ramiona. Byk wspiął się po pochyłej ścianie i wy dostał się na górę. Teraz patrzył na nas, gotując się do skoku. Zaryczał, wyrzucając przy tym długi ozór niczym unurzany w pianie czerwony żagiel.

A potem skoczył przez całą szerokość dzielącej nas rozpadliny.

Nie udało mu się, ale my odskoczyliśmy do tyłu. Byk kurczowo uchwycił się skalnej krawędzi palcami jednej ręki, złościąc pazurami głębokie bruzdy w ziemi. Drugą uderzał wokoło na oślep w poszukiwaniu punktu zaczepienia.

Usłyszałem za sobą krzyk Hawka (biegłem szybciej niż on). Odwróciłem się i ujrzałem potworną łapę wznoszącą się nad starym myśliwym.

Lo Hawk leżał skurczony na ziemi. Ręka uderzyła jeszcze kilka razy (bum-bum! bum!), a następnie ramię i palce byka ześliznęły się z krawędzi i osunęły w dół wraz z gradem kamieni, krzewów i trzema małymi drzewami.

Hawk nie był martwy. (Następnego dnia stwierdzono, że ma złamane żebro). Skręcał się z bólu –

przypominał zranionego żuka lub bardzo chore dziecko.

Uniosłem go za ramiona, gdy tylko odzyskał oddech.

– Hawk, nic ci...

Ryki dochodzące z dołu zagłuszały słowa. Ale myśliwy wstał o własnych siłach, mrużąc oczy. Z nosa zaczęła cieknąć mu krew. Bestia uderzyła otwartą dłonią; Lo Hawk rzucił się na ziemię i dzięki temu ucierpiał bardziej od podmuchu powietrza niż samego uderzenia.

– Zabierajmy się stąd! – krzyknąłem i zacząłem ciągnąć go w stronę drzew.

Gdy tam dotarliśmy, potrząsnął głową.

– ...nie, zaczekaj, Lobey... – usłyszałem jego chrapliwy głos, gdy ryki na chwilę ustały.

Oparłem go o drzewo, a on złapał mnie za rękę.

– Spieszmy się, Hawk! Czy możesz iść? Musimy się stąd zabierać. Będę cię niósł...

– Nie! – Oddech znów uwiązał mu w gardle.

– Daj spokój, Hawk! To nie zabawa! Jesteś ranny, a ta bestia jest naprawdę wielka. Byk musiał powstać w wyniku mutacji spowodowanej promieniowaniem w niższych partiach Jaskini.

Znów szarpnął mnie za rękę.

– Musimy zostać. Musimy go zabić.

– Myślisz, że on wyjdzie i zaatakuje wioskę? Do tej pory nie zapuszczał się zbyt daleko od Jaskini.

– To – Lo Hawk zakaszłał – nie ma nic wspólnego z wioską. Jestem myśliwym, Lobey.

– Ale...

– I muszę nauczyć cię polować. – Spróbował usiąść o własnych siłach. – Tylko wygląda na to, że tej lekcji będziesz musiał nauczyć się sam.

– Cooo?

– La Dire mówiła ci, że musisz przygotować się do podróży.

– Na Boga... – Wpatrywałem się w jego twarz, pomarszczoną i starą, na której malował się ból i zdecydowanie. – Co mam robić?

– Musisz tam zejść i zabić bestię.

– Nie!

– To dla Frizy.

– Jak to?

Hawk wzruszył ramionami.

– To wie tylko La Dire. Ty musisz się nauczyć polować, i to polować dobrze.

Po chwili powtórzył to jeszcze raz.

– Nie mam nic przeciw wypróbowywaniu mojej odwagi, ale...

– Powód jest inny, Lobey.

– Ale...

– Lobey – jego niski, stanowczy głos wydobywał się z głębi gardła – jestem starszy od ciebie i wiem więcej. Weź swoją kuszę i idź do Jaskini. Ruszaj.

Usiadłem i pomyślałem o wielu rzeczach naraz. Na przykład o tym, że brawura jest rzeczą bardzo głupią. I o tym, jak bardzo mnie zaskoczyło, że aż tyle respektu dla Lo Hawka zachowało się z mego dzieciństwa. I o tym, że tak wiele sprzecznych uczuć, jak: strach, zmieszanie czy irytacja, może

towarzyszyć momentowi podejmowania decyzji.

Bestia zaryczała po raz kolejny.

Poprawiłem kuszę na ramieniu i umocowałem rączkę maczety na biodrze.

“Jeśli mam już zrobić coś głupiego – pomyślałem (a któż z nas czasami nie robi czegoś takiego) – to równie dobrze może to być coś głupiego i odważnego zarazem”.

Klepnąłem Lo Hawka po ramieniu i ruszyłem w kierunku rozpadliny.

Od strony, z której przyszliśmy, jej krawędź była ostra i ściana opadała stromo w dół. Obszedłem więc rozpadlinę; zbliżyłem się doń od strony przeciwnej, gdzie na dnie zgromadziły się odłamki skalne, ziemia i korzenie, co umożliwiło mi ostrożne opuszczenie się w dół.

Słońce oświetlało przeciwległą kamienną ścianę, błyszczącą od mokrego mchu. Oderwałem ręce od wilgotnej skały i przekroczyłem oleisty strumyczek mieniący się barwami tęczy, które zniknęły, gdy na wodę padł mój cień. Gdzieś w głębi tunelu słychać było stukot kopyt.

Ruszyłem naprzód. Przez liczne pęknięcia w wysokim sklepieniu docierało słońce, oświetlając na dnie tunelu liczne gałęzie pokryte kolczastymi suchymi liśćmi oraz krawędzie dziur, które równie dobrze mogły być głębokie na kilkanaście metrów, lub nawet sięgać najniższych poziomów Jaskini, leżących kilkaset metrów poniżej.

Doszedłem do rozwidlenia, gdzie skręciłem w lewo. Po trzech metrach potknąłem się w ciemnościach i stoczyłem po szeregu niewysokich stopni. Przeturlałem się przez kałużę (moja ręka plusnęła o wodę) oraz przez kupę suchych liści (zaszeleściły własnym szeptem pod moim ciężarem) i wylądowałem w smudze światła na żwirze zaścielającym podłoże.

Klik-klak!

Klik-klak!

Znacznie bliżej: klik-klak!

Zerwałem się na nogi i odsunąłem od zdradzieckiego światła. Pyłki zatańczyły w ukośnym promieniu słońca, w miejscu gdzie znajdowałem się przed chwilą. A potem opadły.

Czułem się tak, jakby mój żołądek był luźną torbą wypełnioną wodą i zawieszoną nad jelitami. Wędrować w stronę tego dźwięku – byk stał i czekał – już nie było kwestią poruszania się w jakimś kierunku. Trzeba było po prostu unieść jedną nogę, pochylić się do przodu i opuścić ją. Dobrze. Teraz unieść drugą nogę, pochylić się...

O sto metrów przed sobą zobaczyłem nagle inną plamę światła, która stała się widoczna, ponieważ wypełniło ją na chwilę coś bardzo dużego.

Klik-klak, klik-klak, klik-klak!

Parsknięcie.

Te trzy kroki bardzo go przybliżyły.

Nagle całe mnóstwo klik-klaków!

Przycisnąłem się do ściany, wtulając twarz w ziemię i korzenie.

Odgłos kopyt oddalał się.

Przełknąłem gorzką ślinę, która napłynęła mi do ust, i odsunąłem się od ściany.

Szybkim krokiem, który wkrótce przeszedł w wolny bieg, ruszyłem za bykiem przez popękane i osypujące się podziemia.

Odgłos dobiegł z prawej.

Skręciłem więc w prawo, w opadający w dół tunel, tak wąski i niski, że słyszałem, jak rogi bestii trą o sklepienie. Kamienie, okruchy skalne i porosty ześlizgiwały się po potężnych barkach na ziemię.

Dnem tunelu sączyła się woda, pokrywając kamienie fluoryzującym szlamem. W miarę postępującego spadku ciekąca woda zmieniała się w strumień. Wreszcie rozproszone światło skierowało mnie w lewo.

Kopyta byka musiały natrafić na metalową płytę, gdyż pomarańczowe iskry towarzyszące jego kolejnym krokom oświetliły go do połowy.

Był zaledwie o trzydzieści metrów przede mną.

Znowu iskry, gdy zniknął za rogami.

Czułem pod stopami kamienie, a potem zimny, gładki metal. Minąłem kilka liści przyniesionych przez wiatr, które zapaliły się od iskieł wzniesionych przez kopyta potwora. Wirowały żarząc się i opadły u mych stóp. Na chwilę ciemności wypełniła jesień.

Doszedłem do rogu i skręciłem.

Byk stał zwrócony przodem do mnie i ryknął na mój widok.

Jego kopyto uderzyło w metalowe podłoże o metr od mojej stopy; iskry oświetliły przekrwione oczy i polerowane nozdrza.

Ogromna ręka znalazła się nagle pomiędzy mną a jego oczyma, opadając! Potoczyłem się w tył, sięgając po maczetę.

Jego dłoń, płaska tym razem, zadzwięczała o metalową płytę, na której leżałem, a potem uderzyła w miejsce, gdzie się znajdowałem.

Leżałem na plecach z maczetą opartą o podłoże i skierowaną ostrzem w górę. Niewielu jest ludzi, czy byków, którzy mogliby jednym uderzeniem wbić dziesięciocalowy gwóźdź. Na szczęście.

Byk poderwał mnie z ziemi (wrzeszczącego i trzymającego się maczety rękami i nogami).

Zaczął mną wywijać.

Przeraźliwie wył, uderzając głową o sklepienie, z którego sypały się odłamki skały. Wreszcie ostrze oderwało się od jego ręki i zostałem odrzucony na kilka metrów. Uderzyłem w ścianę i osunąłem się. Wnętrze mego fletu wypełnione było krwią bestii.

Byk słał się na nogach, uderzając barkami o ściany, jego ogromny cień chwiał się na ociekającym wodą stropie.

Zbliżał się do mnie, a ja, usiłując podnieść się z kolan, przechyliłem się do tyłu (musiałem sobie coś zwichnąć) i patrzyłem na niego.

Za moimi plecami wzdłuż ściany ciągnęła się okratowana wnęka, mająca metr głębokości. Był to prawdopodobnie kanał odprowadzający wodę. Zauważyłem, że kraty w jednym miejscu były krzywo umocowane, przecisnąłem się przez nie i spadłem na dno kanału.

Panowała w nim nieprzenikniona ciemność. Nade mną ogromna ręka drapała i drapała. Zadałem cios pionowo w górę i ostrze natrafiło na coś ruchomego.

– Raaaaaaa...!

Ryk przytłumiły kamienie. Ramię byka cofnęło się raptownie i zaczęło uderzać w pobliżu miejsca, gdzie się ukryłem.

Ruszyłem wzdłuż kanału, którego dno gwałtownie opadało, i nagle zacząłem ześlizgiwać się z coraz większą szybkością, kalecząc obolałe ciało o wystające kamienie. Zatrzymałem się,

uderzywszy o jakieś rury.

Leżałem z zamkniętymi oczyma, z czubkiem kuszy uwierającym mnie w ramię i rękojeścią maczety boleśnie uciskającą biodro. Wkrótce w obu tych miejscach straciłem czucie.

Gdy się leży zupełnie odprężonym, z zamkniętymi oczyma, powieki mimowolnie otwierają się. Kiedy w końcu się odprężyłem, moje oczy wypełniło mleczne światło docierające z dołu.

Światło?

Zamrugalem.

Szara poświata za kratami miała taki odcień, jaki uzyskuje docierające z daleka wielokrotnie odbite światło słoneczne. Byłem co najmniej o dwa poziomy poniżej powierzchni gruntu. Leżałem obok wylotu następnego kanału, podobnego do tego, którym tu dotarłem.

Naraz gdzieś zaryczał byk, a echo wielokrotnie odbiło się od kamieni.

Uchwyciwszy się krat, stanąłem na nogi. Piekły mnie łokcie i podrapane ramiona, czułem też szarpiący ból w udzie. Spojrzałem na komorę znajdującą się poniżej.

Niegdyś jej podłoga leżała na poziomie zakratowanego kanału, w którym byłem, jednak zapadła się już bardzo dawno temu. Obecnie sala miała podwójną wysokość, a kanał znajdował się co najmniej pięć metrów ponad poziomem jej dna.

Pomieszczenie, o średnicy jakichś siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu metrów, miało okrągły kształt. Ściany zbudowane z ciosanego kamienia i nagiej skały oświetlała szara poświata, w której blasku widoczne były liczne wejścia wiodące do ciemnych tuneli.

Na środku sali stała maszyna.

Przyglądałem się jej, gdy nagle zaczęła mądrze mrużyć do siebie. Zabłyśły ułożone w kilka rzędów światełka, tworząc jakiś wzór; potem na chwilę zgasły i znów się zapaliły w innej konfiguracji. To był komputer z dawnych czasów (z czasów, kiedy wy właśnie władaliście Ziemią – wy, widma i wspomnienia); kilka z nich ciągle jeszcze trajkocze i chichocze w Jaskini. Opowiadano mi o nich, ale ten był pierwszym, jaki ujrzałem na własne oczy.

Tym, co mnie obudziło...

(Czy ja spałem? Czy śniłem, zapamiętując pulsujący obraz, który przywarł do siatkówek mych oczu, Frizo?)

...był lament bestii.

Przygarbiony, ze spuszczoną głową, z najeżoną na barkach sierścią pokrytą lśniącymi niczym brylanty kroplami wody kapiącej ze stropu, byk wtoczył się do sali, podpierając się zgiętą w kułak ręką. Drugą, tę, którą dwukrotnie zraniłem, tulił do brzucha. Utykał.

Mrużąc oczy, rozejrzał się po sali i znów zaczął zawodzić, jednak żalność w jego głosie wkrótce ustąpiła miejsca wściekłości. Zamilkł nagle, wciągnął powietrze, powiódł wzrokiem dookoła i wykrył, że tu jestem.

A ja bardzo nie chciałem tu być.

Przykucnąwszy za kratami, rozglądałem się na wszystkie strony, ale nie dostrzegłem żadnego wyjścia z pułapki.

No cóż, pozostało mi tylko wykonać polecenie Lo Hawka.

Myśliwy może być istotą żalną.

Byk ponownie obrócił głowę, wężąc za mną. Ciągle trzymał zranioną rękę wysoko, przyciśniętą

do ciała.

(Myśliwy nie był specjalnie napalony).

Komputer zagwizdał kilka taktów pewnej starej melodii: kawałek refrenu z Carmen. Byk spojrział zdziwiony na maszynę.

Jak miałem go upolować?

Ściągnąłem z ramienia kuszę i wycelowałem, opierając ją o kraty. Jedyłą szansą było trafienie byka w oko. Ale teraz nie patrzył we właściwą stronę.

Opuściłem kuszę i sięgnąłem po maczetę. Podniosłem ją do ust i zadałem w ustnik. Krew zabulgotała w dziurkach, wreszcie dźwięk przedarł się na zewnątrz i zawirował w powietrzu.

Byk uniósł głowę i spojrział na mnie.

Podniosłem kuszę, wycelowałem i nacisnąłem spust...

Rycząc z wściekłości i potrząsając rogami, bestia rzuciła się gwałtownie do przodu, a jej sylwetka nagle urosła w mych oczach. Upadłem na plecy, przytłoczony rykiem, i zamknąłem oczy, aby nie oglądać potwornego widoku rozprysniętego oka z tkwiącą w nim moją strzałą. Oszalały z bólu, potwór zacisnął pięść na kracie, która mnie chroniła.

Metal zazgrzytał o kamienie, które zatrzęsły się w posadach. Mimo że krata była znacznie większa od byka, wyrwał ją i cisnął o przeciwległą ścianę, zasypując salę deszczem odłamków skalnych.

Potem wyciągnął rękę, jego pięść zacisnęła się wokół mojego pasa i nóg i zostałem uniesiony przed ryczące oblicze (którego lewa, oślepiąca strona zalana była krwią). Sala kołysała się przede mną, a ja, przechylając głowę na boki, usiłowałem wycelować kuszę. Jedna strzała uderzyła w kamień obok kopyta byka – o wiele za nisko. Druga wbiła się w bok bestii, bardzo blisko miejsca, w które trafił Lo Hawk. Czekał, aż nadleci kamienna ściana, by zmiażdżyć mi głowę, niezdarnie zdołałem załadować kolejną strzałę.

Bok pyska byka był zalany krwią. I nagle pojawiło się więcej krwi.

Strzała zniknęła w ślepej studni oczodołu wypełnionego limfą. Zobaczyłem, jak drugie oko bestii nagle się zamgliło, jakby ktoś nasypał w nie mielonej kredy.

Upuścił mnie.

Nie rzucił – po prostu upuścił. Uchwyciłem się włosów na nadgarstkach jego ręki. Wyśliznęły mi się i zjechałem po ogromnym przedramieniu do stawu łokciowego.

I wtedy ręka byka zaczęła bezwładnie opadać. Powoli zostałem obrócony do góry nogami. Potwór uderzył wierzchem dłoni o podłogę, a jego kopyta z klekotem waliły o kamienie.

Parsknął, a ja ponownie zacząłem ześlizgiwać się po przedramieniu, tym razem ku nadgarstkowi, przytrzymując się sierści rękami i stopami. Przeturlałem się przez płaszczyznę ogromnej dłoni i odskoczyłem na bok.

Ból w udzie zaczął pulsować.

Zrobiłem krok w tył i to było wszystko, na co mnie było stać.

Byk, paraliżując mnie wzrokiem, potrząsał głową, bryzgając wkoło krwawymi wybroczynami z oczodołu. Był wspaniały. I ciągle był silny, choć umierał. I był ogromny. Niezdolny do ruchu, z zeszywniałym językiem w ustach, patrzyłem na byka zafascynowany, jednocześnie nienawidząc go i podziwiając.

Był ogromny i piękny i ciągle stał tam, wyzywający w obliczu swej śmierci, drwiąc z mych ran i z

mego strachu.

Bądź przeklęta bestio, która jesteś większa niż...

Najpierw zgięło się ogromne ramię, potem tylna noga i byk z trzaskiem runął na kamienną podłogę.

Z jego nozdrzy wydobywały się wściekle, głuche pomruki, ale stopniowo coraz cichsze i łagodniejsze. Żebra unosiły się i opadały, żłobiąc bruzdami bok potwora. Podniosłem kuszę i utykając zbliżyłem się do zalanego krwawymi łzami pyska. Wycelowałem i ostatnia strzała, w ślad za dwiema poprzednimi, wbiła się w mózg byka.

Ogromne ręce poderwały się na wysokość metra i opadły (bum! bum!), rozluźnione już ostatecznie.

Teraz, kiedy byk nie poruszał się już, usiadłem u podstawy komputera i oparłem się o metalową obudowę. Coś w środku cykało.

Byłem ranny. Strasznie.

Oddychanie nie sprawiało już przyjemności. I na dodatek w trakcie walki ugryzłem się w wewnętrzną stronę policzka, co zawsze doprowadza mnie do wściekłości.

Zamknąłem oczy.

– To było bardzo efektowne – powiedział ktoś blisko mojego prawego ucha. – Bardzo chciałabym zobaczyć cię z muletą. *Ole! Ole!* Najpierw *veronica*, potem *paso dobie!*

Otworzyłem oczy.

– Co nie znaczy, że nie doceniam twoich nieco mniej mistrzowskich umiejętności.

Odwróciłem głowę. Mały głośnik przy moim lewym uchu. Komputer ciągnął dalej uspokajająco:

– Jesteś jeszcze tak mało doświadczony. Wszyscy tacy jesteście. Młodzi, ale *tres charmant*. No dobrze, pokonałeś tę przeszkodę. Czy jest coś, o co chciałbyś mnie zapytać?

– Tak – powiedziałem i po kilku oddechach zapytałem: – Jak mogę się stąd wydostać?

Było przecież całe mnóstwo tuneli kończących się w tej sali, całe mnóstwo możliwych wyborów.

– To jest problem. Pozwól mi się zastanowić. – Światelka zamrugały, a ich odbłask zamigotał na moim brzuchu i grzbietach dłoni. – Widzisz, gdybyśmy się spotkali przed twym efektownym wejściem, po prostu wysunąłby się ze mnie kawałek komputerowej taśmy. Ty byś ją uchwycił, a ona by się rozwijała w miarę twojej wędrówki na spotkanie losu. Ty jednak przybyłeś tu i sam mnie znalazłeś. Czego pragniesz, bohaterze?

– Chcę iść do domu.

Komputer zacykał.

– A czego jeszcze?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Kiwam głową zachęcająco – zabrzmiało.

– Chcę Frizy. Ale ona nie żyje.

– Kim była Friza?

Zastanawiałem się. Próbowałem coś powiedzieć, ale jedynym rezultatem był skurcz krtani podczas wydechu, co mogło zabrzmieć jak szloch.

– Och – westchnął komputer, a po chwili odezwał się łagodnie: – Trafieś do niewłaściwego labiryntu.

– Doprawdy? A co w takim razie ty tutaj robisz?

– Zostałam tu umieszczona bardzo dawno temu przez ludzi, którym nawet się nie śniło, że przyjdzie tutaj ktoś taki jak ty. Psychiczna Harmonia i Enigmatyczno-Deliryczne Reakcje Asocjacyjne to był mój wydział. A ty przyszedłeś tu penetrować mą pamięć w poszukiwaniu utraconej dziewczyny.

Chyba jednak mówiłem to wszystko sam do siebie. Byłem bardzo zmęczony.

– Jak ci się tam podoba? – zapytała PHAEDRA

– Gdzie?

– Na powierzchni. Pamiętam ludzi. Oni mnie zbudowali. A potem odeszli, zostawiając nas tutaj zupełnie samych. A teraz przyszliście wy, aby zająć ich miejsce. To musi być trudne: wędrować po ich wzgórzach, walczyć ze zmutowanymi cieniami ich flory i fauny, być nawiedzanym przez ich fantazje sprzed miliona lat.

– Próbujemy – odpowiedziałem.

– Nie jesteście do tego odpowiednio wyposażeni – kontynuowała PHAEDRA – Przypuszczam jednak, że po prostu musicie przejść przez stare labirynty, zanim wejdziecie do nowych. To trudne.

– Jeśli oznacza to zmaganie się z czymś takim – wskazałem brodą cielsko na posadzce – to rzeczywiście jest to trudne.

– Tak, to był świat pełen atrakcji. Brakuje mi *revueltas*, dziewcząt skaczących pomiędzy rogami i wykonujących w powietrzu obrót, aby wylądować na ogromnym grzbiecie, a potem z powrotem zeskoczyć na piasek. Ludzkość miała styl, dzieciaku! Może i wy kiedyś będziecie go mieli, na razie jednak wasz urok tkwi w tym, że jesteście jeszcze tacy nieporadni.

– Dokąd oni odeszli, PHAEDRO?

– Przypuszczam, że tam, gdzie twoja Friza. – Coś zadźwięczało metalicznie za moją głową. – Ale wy nie jesteście ludźmi i nie uznajecie ich reguł. Nie powinniście nawet próbować. My tutaj usiłujemy obserwować, co zrobiliście od kilku pokoleń, ale odpowiedzi na wszystkie ewentualne pytania są nam już znane, zanim zdążymy pomyśleć, by je zadać. Z drugiej jednak strony, bezskutecznie czekamy przez stulecia na podstawowe informacje na wasz temat, jak na przykład: kim jesteście, skąd przybyliście i co tu robicie.

Czy przyszło ci do głowy, że mógłbyś ją odzyskać?

– Frizę? – Usiadłem. – Gdzie? Jak? – Przypomniałem sobie tajemnicze słowa La Dire.

– Jesteś w niewłaściwym labiryncie – powtórzyła PHAEDRA – A ja jestem niewłaściwą osobą, i nie wskażę ci właściwego labiryntu. Dziecko Śmierć był tu przez chwilę, więc może mógłbyś dotrzeć do niego, aby wepchnąć palec między drzwi czy wtrącić swoje trzy grosze.

Pochyliłem się do przodu na klęczkach.

– Zawiodłaś mnie, PHAEDRO.

– Zmykaj – odrzekł komputer.

– Którędy? – zapytałem.

– Powtarzam, zapytałeś niewłaściwą osobę. Chciałabym ci pomóc. Ale nie wiem. Musisz się pośpieszyć. Kiedy słońce zajdzie, nastąpi odpływ i zrobi się zupełnie ciemno, zbiegną się tu rozmaite duchy i duszki i zaczną wrzeszczeć.

Wstałem i obejrzałem wszystkie wyjścia. Może odrobina logiki? Wybrałem tunel, którym przyszedł byk.

Długa ciemność rozbrzmiewała echem mego oddechu i spadających kropli. Potknąłem się o jakieś schody. Wstałem i zacząłem po nich wchodzić. Gdy schody się skończyły, otarłem się o coś ramieniem. Zacząłem macać w ciemności i stwierdziłem, że jestem w wąskim tunelu, który zdaje się prowadzić donikąd.

Wyjąłem maczetę i wydmuchnąłem resztki krwi. Popłynęła melodia, rozwijając się powoli, a poszczególne nuty kładły się na kamieniach niczym błyszczące w świetle płatki miki.

Uderzyłem w coś dużym palcem u nogi.

Podsłoczyłem, zakląłem i poszedłem dalej szlakiem wyznaczonym przez cudowne dźwięki.

– Hej...

– ...Lobey, czy...

– ...czy to ty? – Młode głosy docierały spoza otaczających mnie kamiennych ścian.

– Tak! Oczywiście, że to ja! – Odwróciłem się do ściany i położyłem ręce na skale.

– Podkradliśmy się z powrotem...

– ...aby popatrzeć i Lo Hawk...

– ...kazał nam zejść do Jaskini i znaleźć cię...

– ...bo przypuszczał, że mogłeś się zgubić.

Schowałem maczetę do pochwy.

– I miał rację.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj, po drugiej stronie tego...

Obmacywałem kamienie, tym razem nad moją głową. Wyczułem palcami wolną przestrzeń; otwór miał około metra szerokości.

– Zaczekajcie!

Podciągnąłem się na rękach i zobaczyłem nagle światło na końcu krótkiego tunelu. Wdrapałem się do góry i zacząłem się czołgać; nie było tam dostatecznie dużo miejsca, abym mógł stanąć.

Na drugim końcu tunelu wystawiłem głowę na zewnątrz i spojrzałem w dół na zadarte głowy trojaczków Bloi. Stali w plamie ukośnie padającego światła.

Bloi-2 pociągnął nosem i potarł go pięścią.

– Och! – odezwał się Bloi-1 – jesteś tu na górze.

– Mniej więcej – odpowiedziałem i zeskoczyłem pomiędzy nich.

– A niech to! – krzyknął Bloi-3. – Co się z tobą działo?

Byłem poplamiony krwią byka, podrapany, posiniaczony i utykałem.

– Chodźmy – powiedziałem. – Gdzie jest wyjście?

Znajdowaliśmy się bardzo blisko wyjścia, którym dostałem się do Jaskini. Wkrótce dołączyliśmy do Lo Hawka.

Myśliwy stał ze splecionymi rękami (jak pamiętacie, miał złamane żebro, ale nikt o tym nie wiedział aż do następnego ranka) oparty o drzewo. Podniósł brwi pytająco.

– Tak – odpowiedziałem. – Zabiłem go. Duża rzecz. – Byłem trochę zmęczony.

Lo Hawk wysłał dzieciaki przodem, aby pobiegły do wioski. Gdy przedzieraliśmy się przez gąszcz, nagle usłyszeliśmy trzask padającego drzewa.

O mało nie usiadłem.

To był tylko dzik. Niemalże otarł się uchem o mój łokieć.

– Chodźmy. – Lo Hawk wyszczerzył zęby w uśmiechu, unosząc kuszę.

Nie odezwaliliśmy się już ani słowem, dopóki nie zabiliśmy dzika. Pocisk Lo Hawka ogłuszył zwierzę, a ja musiałem przerąbać je maczetą prawie na pół, zanim uznało, że jest martwe. Było to dziecinnie łatwe po *el toro*. Zakrwawieni do ramion, obciążeni zdobyczą, przedzieraliśmy się przez kolczaste zarośla. Był ciepły wieczór.

Głowa dzika ważyła ponad dwadzieścia kilogramów. Lo Hawk taszczył ją na plecach. Wycięliśmy wszystkie cztery szynki; dźwigałem je na ramionach, związane po dwie. To było następne sto dwadzieścia kilogramów. Tylko mając ze sobą Easy'ego, można było przenieść całego dzika. Gdy byliśmy już bardzo blisko wioski, Lo Hawk powiedział:

– Dla La Dire nie był tajemnicą wpływ Frizy na zwierzęta. Wie też co nieco o tobie i niektórych mieszkańcach wioski.

– Co? O mnie? – zapytałem. – Co o mnie wie?

– O tobie, Frizie i Doriku, dozorczy klatki.

Lo Hawk szedł przodem.

– To głupie – powiedziałem i zrównałem się z nim. Spojrzał na mnie przez zakrzywione kły dzika.

– Wszyscy troje urodziliście się w tym samym roku.

– Ale tak bardzo... różniliśmy się od siebie.

Lo Hawk spojrział przed siebie, potem pod nogi, a później na rzekę. Nie patrzył na mnie.

– Nie potrafisz sterować zwierzętami ani kamykami.

– Ale możesz robić inne rzeczy. A Le Dorik jeszcze inne.

Ciągle na mnie nie patrzył. Słońce chowało się za miedziane grzbiety poszarpanych wzgórz. Rzeka była brązowa. Po niebie płynęły chmury. Lo Hawk milczał. Pozostałem nieco z tyłu, położyłem mięso na ziemi i przykłęknąłem, aby obmyć się w mulistej wodzie.

W wiosce zapytałem Carol, czy zgodzi się oprawić mięso w zamian za połowę mojego przydziału.

– Oczywiście – odparła, oglądając znalezione ptasie gniazdo. – Za chwilę.

– Pospiesz się, dobrze?

– Dobra, dobra. Gdzie ci się tak spieszy?

– Posłuchaj, wypoleruję dla ciebie kły dzika i zrobię ostrze włóczni dla dzieciaka lub coś podobnego, ale odczep się łaskawie ode mnie!

– Niech ci będzie. Tak czy inaczej nie jest to twoje dziecko. Ono jest...

– Ale ja już uciekłem między drzewa.

Chyba wciąż byłem zdenerwowany. Moje nogi poruszały się bardzo szybko.

Było już ciemno, kiedy dotarłem do klatki. Żaden dźwięk nie dobiegał zza ogrodzenia. Raz coś dotknęło drutów i zajęczało. Iskry i szybki cień. Nie wiem, czy to coś nadeszło z wnętrza klatki, czy też z zewnątrz. Żadnego ruchu w chacie Le Dorika. Być może Dorik był czymś zajęty gdzieś w środku. Czasami zamknięci parzyli się z sobą, a nawet rodzili dzieci. Czasami potomstwo było funkcjonalne. Trojaczki Bloi urodziły się w klatce. Mają krótkie szyje, a ich ramiona są bardzo długie, ale są szybcy, inteligentni i mają teraz już po dziesięć lat. Bloi-2 i Bloi-3 mają prawie tak samo zręczne stopy jak ja. Udzieliłem nawet Bloi-3 kilku lekcji posługiwania się maczetą, lecz on,

jak to dziecko, wolał zrywać owoce ze swymi braćmi.

Po godzinie spędzonej w ciemności, myśląc o tych, których wsadzono do klatki, i o tych, których stamtąd wypuszczono, wróciłem do wioski. Wlazłem w stóg siana za kuźnią, a dobiegające z niej odgłosy ukołysały mnie do snu.

O świcie wygrzebałem się z siana, przetarłem oczy i poszedłem do zagrody z kozami. Kilka minut później znaleźli się tam Easy i Mały Jon.

– Potrzebujecie dziś pomocy przy kozach?

Mały Jon wydał policzek językiem.

– Chwileczkę – powiedział i odszedł w róg zagrody.

Easy niepewnie zaszurał nogami.

Mały Jon wrócił.

– Tak – rzekł. – Oczywiście, że potrzebujemy pomocy. – A potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Widząc to, Easy wyszczerzył się także.

Niespodzianka! Niespodzianka! Mała kulka strachu wewnątrz mnie zniknęła bez śladu. Oni się śmieją! Easy podniósł górną belkę drewnianej bramy i kozy, becząc, ruszyły, wystawiając brody ponad blokującą wyjście belkę dolną. Niespodzianka!

– Jasne – odezwał się Easy. – Oczywiście, że cię potrzebujemy. Cieszę się, że znowu jesteś!

Potarł mi włosy, a ja zamierzyłem się, by klepnąć go w biodro, ale nie trafiłem. Mały Jon otworzył bramę i popędziliśmy kozy przez plac, drogą przez wioskę, a później w górę, na łąki. Zupełnie tak jak przedtem.

Nie, niezupełnie.

Easy powiedział to pierwszy, kiedy ciepło dnia zastąpiło chłód poranka.

– Teraz nie jest zupełnie tak jak przedtem, Lobey. Coś straciłeś.

Deszcz rosy z potraconej, nisko wiszącej gałęzi wierzby zmoczył mi twarz i ramiona.

– Apetyt – powiedziałem. – I może parę kilogramów.

– To nie apetyt – Mały Jon wrócił zza pnia drzewa. – To coś innego.

– Innego? – powtórzyłem. – Powiedzcie, dlaczego jestem inny?

– Co mówiłeś? – zapytał z głupia frant Mały Jon i rzucił kijem w kozę, aby zwrócić jej uwagę.

Nie trafił. Podniosłem mały kamyk znaleziony pod stopą. Mój rzut był celny. Koza zwróciła na mnie swe błękitne oczy i pogalopowała w naszą stronę, jednak w pół drogi coś innego ją zainteresowało i próbowała to coś zjeść.

– Masz duże stopy – stwierdził Mały Jon.

– Nie. To nie to. La Dire zauważyła we mnie coś odmiennego i to coś jest ważne, podobnie jak to było u... Frizy.

– Grasz – powiedział Easy.

Spojrzałem na perforowane ostrze.

– Nie. Nie sądzę, żeby to było to. Mogę nauczyć was grać. Myślę, że La Dire chodziło o inny rodzaj odmienności.

Późnym popołudniem przygnaliśmy kozy z powrotem. Easy zaprosił nas do siebie na obiad. Przyniosłem część mojej szynki. Usiedliśmy i zaatakowaliśmy owoce wyciągnięte ze schowka przez

Małego Jona.

– Chcesz gotować?

– Nie – odpowiedziałem.

Easy wyszedł więc na róg ulicy i zawołał w kierunku placu:

– Hej, kto chce przyrządzić obiad dla trzech ciężko pracujących dżentelmenów, którzy mogą dostarczyć produktów żywnościowych, rozrywki i zabawić inteligentną konwersacją!? Nie, ty już raz gotowałeś dla mnie. Nie pchajcie się, dziewczęta! Nie, ty też nie. Kto cię nauczył tak przyprawiać? Ty? Nie, pamiętam cię, Strychninowa Lizzy. W porządku: ty. Tak, ty. Chodź ze mną.

Wrócił z miłą, łysą dziewczyną. Widziałem ją już przedtem, ale była w wiosce od niedawna. Nigdy z nią nie rozmawiałem i nie wiedziałem, jak się nazywa.

– To jest Mały Jon, to Lobey, a ja jestem Easy. A ty jak masz na imię?

– Mówcie mi Nativia.

Nie, z pewnością nigdy z nią nie rozmawiałem. To wstyd, że nie miałem dotąd okazji, bo było czego żałować. Jej głos nie wydobywał się z krtani, myślę, że w ogóle nie miała krtani. Dźwięk powstawał znacznie niżej i brzmiał jak szept płynący z jaskini pełnej dzwoneczków.

– Mnie możesz nazywać, jak tylko zechcesz – powiedziałem.

Zaśmiała się i to również zabrzmiało wśród dzwoneczków.

– Gdzie jest ta żywność i gdzie rozpalimy ognisko? – zapytała.

Znaleźliśmy krąg kamieni nad strumieniem. Zamierzaliśmy przynieść garnki z jakiegoś obejścia, ale Nativia miała własny duży rondel; pożyczyć musieliśmy jedynie cynamon i sól.

– No dobrze – powiedział Mały Jon, wracając z krzaków nad strumykiem. – Lobey, ty zajmiesz się rozrywką, a my będziemy konwersować.

– Zaraz, zaraz! – zaprotestowałem, ale wtedy pomyślałem sobie: “A niech tam”; położyłem się na plecach i zacząłem grać. Podobało się to Nativii, bo cały czas się do mnie uśmiechała.

– Czy masz dzieci? – zapytał Easy.

Nativia smarowała rondel kawałkiem tłuszczu z szynki.

– Jedno w klatce w Live Briar. Dwoje u pewnego człowieka w Ko.

– Sporo podróżujesz, prawda? – zainteresował się Mały Jon.

Grałem teraz wolniejszą melodię, a dziewczyna śmiała się do mnie, przerzucając pokrojone mięso z palmowego liścia do rondla. Tłuszcz tańczył na rozgrzanym metalu.

– Podróżuję. – W jej głosie był uśmiech i drwina.

– Powinnaś znaleźć sobie mężczyznę, który też lubi podróże – zasugerował Easy. Uwielbiał dawać wszystkim rady, co czasem mnie denerwowało.

Nativia wzruszyła ramionami.

– Kiedyś byłem z takim. Nigdy nie mogliśmy się zgodzić, w jakim kierunku się udać. To jego dziecko jest w klatce. Facet nazywa się Lo Angel. Był pięknym mężczyzną. Nigdy nie mógł się zdecydować, dokąd chciałby pójść. A kiedy już wreszcie się na coś decydował, zawsze okazywało się, że to nie tam, gdzie ja bym chciała. Nie... – Przewracała skwierczące kawałki brązowiejącego mięsa na dnie rondla. – Wolę dobrych, ustabilizowanych, osiadłych mężczyzn, którzy będą na mnie czekać podczas moich wędrówek.

Zacząłem grać stary hymn – *Bill Bailey Won't You Please Come Home*. Nauczyłem się go z jakiejś

starej 45-ki, kiedy byłem dzieckiem. Nativia też najwidoczniej go znała, bo słysząc melodię, zaśmiała się w trakcie krojenia brzoskwiń.

– To ja – powiedziała. – Bill La Bailey. Tak nazywał mnie Lo Angel.

Ułożyła mięso wokół obrzeża rondla. Do środka powędrowały orzechy i warzywa z odrobiną słonej wody. Szczęknęła pokrywka.

– Dokąd podróżowałaś? – zapytałem, kładąc maczetę na brzuchu i przeciągając się. W górze, za klonowymi liśćmi, niebo rozjaśniały ostatnie promienie zachodzącego słońca; od wschodu ocieniała je nadciągająca noc. – Ja też wkrótce mam zamiar wyruszyć w podróż. Chciałbym wiedzieć, dokąd można się udać.

Przesunęła owoce na skraj palmowego liścia.

– Raz byłem w Mieście. Byłem też pod ziemią, aby zbadać Jaskinię.

Easy i Mały Jon milczeli.

– Całkiem nieźle – powiedziałem. – La Dire mówi, że muszę podróżować, ponieważ jestem inny.

Nativia skinęła głową i rzekła:

– Z tego właśnie powodu podróżował Lo Angel. – Odsunęła pokrywkę. Strumień pary o silnym zapachu wydostał się na zewnątrz. Ślinka napłynęła mi do ust. – Większość podróżujących to inni – kontynuowała. – Angel zawsze mi mówił, że jestem inna, ale nigdy nie powiedział, na czym ta inność polega.

Uformowała z warzyw pierścień wewnętrzny w stosunku do leżącego na obrzeżu rondla mięsa i włożyła do środka pokrojone owoce. Wszystko to posypała cynamonem. Odrobina sproszkowanej przyprawy zapaliła się od płomienia ogniska, zmieniając się w deszcz iskierek. Pokrywka ponownie wróciła na swoje miejsce.

– Tak – powiedziałem. – La Dire także nie chce mi powiedzieć, na czym polega moja inność.

Nativia spojrzała na mnie zaskoczona.

– To znaczy, że ty nie wiesz?

Pokręciłem głową.

– Ale przecież możesz... – urwała. – La Dire należy do starszyny, prawda?

– Zgadza się.

– Może ma jakiś powód, żeby ci nie mówić. Rozmawiałam z nią któregoś dnia przez chwilę. To bardzo mądra kobieta.

– Tak, to prawda – potwierdziłem, przekręcając się na bok. – No dobrze, skoro wiesz, na czym to polega, to powiedz mi.

Nativia wyglądała na zmieszaną.

– Zgoda, ale najpierw ty opowiedz mi, co powiedziała ci La Dire.

– Powiedziała, że będę musiał udać się w podróż, żeby zabić to coś, co zabiło Frizę.

– Frizę?

– Friza też była inna.

Zacząłem opowiadać jej całą historię. Po minucie Easy czknął, załomotał pięściami w pierś i zaczął narzekać, że jest głodny. Najwyraźniej nie podobał mu się temat rozmowy. Mały Jon musiał wstać, a kiedy szedł w krzaki, Easy poszedł za nim i burknął:

– Zawołajcie nas, jak obiad będzie gotowy.

Nativia wysłuchała uważnie mojej opowieści, a potem zadała kilka pytań dotyczących śmierci Frizy. Kiedy powiedziałem jej, że mam odbyć podróż w towarzystwie Le Dorika, kiwnęła głową.

– Tak, teraz to ma więcej sensu.

– Naprawdę?

Ponownie skinęła głową.

– Hej, chłopaki, obiad gotowy!

– Więc nie powiesz mi?

Tym razem pokręciła głową.

– Nie zrozumiałbyś. Podróżowałam znacznie więcej od ciebie. Ostatnio wielu innych zginęło w podobny sposób jak Friza. Dwu w Live Briar. Słyszałam o jeszcze trzech w zeszłym roku. Coś trzeba z tym zrobić. Równie dobrze może to zacząć się tutaj.

Znów zdjęła pokrywkę z rondla; uniosła się para. Easy i Mały Jon, którzy wracali znad strumienia, zaczęli biec.

– Elvis Presley! – westchnął Mały Jon. – Ależ to pachnie! – Przykucnął przy ognisku, ślina ciekła mu po brodzie.

Easy’emu zaczęły drżeć migdałki, jak u mruczącego kota.

Miałem jeszcze całe mnóstwo pytań, ale nie chciałem sprawiać przykrości Easy’emu i Małemu Jonowi. Myślę, że i tak nie byłem w porządku wobec nich, ale oni byli na tyle mili, że nie dali mi tego odczuć.

Palmowy liść pełen mięsa, warzyw i przyprawionych owoców sprawił, że przestałem myśleć o czymkolwiek z wyjątkiem mojego żołądka. Przy okazji stwierdziłem, że znaczna część mojej metafizycznej melancholii to był po prostu głód. Zawsze tak jest.

To była prawdziwa uczta. Do snu ułożyliśmy się tuż obok ogniska, na paprociach rosnących nad strumieniem. Około północy, kiedy zrobiło się chłodniej, przywarliśmy do siebie, tworząc kłębek ciał. Obudziłem się na godzinę przed świtem.

Podniosłem głowę z ramienia Easy’ego (łyśa czaszka Nativii natychmiast przesunęła się na to miejsce) i wstałem zanurzony w gwiaździstym mroku. Głowa Małego Jona błyszczała u mych stóp. Podobnie jak moja maczeta. Używał jej jako poduszki. Delikatnie wysunąłem ostrze spod jego policzka. Prychnął, podrapał się i spał dalej. Poszedłem przez las w kierunku klatki.

Spojrzałem w górę, gdzie między gałęziami ciągnęły się druty biegnące od wioskowej elektrowni do ogrodzenia. Te ciemne linie nad głową, szmer strumienia i wspomnienia wzruszyły mnie. Zagrałem. Ktoś zaczął gwizdać w takt mej melodii. Przestałem grać. Gwizdanie nie ustało.

Zatem gdzie on jest? W pieśni?

Jean Genet, Parawany

“Bóg rzekł Abrahamowi: “ Zabij syna “. A ten mu odrzekł: “Boże, to przesada!”

Bob Dylan, Highway 61 Revisited

Miłość jest czymś, co umiera, a gdy jest już martwa, staje się glebą dla nowej miłości.. Tak naprawdę więc w miłości nie ma śmierci.

Par Lagerkvist, Karzeł

– Le Dorik? – zapytałem. – Dorik?

– Cześć! – dobiegł głos z ciemności. – Lobey?

– Lo Lobey – odpowiedziałem. – Gdzie jesteś?

– W klatce.

– Aha. Co to za zapach?

– Whitey. Brat Easy’ego. Umarł. Kopię mu grób. Pamiętasz brata Easy’ego...

– Pamiętam. Widziałem go wczoraj przez druty. Wyglądał na bardzo chorego.

– Tacy jak on nie żyją długo. Chodź, pomożesz mi kopać.

– Ogrodzenie...

– Jest wyłączone. Przejdź przez nie.

– Nie mam ochoty włączyć do klatki – powiedziałem.

– Nie miałeś takich oporów, kiedy byliśmy dziećmi. Chodź. Muszę przesunąć ten głaz. Pomóż.

– Tak było, kiedy byliśmy dziećmi. Robiliśmy wtedy mnóstwo rzeczy, których teraz nie musimy już robić. To twoja robota. Kop.

– Friza przychodziła mi pomagać, a przy okazji opowiadała o tobie.

– Friza... opowiadała?

– No wiesz, niektórzy ją rozumieli.

– Tak – odezwałem się po chwili. – Niektórzy rozumieli.

Chwyciłem drucianą siatkę przy słupku, ale nie zacząłem się wspinać.

– Prawdę powiedziawszy – rzekł Dorik – było mi trochę smutno, że nigdy nie przychodzisz. Przecież kiedyś było tak przyjemnie. Cieszyłem się, że Friza nie traktowała mnie tak jak ty. Przecież kiedyś...

– ...kiedyś robiliśmy mnóstwo rzeczy, Dorik. Tak, wiem. Zrozum, nikt się nie pofatygował, by mi powiedzieć, że nie jesteś dziewczyną, zanim nie ukończyłem czternastu lat. Jeśli cię zraniłem, przepraszam.

– Zraniłeś mnie. Ale nie jest mi przykro. Frizie nikt nigdy nie powiedział, że nie jestem chłopcem.

Z czego jestem w pewnym sensie zadowolony. Ale nawet gdyby wiedziała, nie sądzę, by przyjęła to tak jak ty.

– Czy często tu przychodziła?

– Zawsze kiedy nie była z tobą.

Wspiąłem się po drutach, przełożyłem nogi na drugą stronę i zeskoczyłem na ziemię.

– Gdzie jest ten diabelny głaz, który chcesz przesunąć?

– Tu...

– Nie dotykaj mnie – powiedziałem. – Po prostu pokaż, gdzie on jest.

– Tu – powtórzył Dorik w ciemności. Uchwyciłem krawędź kamienia. Przytrzymujące go korzenie roślin popękały, trysnęła fontanna piasku i głaz odtoczył się na bok.

– A tak przy okazji, co z dzieckiem? – zapytałem.

Musiałem o to spytać. I niech cię diabli, Dorik, dlaczego następne słowa musiały być właśnie tymi, których miałem nadzieję, że nie usłyszę?

– Którym dzieckiem?

Przy słupku stała łopata. Wbiłem ją w ziemię. Cholerny Le Dorik.

Odezwał się po chwili.

– Jeżeli chodzi o dziecko moje i Frizy, to w przyszłym roku zbadają je znachorzy. Wymaga ogólnego treningu, ale jest zupełnie funkcjonalne. Prawdopodobnie nigdy nie otrzyma “La”, ale nie będzie musiała przebywać tutaj.

– Nie to dziecko miałem na myśli!

Łopata zadźwięczała na kamieniu.

– Chyba nie pytasz o dziecko, które jest wyłącznie moje? – W tym pytaniu, a właściwie stwierdzeniu, były dwa lub trzy kawałki lodu. Dorik specjalnie mnie tak drażnił. – Więc masz na myśli nasze dziecko? – Jakbyś nie wiedział, że to o nie chodzi, ty hermafrodytyczny bękarcie. – Będzie tu do końca życia, ale jest szczęśliwy. Chcesz go zobaczyć?

– Nie – powiedziałem i przerzuciłem trzy kolejne łopaty ziemi. – Pochowajmy Whiteya i zabierajmy się stąd.

– Dokąd się wybierasz?

– La Dire powiedziała, że ty i ja mamy wyruszyć razem w podróż, żeby zniszczyć to coś, co zabiło Frizę.

– Och – westchnął Le Dorik. – Tak. – Podeszedł do ogrodzenia i schylił się. – Pomóż mi.

Podnieśliśmy wzdęte gumowate ciało i wrzuciliśmy je do wykopanego dołu. Wpadło do środka z głuchym odgłosem.

– Powinieneś poczekać, aż po ciebie przyjdę – rzekł Le Dorik.

– Tak. Ale nie mogę czekać. Chcę iść już teraz.

– Jeśli mam iść z tobą, musisz poczekać.

– Dlaczego?

– Posłuchaj, Lobey. Jestem dozorcą klatki i mam swoje obowiązki.

– Nie obchodzi mnie to. Dla mnie wszystko w klatce może spleśnieć i zgnić. Chcę stąd wyjść i wyruszyć!

– Muszę wyszkolić nowego dozorcę, sprawdzić urządzenia uczące, zapewnić dostateczne dostawy żywności i specjalne diety, zbadać stan pomieszczeń...

– Rzuć to wszystko w diabły, Dorik! Chodźmy!

– Lobey, ja mam tu troje dzieci. Jedno jest twoje, drugie dziewczyny, którą kochałeś, a trzecie wyłącznie moje. Dwoje z nich ma szansę stąd wyjść, jeśli tylko będą kochane, jeśli zapewni się im odpowiednią opiekę, jeśli poświęci im się dostatecznie dużo czasu i cierpliwości.

– Dwoje z nich, tak? – Mój oddech nagle zginął gdzieś wewnątrz klatki piersiowej (nie wróżyło to nic dobrego). – Ale nie moje! Idę stąd!

– Lobey!

Zatrzymałem się i usiadłem okrakiem na ogrodzeniu.

– Posłuchaj, Lobey. Taki jest świat, w którym żyjesz. Skądś się wziął i dokądś zmierza. Zmienia się. Ale świat ten ma jednak swoje prawa i zasady, swoje dobro i zło, właściwy i niewłaściwy sposób postępowania. Nigdy nie chciałeś tego zaakceptować, nawet wtedy gdy byłeś dzieckiem. I dopóki tych zasad nie zaakceptujesz, nie będziesz szczęśliwy.

– Masz na myśli mnie, kiedy miałem czternaście lat?

– Nie, mówię o tobie takim, jakim jesteś teraz. Friza wiele mi opowiedziała...

Przeskoczyłem przez ogrodzenie i wszedłem do lasu.

– Lobey!

– Co? – Nie przestawałem iść.

– Boisz się mnie.

– Nie.

– Pokażę ci...

– Jesteś bardzo dobry w pokazywaniu różnych rzeczy w ciemności. To właśnie dlatego jesteś inny, czyż nie? – zawołałem przez ramię.

Przekroczyłem strumień i zacząłem wspinać się na skały, wściekły jak cały Elvis. Nie poszedłem na łąki, lecz w stronę bardziej stromych miejsc, roztrzacając w ciemności liście i gałązki. A potem usłyszałem, jak ktoś nadchodzi pogwizdując.

Nie ma tu nikogo poza szaleńcami; niewielu z nich zna ten Świat i niewielu z nich wie, że ten, kto próbuje działać tak jak inni, nigdy niczego nie osiągnie, bo różni ludzie zawsze mają odmienne opinie na ten temat. Oni nie wiedzą, że ten, kto jest uznawany za mądrego w ciągu dnia, nigdy nie zostanie uznany za szaleńca w nocy.

Niccolo Machiavelli, List do Francesco Vettoriego

Doświadczenie objawiało mu w każdym obiekcie i w każdym zjawisku obecność czegoś szczególnego.

Jean Paul Sartre, Święty Genet, komediant i męczennik

Zatrzymałem się. Ustał też dobiegający z tyłu szelest suchych liści pod stopami i odgłos ocierania się paproci o ramiona. Grzebień wzgórz zaczynał szarzeć.

– Lobey?

– Zmieniłeś zdanie?

Westchnienie.

– Tak.

– Chodźmy więc.

Ruszyliśmy.

– Dlaczego? – spytałem.

– Coś się stało.

Dorik nie powiedział co. A ja nie zapytałem.

– Dorik – odezwałem się trochę później. – Czuję do ciebie coś bardzo bliskiego nienawiści. Jest to tak bliskie nienawiści, jak moje uczucia do Frizy bliskie były miłości.

– Ale nie aż tak bliskie, żeby się teraz tym martwić. Jesteś egocentrykiem, Lobey. Mam nadzieję, że zmądrzejesz.

– A ty mi pokażesz, jak być lepszym? – spytałem. – W ciemności?

– Pokazuję ci to już teraz.

Szliśmy dalej. Poranne słońce zabarwiło się cynobrem. W miarę jak przybywało światła, czułem, że moje oczy stają się zadziwiająco ciężkie, tak jakbym zamiast nich miał w głowie dwa kamienie.

– Pracowałeś całą noc, Dorik. Ja spałem bardzo krótko. Połóżmy się na kilka godzin – zaproponowałem.

– Poczekajmy, aż zrobi się na tyle widno, abyś wiedział, że tu jestem – odparł Le Dorik, co stanowiło dziwną odpowiedź.

Był teraz szarą sylwetką u mego boku.

Kiedy wreszcie było dostatecznie dużo czerwieni na wschodzie, a reszta nieba stała się błękitna, zacząłem szukać miejsca, gdzie można by się położyć. Byłem wyczerpany i za każdym razem, gdy patrzyłem na słońce, oczy wypełniały mi łzy zmęczenia, a świat kręcił się wokół.

– Tutaj – powiedział Dorik.

Dotarliśmy do niewielkiego zagłębienia pomiędzy skałami u podnóża urwiska. Wskoczyliśmy do środka i ułożyliśmy się z maczetą między nami. Ostatni zapamiętany przeze mnie tuż przed zaśnięciem obraz to złoty odbłask słońca na ostrzu i wygięte w moją stronę plecy Dorika.

Przytrzymałem rękę dotykającą mej twarzy na tyle długo, by pod jej osłoną otworzyć oczy.

– Dorik...

Patrzyła na mnie Nativia.

Splotłem swoje palce z jej palcami. Wyglądała na przerażoną, i zaniepokoiłem się.

– Easy! – zawołała w stronę zbocza. – Mały Jonie! Jest tutaj!

Usiadłem.

– Dokąd poszedł Dorik?

Pojawił się Easy, pędził susami, a za nim podążał Mały Jon.

– La Dire – odezwał się Easy. – La Dire chce cię widzieć... zanim wyruszysz. Ona i Lo Hawk muszą z tobą mówić.

– Hej, czy ktoś widział tu gdzieś Le Dorika? To dziwne, czyżby uciekł?

Wtedy zobaczyłem, jak przez twarz Małego Jona przebiegł nagle skurcz, który ją pofałdował, tworząc głębokie bruzdy niczym na spękanej skale.

– Le Dorik nie żyje – rzekł. – To właśnie chcieli ci powiedzieć.

– Co!?

– Przed wschodem słońca, wewnątrz klatki – odezwał się Easy. – Leżał obok grobu mojego brata, Whiteya. Pamiętasz mojego brata?

– Tak, pamiętam – odpowiedziałem. – Pomagałem kopać grób. Przed wschodem? To niemożliwe. Słońce już weszło, kiedy się tu położyliśmy. Martwy?

Mały Jon skinął głową.

– W taki sam sposób jak Friza. Tak powiedziała La Dire.

Wstałem, mocno trzymając maczetę.

– To niemożliwe – rzekłem. – Przecież powiedział mi: “Poczekajmy, aż zrobi się na tyle widno, abyś wiedział, że tu jestem”. Le Dorik był ze mną po wschodzie słońca. Czyli wtedy, kiedy położyliśmy się spać.

– Spałeś z Le Dorikiem po t y m, jak Le Dorik umarł? – zapytała Nativia z powątpiewaniem.

Oszołomiony, powróciłem do wioski. La Dire i Lo Hawk czekali na mnie przy wejściu do Jaskini. Przez chwilę rozmawialiśmy. Obserwowałem, jak intensywnie myśleli o rzeczach, których ja nie rozumiałem. Zastanawiało ich także moje oszołomienie.

– Jesteś dobrym myśliwym, Lo Lobey – powiedział w końcu Lo Hawk. – I pomimo nieco zbyt dużych bioder, jesteś wspaniałym okazem mężczyzny. Czekają cię wielkie niebezpieczeństwa. Nauczyłem cię wielu rzeczy. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz wędrował na krawędzi nocy lub na skraju poranka. – Najwyraźniej śmierć Le Dorika przekonała go, że coś jednak było w przypuszczeniach La Dire. Nie rozumiałem jednak jego mętnych wywodów ani nie wiedziałem, do czego zmierza. – Korzystaj z tego, czego cię nauczyłem, aby dotrzeć tam, dokąd się udajesz – kontynuował Lo Hawk – aby przeżyć w tamtym miejscu i szczęśliwie powrócić.

– Jesteś inny – to powiedziała La Dire. – Zrozumiałeś już, że niebezpiecznie być takim. Ale jest to również bardzo ważne. Usiłowałam ukształtować w tobie na tyle szeroki obraz świata, abyś był zdolny dokonać zamierzonych czynów i abyś potrafił zrozumieć ich znaczenie. Nauczyłeś się wiele, Lo Lobey. Użyj tej wiedzy.

Nie mając pojęcia, dokąd mam iść, odwróciłem się i odszedłem chwiejnym krokiem, wciąż zaszokowany śmiercią Dorika. Znalazły go trojaczki Bloi, które najwidoczniej nie spały całą noc, łowiąc ślepe kraby u ujścia strumienia. Wróciły, kiedy było jeszcze ciemno, wymachując swymi tyczkowatymi rękami i żartując. W świetle ich latarek pojawił się Dorik leżący na skraju grobu, opleciony siecią cieni. Musiało to być w chwilę po tym, jak stamtąd odszedłem!

Zbliżało się południe. Powlokłem się przez jeżyny, z jedną myślą klarującą się w głowie (podobnie jak rysunek dna strumienia staje się na moment bardziej klarowny, kiedy odsunie się na bok pianę i bąbelki): skoro martwy Le Dorik mógł iść ze mną (“Pokazuję ci to już teraz, Lobey”), przedzierać się o świcie przez zarośla i położyć się przy kamieniu o wschodzie słońca, to również Friza mogłaby mi towarzyszyć. Gdybym tylko wiedział, co zabija tych z nas, którzy są inni, i dlaczego ta ulotna inność przyczynia się do tak realnej śmierci...

Zagrałem powolną pieśń żałobną, aby uczcić pamięć Dorika. Rytm wybijały o ziemię moje stopy. Po kilku godzinach tego żałobnego tańca głowa błyszczała mi od potu.

Gdy dzień chylił się ku wzgórzom, dotarłem do pierwszych czerwonych kwiatów. Były duże jak moja twarz i wyglądały niczym krwawe bąble otoczone kolcami. Odpoczywały jak zwykle na nagiej skale. Niebezpiecznie było się tam zatrzymywać – były mięsożerne.

Przykucnąłem na pękniętej granitowej skale w żółknącym świetle popołudnia. Ślimak wielkości mojego zgiętego palca wlepił swe chwiejące się oczy w kałużę wielkości dłoni. Pół godziny później, schodząc na dno kanionu, gdy żółtość ustąpiła miejsca fioletowi, zobaczyłem szczelinę w skałach – kolejne wejście do Jaskini. Zdecydowałem się spędzić tam noc.

Ciągle pachniało tu ludźmi i śmiercią. To dobrze. Niebezpieczne zwierzęta unikały takich miejsc. Na czworakach wpełzłem do środka. Ziemię pod stopami zastąpił mech, a potem cement. Na zewnątrz, w zapadającej ciemności rozpoczął się koronkowy koncert świerszczy i brzęczących pszczoł.

Wkrótce natrafiłem rękoma na metalowe szyny. Poszedłem wzdłuż nich, ciągle na czworakach. Tory biegingy po pochyłości w dół. W wielu miejscach leżała na nich osypana ziemia, liście i gałęzie. Już zamierzałem się zatrzymać i ułożyć do snu pod ścianą, gdzie było bardziej sucho, gdy tory się rozgałęziły.

Powstałem.

Zagwizdałem na maczecie. Długie echo rozległo się z prawej – tunel bez końca. Ale z lewej dobiegło tylko krótkie odbicie dźwięku – jakieś pomieszczenie. Poszedłem w lewo. Moje biodro otarło się o klamkę.

Nagle przede mną zajaśniała sala. Sensorowe obwody ciągle działały. Zobaczyłem strop o żebrowanej konstrukcji, błękitny szklany pulpit, mosiężne oprawki światel, szafki i ekran telewizyjny na ścianie. Mrużąc oczy, wszedłem do środka. Bardzo przyjemnie było oglądać kolory na ekranie telewizyjnym: układały się we wzory, a te wzory tworzyły we mnie muzykę. Nieliczne osoby, które badały wewnątrz Jaskini, opowiadały mi o tym (nocne ognisko i zafascynowane dzieci otaczające kręgiem łowcę przygód), a ja sam poszedłem obejrzeć jeden z ekranów, znajdujący się w dobrze zbadanej części Jaskini. Dzięki temu właśnie nauczylem się muzyki.

Telewizja kolorowa jest bez wątpienia znacznie bardziej zabawna niż ta okropnie ryzykowna, genetyczna metoda odtwarzania, jaką przejeśliśmy. Tak, to jest wspaniały świat.

Usiadłem przy pulpicie i próbowałem różnych przycisków, dopóki jeden z nich nie dał się uruchomić. Ekran poszarzał, błysnął i wypełnił się kolorami.

Słysząc było szum, znalazłem więc odpowiednie pokrętko i wyłączyłem głos. Teraz mogłem słyszeć muzykę w kolorach. Kiedy jednak podniosłem maczetę do ust, coś się stało.

Śmiech.

Początkowo myślałem, że to jakaś melodia. Ale to był śmiech. A na ekranie wśród chaotycznego migotania pojawiła się twarz. To nie był obraz twarzy. To było tak, jakbym patrzył, jak poszczególne nuty melodii formują twarz, którą rozpoznałbym wszędzie: twarz Frizy.

Ale to nie ona się śmiała.

Friza rozplynęła się. Jej twarz zastąpiła inna: Dorika. Znowu ten dziwny śmiech. Potem nagle Friza była po jednej stronie ekranu, Dorik po drugiej, a w centrum znajdował się chłopiec, który się ze mnie śmiał. Obraz stał się wyraźniejszy i wypełnił salę, która zniknęła. Z tyłu za chłopcem widoczne były zrujnowane ulice, belki sterczące z rozwalonych murów, pieniaące się chwasty. Wszystko to było oświetlone migotliwą zielenią. Białe słońce wisiało na pokrytym siatką smug niebie. Z jednej z ulicznych latarni zwisało jakieś stworzenie zaopatrzone w płetwy i skrzela, a jego czerwona tylna kończyna zdrapywała rdzę z metalowego słupa. Na chodniku stał pomalowany na zielono hydrant.

Chłopiec, rudzielec – bardziej rudy niż trojaczki Bloi, bardziej czerwony nawet niż żywiące się krwią kwiaty – śmiał się z zamkniętymi oczyma. Jego rzęsy były złote. Przez przezroczystą skórę prześwitywała fluoryzująca zieleń, wiedziałem jednak, że w normalnym oświetleniu byłby tak blady, jak umierający Whitey.

– Lobey – powiedział, ciągle się śmiejąc, a jego wargi odsłoniły małe zęby; było ich o wiele za dużo. Jak w paszczy rekina. Widziałem to w książce, którą miała La Dire: kolejne szeregi ostrych igieł. – Lobey, jak zamierzasz mnie znaleźć?

– Cooooo?! – krzyknąłem, spodziewając się, że iluzja zniknie na dźwięk mojego głosu.

Ale gdzieś tam ten nagi śmiejący się chłopiec ciągle stał z jedną nogą w rynsztoku wypełnionym falującym zielskiem. Tylko Friza i Dorik zniknęli.

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

Spojrzał na mnie. Jego oczy nie miały białek, tylko błyszczące złoto i brąz. Widziałem już parę razy podobne oczy. Spokojne, nieruchome psie oczy w ludzkiej twarzy.

– Moja matka nazywała mnie Bonny William. Teraz wszyscy nazywają mnie Dziecko Śmierć. – Chłopiec usiadł na krawężniku, trzymając ręce zawieszono nad kolanami. – Więc zamierzasz mnie znaleźć, Lobey? I zabić, tak jak ja zabiłem Frizę i Dorika?

– Tyyyy! ? Ty, Lo Bonny William...

– Nie “Lo”. Po prostu Dziecko Śmierć. Bez “Lo”.

– Ty ich zabiłeś? Ale... dlaczego? – Rozpacz zmieniła moje słowa w szept.

– Ponieważ byli inni. A ja jestem bardziej inny niż ktokolwiek z was. Przerazacie mnie, a kiedy jestem przerażony – znowu zaśmiał się – zabijam. – Zamrugnął. – To nie ty mnie szukasz. To ja ciebie szukam.

– Jak to?

Potrząsnął głową, aby odrzucić szokująco karmazynowe włosy opadające mu na białą brew.

– To ja cię tu zwabiłem. Gdybym nie chciał się z tobą spotkać, nigdy byś mnie nie znalazł. Ponieważ chcę cię, nie ma sposobu, abyś mógł mnie uniknąć. Potrafię widzieć każdymi oczyma na tym świecie i na każdym innym świecie, gdziekolwiek dotarli nasi przodkowie. Wiem o wielu rzeczach, których osobiście nigdy nawet nie dotknąłem ani nie powąchałem. Wyruszyłeś, nie wiedząc, gdzie jestem, i od razu na mnie trafiłeś. Skończysz się, Lo Lobey – podniósł głowę – uciekając z mego zielonego domu. Będziesz drapał piasek jak ślepa koza próbująca się zatrzymać na skraju przepaści i...

– Skąd to wiesz?

– ...i spadniesz, łamiąc sobie kark. – Pokiwał na mnie palcem uzbrojonym w pazur jak u Małego Jona. – Chodź do mnie, Lo Lobey.

– Czy jeśli cię znajdę, oddasz mi Frizę?

– Już przecież oddałem ci Le Dorika. Na chwilę.

– Czy możesz oddać mi Frizę?

– Wszystkich, których zabijam, zatrzymuję. Trzymam ich w mojej prywatnej klatce.

Znowu rozległ się jego wilgotny śmiech, przypominający odgłos wody przepływającej przez chłodną rurę.

– Dziecko Śmierć...

– Co?

– Gdzie jesteś?

Śmiech sączył się przez igły zębów.

– Skąd przychodzisz i dokąd zmierzasz? – zapytałem.

Jego długie palce splotły się z sobą i przypominały teraz splątany sznur złotych paciorków. Odsunął nogą chwasty z kratki zakrywającej studzienkę odpływową.

– Spędziłem dzieciństwo na piaskach pustyni, smażąc się w słońcu w pewnej równikowej klatce, bez dozorca, który by mnie kochał. Gdy ty hasałeś w dżungli, ja byłem nawiedzany przez wspomnienia tych, którzy mieszkali pod tym słońcem, zanim przybyli tu rodzice naszych rodziców, aby przejąć ich ciała, ich uczucia i ich lęki. Większość moich towarzyszy w klatce umarła z pragnienia. Ocaliłem kilku z nich, przynosząc wodę w taki sam sposób, w jaki Friza rzuciła kamień – tak, to też widziałem. Potem zabiłem wszystkich pozostałych i czerpałem wodę bezpośrednio z ich ciał. Podchodziłem do ogrodzenia i patrzyłem ponad wydmami na palmy w oazie, gdzie pracowało nasze plemię. Nie myślałem wtedy, że kiedykolwiek opuszczę klatkę, ponieważ widziałem niczym migotliwe mirażę wszystko, co widziały wszystkie oczy tego świata. Widziałem to, co widziałeś ty, Friza i Dorik; tak jak widzę to, co dzieje się w tym ramieniu galaktyki. Kiedy to, co widzę, przeraża mnie – zamykam oczy, które to oglądają. To właśnie zdarzyło się z Friza i z Dorikiem.

– Jesteś silny – powiedziałem.

– To właśnie stamtąd pochodzę: z pustyni, gdzie śmierć błądzi pośród pokrytych piaskiem kości Ziemi. A teraz? Teraz zbliżam się do morza.

Podniósł głowę wysoko i odrzucił ją do tyłu, a jego czerwone włosy powiewały na tle drgającej zieleni.

– Dziecko Śmierć! – zawołałem; on tymczasem oddalił się już znacznie. – Dlaczego byłeś w klatce? Wyglądasz na bardziej funkcjonalnego niż większość Lo i La w mojej wiosce.

Dziecko Śmierć odwrócił się i spojrział na mnie kątem oka. A potem odezwał się drwiąco:

– Funkcjonalny? Urodzić się na pustyni rudzielcem z białą skórą i ze skrzelami?

Szeroko otwarta miniaturowa paszcza rekina odpłynęła. Zamrugałem. Nie byłem w stanie myśleć o czymkolwiek, wyjąłem więc jakieś papiery z jednej z szafek, rozścieliłem je pod pulpitem i położyłem się na nich, zmęczony i zdezorientowany.

Pamiętam, że podniosłem jedną z kartek i przesylabizowałem fragment tekstu. La Dire nauczyła mnie czytać na tyle, bym mógł rozumieć nalepki na płytach, gdy będę miał ochotę poszukać czegoś w wioskowym archiwum.

Ewakuować górne poziomy jak najszybciej. Systemy pomiarowe wskazują standardowy poziom promieniowania. Urządzenia do detekcji na niższych poziomach znajdują się...

Większość słów nic dla mnie nie znaczyła. Przedarłem kartkę na połówki za pomocą stóp, a potem na ćwiartki za pomocą rąk i sprawiłem, że kawałki opadły mi na brzuch. Podniosłem maczetę, aby zagrać sobie coś do snu.

Czymże zatem jest abstrakcja doskonała? Polega ona na wyodrębnieniu, w pierwszej kolejności, pierwiastków najistotniejszych i najbardziej reprezentatywnych dla danej rzeczy, po wtóre zaś, na uwzględnieniu pozostałych pierwiastków odpowiednio do ich znaczenia (w taki mianowicie sposób, ażeby w procesie abstrahowania nie tyle zupełnie odrzucać pewne pierwiastki, ile raczej uzyskiwać większą ich kondensację). Należy przy tym używać środków artystycznych oddziaływujących jak najskuteczniej na duszę odbiorcy, nie troszcząc się o dosłowną prawdę przedstawienia.

John Ruskin, Kamienie Wenecji

Wiersz jest maszyną do dokonywania wyborów.

John Ciardi, Czym jest wiersz

Kilka godzin później – mogły to być równie dobrze dwie godziny, jak i dwanaście – wytoczyłem się spod pulpitu i wstałem chrząkając, ziewając i drapiąc się. Kiedy wyszedłem z sali, światło zgasło.

Nie ruszyłem z powrotem do wyjścia, lecz przed siebie. Na górnych poziomach podziemi było wiele dziur, przez które prześwitywało niebo. Postanowiłem wędrować, dopóki nie ujrzę światła poranka. Wtedy dopiero zamierzałem wydostać się na zewnątrz. W pół godziny później zobaczyłem metrowej długości jasną smugę w sklepieniu, częściowo przesłoniętą czarnymi liśćmi. Podskoczyłem. Ma się parę w tych mięśniach.

Wygramoliłem się na zewnątrz na osypujący się grunt porośnięty jeżynami. Potknąłem się o pnącze, ale jakoś sobie poradziłem – “jakoś” brzmi skromniej niż “świetnie”, dlatego użyłem tego określenia. Na zewnątrz było chłodno i mglisto. W odległości pięćdziesięciu metrów błyszczało pluskające jezioro. Przedarłem się przez gąszcz na otwartą plażę. Bloki skalne zmieniły się tu w żwir i piasek. Jezioro było wielkie. Z jednej strony plaży zaczynało się bagno z trzcinowiskiem, z drugiej zaś rozciągała się porośnięta janowcami równina. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Ponieważ nie chciałem wchodzić w bagno, ruszyłem w stronę równiny.

Trzask, trzask, klap!

Zatrzymałem się.

Trzask! W dżungli coś się kłębiło: toczyła się jakaś walka i najwyraźniej jeden z przeciwników był już prawie pokonany; nagłe zrywy aktywności przedzielone były długimi okresami przerw. (Ssssss!) Ciekawość, głód i żądza przygód sprawiły, że pognałem naprzód z uniesioną maczetą. Wspiąłem się na skałę i spojrzałem w dół na polanę.

Atakowany przez rośliny smok umierał. Kwiaty tkwiły w jego łuskach, a kolczaste pędy oplatały mu nogi. Patrzyłem, jak próbował się od nich uwolnić zębami, ale rośliny odsuwały się, drapiąc mu skórę i smagając jego rozbiegane żółte oczy.

Jaszczur (dwukrotnie większy od Easy’ego i oznakowany krzyżem wypalonym po lewej stronie zadu) próbował chronić swoje zewnętrzne płucoskrzela trzepoczące wzdłuż szyi. Rośliny już prawie go unieruchomiły, ale kiedy jeden z kwiatów zaatakował jego układ oddechowy, smok zamachnął się

i uderzył jedyną wolną uzbrojoną w pazury łapą. W trakcie walki musiał zmiażdżyć całe mnóstwo kwiatów; ich poszarpane płatki zaścielały zrytą ziemię.

Znak krzyża oznaczał, że zwierzę nie zrobi mi krzywdy (oswojony jaszczur, nawet gdy zdiczeje, jest wobec człowieka przyjazny), więc zeskoczyłem ze skały.

Pełznący do ataku pęd, zaskoczony, opróżnił z impetem pęcherz powietrzny o centymetry od mej stopy.

Sssss...

Posiekałem go na kawałki, i nerwowy śluz (nerwowy w tym sensie, że wypełniał nerwy rośliny) falami wyciekł na ziemię. Koleczaste pnącza zaczęły smagać mnie po nogach. Jak już mówiłem, mam tam mocną skórę. Muszę uważać tylko na brzuch i wnętrza dłoni; nogi są w porządku. Stopą chwyciłem jeden z pędów oplatających jaszczura (mikroskopijne, zabarwione krwią ząbki rośliny ciągle kłapały klik-klik-klik, gdy odrywałem je od skóry zwierzęcia, w którą się wpiły), podłożyłem pod spód maczetę, nacisnąłem i... trach! Zielony sok pociekł po skórze jaszczura. Drapieżne rośliny musiały porozumiewać się z sobą w jakiś sposób i postanowiły mnie zaatakować. Jedna z nich nagle uniosła czułki i sycząc skoczyła w moją stronę. Wbiłem maczetę w jej mózg.

Krzyknąłem zachęcająco do smoka, żeby dodać mu odwagi, i posłałem pokrzepiający uśmiech. W odpowiedzi zajęczał coś po gadziemu. Lo Hawk byłby ze mnie dumny.

Grzebień jaszczura otarł się o moje ramię. Smok zmiażdżył zębami jeden z kwiatów, białe czułki rośliny zwisały mu z pyska. Przez chwilę żuł, zdecydował, że mu to nie smakuje, i wypluł ciernie. Oderwałem dwa następne pędy i uwolniłem smokowi nogę.

– Ssssss...

Spojrzałem w prawo.

I to był błąd, bo niebezpieczeństwo nadeszło z lewej.

Coś długiego i kłującego otoczyło moją kostkę i usiłowało poderwać mnie do góry. Na szczęście nie jest to takie proste. To coś wbiło mnóstwo małych ząbków w moją łydkę i zaczęło ssać. Obróciłem się, chwyciłem białe płatki kwiatu (ta roślina była albinotyczna) i wyrwałem je. Ssanie jednak nie ustawało. Moja uzbrojona ręka była uniesiona. Opuściłem ją, ale zaplątała się w sieć jeżyn. Coś z tyłu zadrapało mnie w szyję. Moja skóra w tym miejscu nie jest najtwardsza.

Podobnie jak (przyszło mi na myśl) w pasie, pod brodą, pomiędzy nogami, pod pachami, za uszami – robiłem szybki przegląd wszystkich wrażliwych miejsc. Te diabelne rośliny poruszają się na tyle wolno, że dają czas na myślenie.

Nagle coś długiego i gorącego zaśpiewało obok mojej nogi. Płatki kwiatów pofrunęły w powietrze. Roślina przestała ssać i z nerwowym czknięciem uwolniła moją kostkę.

Coś przy mej ręce zadźwięczało: pinnnnng! i ręka była wolna. Zatoczyłem się i odciąłem kolejny pęd. Inny ześliznął się z nogi smoka i odpełził, szukając kryjóWKi. Tak, te rośliny komunikowały się z sobą, a przekazywały: strach i ucieczka. Muzyka! Boże, to sprawiła muzyka!

Obróciłem się, aby spojrzeć w górę, na skały. Ktoś stał tam, a za nim różowiało poranne niebo. Nieznajomy zerwał z jaszczura ostatni z oplatających pędów (sssss-cmok!) i zwinął pejcz. Potarłem łydkę. Uwolniony smok zajęczał.

– Twój? – zapytałem, wskazując na bestię.

– Był mój – odpowiedział nieznajomy. Oddychał głęboko. Jego płaska i koścista pierś zapadała się podczas oddychania, a szeregi żeber łączyły się i rozłączały na przemian niczym żaluzje. – Jeśli

pójdiesz z nami, będzie twój; możesz go używać jako wierzchowca. Jeśli nie, będzie z powrotem mój.

Smok otarł się skrzelami o moje biodro.

– Czy dasz radę być poganiaczem smoków? – zapytał nieznajomy.

Wzruszyłem ramionami.

– Tylko raz widziałem kogoś takiego. Było to sześć lat temu, kiedy kilku poganiaczy zabłądziło w nasze strony.

Wszyscy wspięliśmy się wtedy na Beryl Face i obserwowaliśmy, jak pędzili smoki przez Przełęcz Zielonego Szkła. Kiedy Lo Hawk poszedł porozmawiać z nimi, udałem się tam wraz z nim. Wtedy właśnie dowiedziałem się o istnieniu tych łagodnych potworów i o znakowaniu ich.

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Tak, to się czasem zdarza. Teraz też zbłądziliśmy. Myślę, że zbczyliśmy ze szlaku o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Chcesz dostać pracę i jaszczura pod wierzch?

Spojrzałem na podeptane kwiaty.

– Zgoda.

– W porządku. Oto twój wierzchowiec, a twoim zadaniem na początek będzie doprowadzenie go do stada.

– Aha.

(No dobra, zastanówmy się: pamiętam, że poganiacze sadowili się pomiędzy wypukłościami na barkach smoków, ze stopami wetkniętymi w łuskowate pachy bestii i trzymali się dwu przypominających wąsy wyrostków sterczących ze skrzeli. To gdzieś tam... piekielnie wysoko!).

Po piętnastu minutach prób, taplania się w błocie i wykrzykiwania poleceń, nauczyłem się mnóstwa przekleństw. W końcu obaj zaczęliśmy się śmiać. Smok stał teraz na plaży i zupełnie mimowolnie zrzucił mnie do wody – kolejny raz.

– Naprawdę myślisz, że kiedykolwiek nauczę się na nim jeździć?

Nieznajomy jedną ręką wyciągnął mnie z wody, drugą trzymał mego wierzchowca za wąsy, trzecią zwijał swój pejcz, a czwartą drapał się w welnistą głowę.

– Nie dawaj za wygraną. Ja wcale nie radziłem sobie lepiej, gdy zaczynałem. Właz.

Wlazłem. Tym razem utrzymałem się na grzbiecie podczas nierównego kłus u tam i z powrotem wzdłuż plaży. Z dołu mogło to nawet wyglądać na płynną jazdę. Ale ja c z u-ł e m s i ę tak, jakbym zataczając się, biegł na szczydach.

– No, już całkiem nieźle.

– A teraz powiedz mi, gdzie jest stado i kim jesteś? – zapytałem.

Stał po kostki w jeziorze. W jasnym świetle poranka na jego piersi i barkach błyszczały krople wody, którą go opryskałem. Uśmiechnął się i otarł twarz.

– Jestem Pająk – powiedział. – Ale nie usłyszałem twojego imienia...

– Lo Lobey – odpowiedziałem, wyciągając się wygodnie pomiędzy łuskowatymi garbami na grzbiecie smoka.

– Nigdy nie mów “Lo” do żadnego poganiacza – rzekł Pająk. – Nie ma takiej potrzeby.

– Taki mamy zwyczaj w naszej wiosce.

– U nas on nie obowiązuje – odparł i wskoczył na grzbiet smoka; usadowił się za moimi plecami.

Pająk miał włosy koloru bursztynu, cztery ręce i był trochę garbaty. Miał ponad dwa metry wzrostu i wyglądał tak, jakby skóra naciągnięta na jego połączone długimi, wąskimi mięśniami kości była na niego trochę za ciasna. Był opalony na czerwono, a potem na brązowo, ale czerwień prześwitywała jeszcze w niektórych miejscach. I śmiał się tak, jakby wewnątrz jego piersi przesypywały się suche liście. W milczeniu okrążyliśmy jezioro. I ta muzyka!

Stado liczyło około dwustu pięćdziesięciu jęczących smoków (wyjaśniono mi, że był to dźwięk wyrażający zadowolenie) stłoczonych w górskiej dolinie. Młodość wyidealizowała romantyczny obraz poganiacza w mojej pamięci. Ci tutaj stanowili przedziwną zbieraninę. Zrozumiałem, dlaczego nietaktem byłoby używanie przy nich tytułów "Lo" czy "La". Nie mogłem pojąć, jak niektórzy z nich byli w stanie utrzymywać się na grzbietach smoków. Mimo wszystko dołączyłem do nich pełen najlepszych chęci.

Jeden z poganiaczy był inteligentny: można było to wywnioskować ze spojrzenia jego zielonego oka, zręczności w posługiwaniu się batem i sposobu obchodzenia się ze smokami. Był jednak niemy. Czy właśnie dlatego czułem się przygnębiony i myślałem o Frizie?

Był też inny facet, przy którym Whitey wyglądałby na kogoś zupełnie normalnego. Miał coś z gruczołami, co powodowało, że śmierdział. I to właśnie on postanowił opowiedzieć mi historię swego życia (nie kontrolował ruchów ust i kiedy był podekscytowany, bryzgał wokoło śliną).

Wolałbym, żeby to Śmierdziel był niemy, a Zielonooki mógł mówić. Ciekawe, gdzie był, co widział; znał kilka pięknych pieśni.

W nocy smoki się gubią i rano trzeba je zaganiać na miejsce. Krążyłem więc w poszukiwaniu zbłąkanych bestii. Przy śniadaniu dowiedziałem się od Śmierdziela, że zastąpiłem w gronie poganiaczy kogoś, kto poprzedniego popołudnia zginął złą, smutną i paskudną śmiercią.

– Przeżywają tu tylko najdziwniejsi – powiedział Pająk w zadumie. – A inni nie dają rady. Wyglądała bardziej normalnie niż ty. Ale już jej nie ma. Zresztą, sam zobaczysz, jak tu jest.

Zielonooki spojrział na mnie spod czarnych, opadających na czoło włosów; zauważył, że go obserwuję i powrócił do splatania pejcza.

– Kiedy te smocze jaja wreszcie się upieką? – niecierpliwił się Nóż, grzebiąc szarymi rękami między kamieniami ogniska.

Pająk kopnął go, i poganiacz odskoczył.

– Poczekaj, aż wszyscy zasiądziemy do jedzenia!

Ale po kilku minutach Nóż znowu się podczołgał i zaczął gładzić kamienie.

– Są już ciepłe – wymruczał przeprasząco, gdy Pająk usiłował go znowu kopnąć.

– Zabierz te łapy!

– Dokąd je prowadzicie? – wskazałem na stado. – I skąd je bierzecie?

– Wylęgają się w Gorącym Bagnie, około dwustu kilometrów na zachód. Pędzimy je przez Wielkie Miasto do Branning-at-sea. Tam bezpłodne sztuki są zarzynane. Samicom odbiera się jaja i zapładnia je, a my zabieramy je z powrotem i umieszczamy w bagnie.

– Branning-at-sea? – zapytałem. – Co oni tam z nimi robią?

– Większość z nich zjadają. Innych używają do pracy. Fantastyczne miejsce dla kogoś urodzonego w lasach. Byłem w Branning-at-sea tyle razy, że czuję się tam jak u siebie w domu. Mam tam dom, żonę i troje dzieci; drugą rodzinę mam na Gorącym Bagnie.

Zjedliśmy jaja, smażone smocze sadło oraz gorące płatki zbożowe z mnóstwem soli i kawałkami

papryki. Kiedy skończyłem, zacząłem grać.

Tę muzykę!

To była cała masa dźwięków, układających się w skomplikowane, splecione z sobą melodie. Aby zagrać, musiałem wybrać jedną z nich. Po kilku taktach Pająk spojrzał na mnie zaskoczony.

– Gdzie to słyszałeś? – zapytał.

– Myślę, że sam to wymyśliłem.

– Naprawdę?

– Melodie po prostu dźwięczą mi w głowie.

– Zagraj to jeszcze raz – poprosił.

Zagrałem. Pająk zaczął gwizdać jakiś motyw, który współbrzmiał z tym, który grałem. Obie melodie wibrowały i splatały się.

Gdy skończyliśmy, Pająk zapytał:

– Jesteś inny, prawda?

– Tak mówią – odparłem. – Powiedz, jak nazywa się ta pieśń? Jest niepodobna do muzyki, jaką znam.

– To “Sonata wiolonczelowa” Kodalye’go.

Poranny wiatr zakołysał janowcami.

– Co? – zapytałem. Za nami jęczały smoki.

– Wydobyłeś to z mojej głowy? – zapytał Pająk. – Nie mogłeś tego przedtem słyszeć, chyba żebym mruczał to sobie pod nosem. Ale nie można zamruczeć potrójnego crescendo.

– Wydobyłem to z ciebie? – powtórzyłem zdumiony.

– Ta muzyka chodzi mi po głowie od tygodnia. Słyszałem ją zeszłego lata na koncercie w Branning-at-sea, w przeddzień powrotu z jajami na bagno. A potem znalazłem płytę z tym kawałkiem w dziale muzycznym zrujnowanej starożytnej biblioteki w Haifie.

– Nauczyłem się tego od ciebie? – zapytałem i nagle całe mnóstwo rzeczy stało się dla mnie jasne. Jak na przykład: skąd La Dire wiedziała, że jestem inny, i dlaczego Nativia wiedziała to od razu, gdy tylko zacząłem grać Bill Bailey.

– Muzyka – powiedziałem. – To w taki właśnie sposób uczę się muzyki. – Oparłem maczetę czubkiem na ziemi i pochyliłem się nad nią.

Pająk wzruszył ramionami.

– Myślę jednak, że nie jest to jedyny sposób, w jaki mogę tworzyć muzykę – odezwałem się po namyśle, marszcząc brwi. – Jestem inny? – Przeciągnąłem kciukiem po ostrzu maczety, a palcami nóg przebiegłem wzdłuż dziurek.

– Ja także jestem inny – rzekł Pająk.

– Jak to?

– Spójrz.

Zamknął oczy i splótł obie pary ramion. Maczeta umknęła z moich rąk i poszybowała w powietrze. Wykonała w górze obrót i spadła, wbijając się z drzeniem w pień leżący przy ognisku. Pająk otworzył oczy i głęboko odetchnął.

Moje usta były otwarte. Więc je zamknąłem.

Wszyscy zebrani uważali, że było to zabawne.

– I ze zwierzętami – dodał Pająk.

– Co ze zwierzętami?

– Smoki. Powoduję, że są spokojne i trzymają się mniej więcej razem; potrafię też odstraszać niebezpieczne stworzenia.

– Friza – wyszeptałem. – Jesteś jak Friza.

– Kim jest Friza?

Spojrzałem na maczetę. Hymn żałobny, który zagrałem dla niej, to była moja własna melodia.

– Nikim – odpowiedziałem. – Kimkolwiek.

Ta melodia była moja!

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o Dziecku Śmierci? – spytałem.

Pająk opuścił nogę, wyciągnął wszystkie ręce przed siebie i pochylił głowę. Jego długie nozdrza zadrgały i stały się okrągłe. Ponieważ nie chciałem patrzeć na jego przerażenie, odwróciłem wzrok. Pozostali obserwowali mnie jednak, więc ponownie spojrzałem na Pajaka.

– Co chcesz wiedzieć o Dziecku Śmierci?

– Chcę go znaleźć i... – Wyrzuciłem maczetę w powietrze, obracając ją podobnie jak Pająk, tylko użyłem w tym celu ręki. Schwyciłem ją stopą, gdy spadała. – Tak czy inaczej, chcę go znaleźć. Opowiedz mi o nim.

Roześmieli się. Pierwszy Pająk, potem Śmierdziel, bryzgając wokół śliną. Nóż wydał niski syk, a inni zawtórowali mu chichocząc i chrząkając. Zakończył Zielonooki. W jego zielonym oku zgasło światełko i odwrócił wzrok.

– Czeka cię ciężka przeprawa – powiedział w końcu Pająk, wstając od ogniska. – Ale zmierzasz we właściwym kierunku.

– Opowiedz mi o nim – poprosiłem ponownie.

– Będzie czas, aby o tym porozmawiać. Teraz pora wziąć się do pracy. – Wstał, sięgnął do brezentowej torby i rzucił pejcz.

Złapałem go.

– Możesz zostawić maczetę. To także śpiewa – powiedział Pająk, a jego bicz zaszczebiotał mi nad głową.

Wszyscy wsiedli na swe wierzchowce, a Pająk wyjął z innej torby uzdę i strzemiona. Uprząż, opięta wokół barków smoka, doskonale pasowała do wszystkich nierówności na jego grzbiecie. Zrozumiałem, dlaczego szef poganiaczy chciał, abym na początek spróbował jazdy na oklep. Teraz, z siodłem i strzemionami, jazda na jaszczurze wydała się niemal przyjemna.

– Prowadźcie je szlakiem! – krzyknął Pająk.

Ruszyliśmy. Starłem się we wszystkim naśladować poganiaczy. Smoki zaroily się w blasku słońca. Naoliwione pejczy ze świstem uderzały o pokryte łuskami grzbiety. Cały świat zaczął rytmicznie podrygiwać w takt kroków niosącego mnie zwierzęcia. Drzewa, wzgórza, janowce, głązy i jeżyny drżały zgodnie z rytmem ruchu, wszystko wokoło klaskało i tupało do taktu. Dżungla, moja publiczność, aplauzem witała dudniącą muzykę stada biegnących jaszczurów.

Jęki. To znaczy, że są szczęśliwe.

Czasami syk, co znaczy: uwaga!

Pokrzykiwania i pochrząkiwania, co znaczy, że poganiacze też są szczęśliwi.

Nauczyłem się mnóstwa rzeczy tego poranka, poruszając się w różnych kierunkach pomiędzy zwierzętami. Pięć lub sześć z nich było przywódcami, reszta szła za nimi. Wystarczyło pilnować, aby przywódcy szli we właściwym kierunku, i problem z głowy. Smoki mają tendencję do skręcania w prawo. Najżywszą ich reakcją wywołuje uderzenie w zad. Później dowiedziałem się, że znajdujące się tam zwoje nerwowe są większe niż mózg smoków.

Jeden z przywódców stada stale zawracał i nagabywał pewną samicę z nadwagą (miała raka jajników i była wyładowana sterylnymi jajami, jak mi wyjaśnił Pająk), i musieliśmy go ciągle odganiać. Spędziłem wiele czasu (naśladując Zielonookiego) na patrolowaniu skraju stada, dbając o to, aby zaciekawione czymś zwierzęta nie odłączały się od grupy.

Zacząłem się już orientować, o co chodzi w tym wszystkim, kiedy około dwudziestu smoków utknęło w miętowym bagnie (bo tak chyba można nazwać trzęsawisko porośnięte dużą, miotaną przez wiatr miętą). Pająk, trzaskając z bata, skierował resztę stada na bok, a pięciu z nas musiało wejść w błoto, aby wygonić smoki, nim utkną tam na dobre.

– Nie powinno być już więcej takich bagien! – krzyknął Pająk, gdy znów cwałowaliśmy. – Odbiliśmy za bardzo na zachód. Jeżeli tylko nie zboczyliśmy zbyt, wkrótce przejedziemy przez Miasto.

Bolało mnie ramię.

Po dwudziestu minutach jazdy w milczeniu obok Zielonookiego odezwałem się:

– Czy to nie głupi sposób na marnowanie życia, kolego?

Wyszczrzył do mnie zęby.

Dwa przyjazne smoki, jęcząc, wpadły galopem pomiędzy nas. Pot zalewał mi oczy i czułem się tak, jakbym miał naoliwione pachy. Uprząż powodowała, że nieco lepiej miało się wewnątrz moich ud; dopiero po pewnym czasie obtarłem je sobie do krwi. Ledwie widziałem cokolwiek i na wpeł oślepiiony usłyszałem głos Pajaka:

– Jesteśmy znów na szlaku! Przed nami Miasto!

Spojrzałem przed siebie, ale nowa fala potu zalała mi oczy, a upał sprawił, że wszystko dookoła migotało. Skierowałem smoki w stronę, skąd doszedł głos. Popędziliśmy przez rzędzące janowce.

Ziemia wylatywała spod smoczyc pazurów. Nie rosła tu roślinność, więc słońce, aby się trochę ochłodzić, wbijało swe złote igły w nasze karki. Gorąco promieniowało też od piasku.

Jaszczury musiały zwolnić. Pająk zatrzymał się na chwilę obok mnie, by przetrzeć zalane potem oczy.

– Zazwyczaj wybieramy Aleję McClellana – powiedział, patrząc na wydmy. – Ale myślę, że jesteśmy bliżej Ulicy Głównej. Przecina ona Aleję o kilka mil dalej. Zatrzymamy się na skrzyżowaniu i odpoczniemy do zmroku.

Syk smoków rozlegał się wśród piasków Miasta. Te stworzenia wychowane na bagnach nie były przyzwyczajone do warunków pustynnych. Gdy wściekli i krańcowo wycieńczeni w milczeniu brnęliśmy wraz ze smokami przez to starożytne miejsce, przeżyłem niespodziewanie chwilę grozy. Wśród tego żółtego pustkowia wyobraziłem sobie nagle, że jestem otoczony przez milionowe tłumy tłoczące się na ulicach i że wśród sadzy i dymu wrzeszczę z przerażenia wraz z przedstawicielami wymarłej starej rasy.

Strzeliłem z bicia i wrażenie znikło. Słońce wsączało się w piasek.

Dwa smoki zaczęły zaczepiać się nawzajem i musiałem je rozdzielić. Oburzone, usiłowały uchwycić pyskami mój pejcz, ale nie udało im się to. Odetchnąłem pełną piersią. Gdy smoki się oddaliły, stwierdziłem, że uśmiecham się. Samotni, harowaliśmy do końca dnia, zadowoleni i przerażeni jednocześnie.

Wyśliznąwszy się z nocnych wód Adriatyku, płynęliśmy przez cieśninę w stronę Pireusu. Na horyzoncie po obu stronach oszalałymi piękne góry wgrzyzały się w niebo. Statek płynął spokojnie w świetle poranka. Z głośników sączyła się francuska, angielska i grecka muzyka pop. Słońce srebrzyło oblewany wodą pokład i oświetlało kominy statku. Moja kabina mieściła się na górnym poziomie, wyspałem się w niej znakomicie. Zastanawiałem się, jaki wpływ na tę książkę będzie miała Grecja. Głównym tematem książki jest mit. Muzyka płynąca z głośników była tak bardzo odpowiednia dla obecnych czasów. Zdawałem sobie sprawę, jak dobrze pasuje do zamkniętego w murach życia Nowego Jorku. Ten rodzaj spazmatycznego rytmu był chyba jeszcze bardziej stosowny dla pozostałej części naszego świata. Jak mógłbym umieścić Lobeya w centrum tego dźwiękowego chaosu? Zeszłej nocy do późna piłem wino z greckimi marynarzami. W łamanym języku włoskim i jeszcze gorszym greckim rozmawialiśmy o mitach. Talki nie usłyszał opowieści o Orfeuszu w szkole ani nie wyczytał jej z książki: opowiedziała mu ją jego ciotka w Eleusis. A dokąd ja powinienem się udać, aby usłyszeć tę opowieść? Marynarze w moim wieku z upodobaniem słuchali angielskiej i francuskiej muzyki pop z tranzystorowego radia. Starsi woleli tradycyjne greckie piosenki

– O tak, greckie pieśni! – zawołał Demo. – Wszyscy młodzi ludzie na świecie chcą umrzeć jak najszybciej, ponieważ miłość obeszła się z nimi okrutnie!

– Ale nie Orfeusz – powiedział Taila, a zabrzmiało to zarazem nieco wzniosie i nieco tajemniczo.

Czy Orfeusz chciał żyć, utraciwszy po raz drugi Eurydykę? Musiał dokonać wyboru. Obrócone ku przeszłości oblicze czyni Orfeusza kimś bardzo nam bliskim. Jak oddać to wszystko w muzyce?

Dziennik pisarza, Zatoka Koryncka, listopad 1965

*Ujeżdżam piękne smoki
Dla pana smoczycich hord,
I pędzę hordę smoków,
Bo tego chce mój pan.*

Zielonooki śpiewał tę piosenkę, gdy zsiadaliśmy z naszych wierzchowców. Po raz pierwszy dotarły do mnie zarówno słowa, jak i melodia. Zaskoczony, spojrzałem na swego niemego towarzysza. Ale on spokojnie poluzował uprzęż jaszczura.

Niebo przypominało błękitną taflę. Na zachodzie ułożone w smugi chmury pokrywały się brudną żółcią nadchodzącego wieczora. Smoki rzucały długie cienie na piasek. W rozpalonym naprędcie ognisku żarzyły się węgle. Batt już coś gotował.

Skrzyżowanie McClellana i Głównej – powiedział Pająk. – Tu właśnie jesteśmy.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Bywałem już tutaj.

– Aha.

Smoki zrozumiały, że chyba naprawdę zatrzymaliśmy się na dłużej. Wiele z nich położyło się.

Mój wierzchowiec (nieopatrznie nadałem mu bardzo nieprzyzwoite imię, które przyłgnęło do

niego; będę więc nazywał go po prostu: Mój Wierchowiec) czule otarł się pyskiem o mój kark i omal mnie nie przewrócił. Następnie położył szyję na piasku, ugiął przednie nogi i zwałił resztę ciała, gdzie popadło. Tak robią to smoki. To znaczy, tak siadają.

Zrobiłem dziesięć kroków i miałem dosyć. Owinąłem bicz wokół pasa, przysunąłem się jak najbliżej do jedzenia, starając się nie nadepnąć na nikogo, i usiadłem. Zmęczone mięśnie moich nóg zupełnie sflaczały. Sprzęt i zapasy żywności ułożono z boku. Leżał tam Pająk z jedną z rąk zwieszoną swobodnie. Patrzyłem na nią przez płomienie: tylko dlatego, że po prostu znajdowała się naprzeciw mnie. I przy okazji dowiedziałem się kilku rzeczy o Pająku.

Jego dłoń była duża, a nadgarstek – guzowaty. Skóra pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym była popękana, a kłykcie pokryte warstwą przesiąkniętego potem pyłu. Spód dłoni u nasady palców pokrywała warstwa zrogowaciałego naskórka. Były to skutki ciężkiej pracy. Zauważyłem także zgrubienie naskórka przy pierwszym stawie środkowego palca, od strony palca wskazującego. To musiało powstać od trzymania czegoś do pisania. La Dira miała podobne zgrubienie, i kiedyś spytałem ją o nie. Poza tym skóra na czubkach palców lewej ręki była gładka i błyszcząca. Robi się taka od gry na instrumentach strunowych: gitarze, skrzypcach, a może... wiolonczeli? Widziałem takie palce u muzyków, z którymi czasami grywałem. Tak więc Pająk pogania smoki. I pisze. I gra...

Nagle zdałem sobie sprawę, jak trudno jest mi oddychać.

Zacząłem myśleć o drzewach.

Przez moment miałem koszmarną wizję, że Batt zamierza dać nam coś tak trudnego do zjedzenia jak kraby o twardej skorupie lub karczochy.

Oparłem się na ramieniu Zielonookiego i zasnąłem.

Wydaje mi się, że on również spał.

Obudziłem się, kiedy Batt podniósł pokrywkę z garnka, w którym gotowało się mięso. Zapach otworzył mi usta, spłynął do gardła i zawładnął moim żołądkiem. Nie byłem pewien, czy jest to uczucie przyjemne, czy też wręcz przeciwnie. Po prostu usiadłem, nerwowo poruszając szczękami i kurczowo ściskając w dłoniach piasek.

Batt powykladał mięso na blaszane talerze, odgarniając od czasu do czasu włosy opadające mu na oczy. Ciekaw byłem, ile z tych włosów wylądowało w mięsie. Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Byłem po prostu ciekaw. Nasz kucharz rozdawał dymiące talerze i kiedy już dostałem swój, umieściłem go pomiędzy skrzyżowanymi nogami. Wkoło krążył bochenek chleba o skórcie spalonej na węgiel. Nóż odłamał sobie spory kawał, rozsiewając dokoła okruchy. Gdy i ja spróbowałem odłamać kawałek, odezwało się zmęczenie mięśni ramion. Omal nie zacząłem się śmiać. Byłem zbyt zmęczony, by jeść, i zbyt głodny, by spać. Zawsze uważałem jedzenie i spanie za przyjemności, tu stały się obowiązkiem. Umoczyłem chleb w sosie, wsadziłem go do ust, odgryzłem kęs i zadygotałem.

Przełknąłem połowę mojej porcji, zanim zdałem sobie sprawę, że jedzenie było za gorące. Być tak głodnym jak ja wówczas – przerażające!

Zielonooki wpychał sobie coś do ust za pomocą kciuka.

To było jedyne, co zauważyłem podczas jedzenia, zanim Śmierdziel wybełkotał:

– Dajcie mi jeszcze!

Kiedy dostałem dokładkę, zdołałem zwolnić tempo na tyle, że mogłem się rozejrzeć. Sposób, w jaki poszczególne osoby jedzą, może ci wiele o nich powiedzieć. Pamiętam obiad, który ugotowała nam Nativia. O tak, jedzenie było wówczas czymś zupełnie innym. Jak dawno to było: dzień, dwa dni

temu?

– Wiecie – chrząknął Batt, patrząc, jak znika przygotowany przez niego posiłek – będzie jeszcze deser.

– Gdzie on jest? – zapytał Nóż, kończąc swoją dokładkę i sięgając po chleb.

– Najpierw musicie zjeść jeszcze trochę tego – powiedział Batt. – Szlag by mnie trafił, gdybyście deser pożarli tak szybko.

Pochylił się, wziął od Noża talerz i napełnił go ponownie. Szare ręce wysunęły się z cienia i zacisnęły na krawędzi naczynia, po czym znów zniknęły w mroku, skąd po chwili zaczął dobiegać odgłos zawziętego żucia.

Pająk, milczący dotychczas, spojrzał na Batta, mrugając srebrnymi oczami.

– To było dobre, kucharzu – rzekł.

Batt rzucił mu chytre spojrzenie i uśmiechnął się. Pająk, który pogania smoki; Pająk, który pisze; Pająk, który ma w głowie skomplikowaną muzykę Kodalye’go. Dobrze było od kogoś takiego otrzymać pochwałę.

Spoglądałem na przemian na Pajaka i na Batta. Ja też chciałbym móc mu powiedzieć: “To było dobre”, i żeby wywołało to u niego taki sam uśmiech. Zamiast tego jednak z moich ust wydobyły się słowa, które wydarł ze mnie ten niesamowity atak głodu:

– Co jest na deser?

Myślę, że Pająk zasługiwał na większe poważanie niż ja. Ale, jak już mówiłem, wszystkiemu winien był ten głód.

Batt zdjął, używając szmat, ceramiczny garnek z ognia.

– Pierogi z jagodami. Czy mógłbyś podać mi sos rumowy? – zwrócił się do Noża.

Usłyszałem, jak oddech Zielonookiego przyśpieszył się. Moje usta ponownie wypełniła ślina. Zachłannym wzrokiem śledziłem ruch chochli, którą Batt nakładał pierogi na talerze.

– Zabierz swoje paluchy!

– Chciałem tylko spróbować... – wyszeptał Nóż. Szare ręce cofnęły się, a światło ogniska oświetliło na moment język przesuwający się po wargach.

Batt podał mi talerz.

Ostatni został obsłużony Pająk. Czekaliśmy jednak na niego i zaczęliśmy jeść dopiero, gdy otrzymał swoją porcję.

– Noc... piasek... i smoki – zamruczał Śmierdziel. – Taa-aak. – Wyjątkowo trafnie oddał nastrój chwili.

Podniosłem maczetę, aby coś zagrać, gdy odezwał się Pająk.

– Dziś rano pytałeś o Dziecko Śmierć.

– Tak – położyłem maczetę na kolanach. – Mógłbyś mi coś o nim powiedzieć?

Pozostali milczeli.

– Raz wyświadczyłem mu przysługę – powiedział Pająk w zadumie.

– Czy wtedy kiedy był na pustyni? – zapytałem, zastanawiając się, jak to możliwe, że będąc innym, można wyświadczać przysługę Dziecku Śmierci.

– Nie. To było zaraz po tym, jak opuścił pustynię. Zatrzymał się wtedy w pewnym miasteczku.

– Co to jest miasteczko? – spytałem.

– Wiesz, co to jest wioska?

– No jasne. Przecież pochodzę z wioski.

– I wiesz, co to jest miasto? – Pająk zatoczył krąg ręką, – Kiedy wioska staje się stopniowo coraz większa, zamienia się w miasteczko; gdy miasteczko powiększa się, staje się w końcu miastem. Ale to miasteczko, o którym mówię, było wymarłe. To znaczy, było to zatrzymane w rozwoju miasteczko z dawnych czasów. Zrujnowane budynki, zapadłe rynsztoki, martwe liście krążące po ulicach i wokół połamanych latarni. Opuszczona elektrownia, szczury, węże, zniszczone sklepy – wszystko to było w tym miasteczku. Przebywały tam też najbardziej parszywe wyrzutki tuzina gatunków, ziejące nienawiścią do wszystkiego; nienawiścią, jakiej nie mogłaby zrodzić żadna inteligencja. Gdyby za tą nienawiścią krył się jakikolwiek rozumny mózg, wszyscy oni byłiby dystyngowanymi, dekadentkami panami zła w różnych miejscach tego świata, a nie bandą babrającą się w stertach śmieci w jakimś na wpół wymarłym miasteczku. Byli istotami, które nie nadawałyby się nawet do wsadzenia do klatki.

– Co zrobiłeś dla Dziecka Śmierci? – spytałem.

– Zabiłem jego ojca.

Zmarszczyłem brwi.

Pająk podłubał w zębie i po chwili ciągnął dalej:

– Był to odrażający, trzyoki, stu pięćdziesięciokilogramowy potwór. Zamordował co najmniej czterdzieści sześć osób. Mnie samego próbował zabić trzykrotnie. Raz za pomocą trucizny, drugi kluczem francuskim i trzeci granatem. Nie udało mu się mnie dostać, za każdym razem ginęły jakieś inne osoby. Spłodził dwa tuziny dzieci, ale to i tak było znacznie mniej niż wynosiła liczba jego ofiar. Kiedyś, gdy akurat byliśmy w dobrych stosunkach, dał mi jedną ze swych córek. Oprawił ją i poćwiartował własnoręcznie. Świeże mięso było tam rzadkością. Oczywiście, nie pamiętał o jednym ze swych licznych potomków, opuszczonym i zamkniętym w klatce na odległej o tysiąc mil pustyni. Nie zdawał sobie sprawy, że jego syn jest geniuszem zbrodni i psychopata, i że któregoś dnia przyjdzie, aby go odnaleźć. Spotkałem Dziecko Śmierć w tym właśnie miasteczku, gdzie jego ojciec pędził wygodne życie na tyle, na ile było to możliwe w tej kupie gówna. Chłopak miał wówczas około dziesięciu lat. Siedziałem wtedy w barze i słuchałem przechwałek różnych typków. W rogu toczył się pojedynek w zapasach. Pokonany miał zostać zjedzony na obiad. Szczupły chłopiec o włosach koloru marchewki wszedł do środka i usiadł na kupie szmat. Miał złociste oczy i skórę białą jak mydło. Przyglądał się walce, słuchał chwalipiętów i coś rysował palcem u nogi w pyle pokrywającym podłogę. Kiedy rozmowy nudziły go, drapał się w łokieć i robił miny. Kiedy opowieści stawały się fascynujące, nieruchomiał ze złożonymi palcami i pochyloną głową. Słuchał jak ślepiec. Gdy skończono opowiadać, wyszedł. Ktoś szepnął: “To było Dziecko Śmierć” i wszyscy umilkli. Miał już swoją reputację.

Zielonooki przysunął się do mnie. Robiło się chłodno.

– Nieco później wyszedłem pospacerować po parku – kontynuował Pająk – i zobaczyłem go pływającego w niewielkim jeziorze.

– “Hej, Pajaku” – zawołał do mnie.

Podszedłem i przykucnąłem na skraju stawu.

– “Cześć, dzieciaku”.

– “Musisz zabić mojego starego”. – Podpłynął i złapał mnie za kostkę. Chciałem się wyrwać.

Przechylił się do tyłu, aż jego twarz zanurzyła się w wodzie, i zabulgotał: – “Musisz wyświadczyć mi tę drobną przysługę, Pająku. Musisz”.

Jakiś liść przykleił mu się do ramienia.

– “No cóż, skoro o to prosisz” – odparłem.

Stanął w wodzie z włosami opadającymi na twarz, chudy, blady i mokry.

– “Tak, proszę o to” – powiedział.

– “Czy będziesz miał coś przeciw, jeśli zapytam, dlaczego?” – spytałem, odgarniając włosy z jego czoła. Chciałem sprawdzić, czy on jest realny, ale wszystko było rzeczywiste: zimne palce na mojej kostce i mokre włosy pod dłonią.

Uśmiechnął się niewinnie, ale przypominało to uśmiech trupa.

– “Nie, nie mam nic przeciw”. – Skóra jego na wargach, brodawkach sutkowych i u nasady pazurów była pomarszczona od wody. – “Na tym świecie pozostało wiele nienawiści, Pająku. Im jesteś silniejszy, tym mocniej atakują cię wspomnienia nawiedzające tu góry, rzeki, morza i dżungle. A ja jestem silny! Nie jesteśmy ludźmi, Pająku. Dla nas życie i śmierć, realność i irracjonalność nie są tym samym, czym były dla nieszczęsnej rasy, która zostawiła nam w spadku ten świat. Mówi się naszej młodzieży, nawet mnie to mówiono, że zanim rodzice naszych rodziców tu przybyli, takie pojęcia jak: życie, miłość, ruch czy sens istnienia nic dla nas nie znaczyły. Ale dano nam nowy dom i zanim poradzimy sobie z teraźniejszością, musimy poradzić sobie z przeszłością. Musimy jeszcze raz przeżyć historię ludzkości, jeżeli chcemy doczekać swojej własnej przyszłości. Przeszłość mnie przeraża. Dlatego muszę ją zabić; to znaczy, dlatego właśnie musisz dla mnie zabić mojego ojca”.

– “Tak bardzo jesteś związany z przeszłością, dzieciaku?”

Skinął głową.

– “Uwolnij mnie od niej, Pająku”.

– “Co się stanie, jeśli tego nie zrobię?”

Wzruszył ramionami.

– “Będę musiał zabić was wszystkich – westchnął. – Na dnie morza jest tak cicho i spokojnie, Pająku – powiedział i dodał szeptem: – Zabij go!”

– “Gdzie on teraz jest?” – zapytałem.

– “Kołysząc się idzie ulicą, a jego głowę otacza chmara oświetlonych światłem księżycy komarów. Właśnie się pośliznął w kałuży wody stojącej w rynsztoku pod ścianą starego kościoła. Teraz zatrzymał się i pochylił, ciężko dysząc, przy porośniętym mchem murze...”

– “Już nie żyje – rzekłem i otworzyłem oczy. – Obluzowałem betonową płytę, tak aby mogła się ześliznąć...”

– “Pewnie się jeszcze kiedyś spotkamy. – Dziecko Śmierć uśmiechnął się i zanurzył w wodzie. – Być może kiedyś będę mógł coś dla ciebie zrobić, Pająku”.

– “Być może” – powiedziałem.

Zanurkował w srebrnej pianie, a ja wróciłem do baru. Właśnie piekli tam obiad – zakończył opowieść Pająk.

Po chwili odezwałem się:

– Musiałeś mieszkać w tym miasteczku dość długo.

– Żyłem tam na tyle długo, że wolałbym o tym nie pamiętać – odparł. – Jeżeli w ogóle można to

nazwać życiem. – Usiadł przy ognisku i spojrzął wokoło. – Lobey i Zielonooki, wy będziecie pilnować stada pierwsi. Po trzech godzinach obudzicie Noża i Śmierdziela. Ja i Batt obejmujemy ostatnią wartę.

Podnieśliśmy się z Zielonookim, a inni przygotowywali się do snu. Mój Wierzchowiec drzemał. W górze świecił księżyc. Widmowe światła przesuwwały się po garbatych grzbietach smoków. Z obolałymi nogami i zdrętwiałymi ramionami wdrapałem się na Mojego Wierzchowca i razem z Zielonookim zaczęliśmy okrążać stado. Bicz trzymałem przy nodze.

– No co, jak tam smoki? – rzuciłem, nie oczekując odpowiedzi. Ale Zielonooki pogłaskał się brudną ręką po brzuchu. – Głodny, co? Myślę, że są tu wszystkie w komplecie. – Wskazałem na stado i przyjrzałem się temu szczupłemu, umorusanemu młodzieńcowi kołyszącemu się na pokrytym łuskami grzbiecie smoka. – Skąd jesteście? – zapytałem.

Rzucił mi szybki uśmiech.

*Urodziła mnie samotna matka,
Nie mam ojca ni siostry, ni brata.*

Spojrzałem na niego zaskoczony.

*Czekając na mnie, roni łzy
Ma matka w Branning-at-sea.*

– Jesteś z Branning-at-sea? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Więc wracasz do domu.

Ponownie skinął głową.

W milczeniu jechaliśmy dalej, aż wreszcie zacząłem coś grać zmęczonymi palcami. Zielonooki zaśpiewał jeszcze kilka piosenek. Nasze smoki poruszały się lekkim truchtem po zalanych księżycowym światłem wydmach.

Dowiedziałem się, że jego matka była znaczącą postacią w Branning-at-sea, związaną z wieloma ważnymi przywódcami politycznymi. Zielonooki został wysłany z Pajakiem, aby przez rok poganiać smoki. Ten rok wędrówki miał być czymś w rodzaju rytualnej podróży. Teraz, po jej zakończeniu, wracał do matki. Nie rozumiałem jednak jeszcze tak wielu rzeczy w tym szczupłym chłopcu o bujnych włosach, umiejącym tak zręcznie obchodzić się ze stadem.

– Ja? – odezwałem się w odpowiedzi na pytanie zadane przez jego oko błyszczące w blasku zachodzącego księżyca. – Nie będę miał czasu na te wszystkie wspaniałości w Branning-at-sea, o których mi opowiedziałeś. Chętnie zobaczyłbym je, choćby w przelocie. Ale mam parę rzeczy do zrobienia.

Milczące pytanie.

– Idę do Dziecka Śmierci, aby odzyskać Frizę i powstrzymać to coś, co zabija innych. Najprawdopodobniej będę musiał powstrzymać właśnie Dziecko Śmierć.

Skinął głową.

– Przecież nie wiesz, kim jest Friza. Czemu więc potakujesz?

Zadarł głowę do góry, a potem spojrzął na stado.

*Jestem inny, choć niemowa,
W pieśni słyszysz moje słowa.*

Tym razem ja kiwnąłem głową. Pomyślałem o Dziecku Śmierci.

– Nienawidzę go – powiedziałem. – Muszę się nauczyć nienawidzić go tak bardzo, aby móc go znaleźć i zabić.

Nie ma śmierci, jest tylko miłość.

– Czy mógłbyś powtórzyć? – poprosiłem.

Nie powtórzył. Co sprawiło, że zastanowiłem się głębiej nad znaczeniem tej frazy. Zielonooki, utrudzony, patrzył z powagą. Na horyzoncie tłusty księżyc chował się za chmurami. Cienie rzucone przez strzechę włosów towarzysza wydłużyły się i zakryły mu prawie całą twarz. Zamrugał i zawrócił. Zakończyliśmy objazd stada, zagoniwszy dwa próbujące oddalić się smoki. Księżyc, który raz jeszcze ukazał się w całej okazałości, błyszczał na niebie jak wypolerowana tarcza. Obudziliśmy Noża i Śmierdzia, którzy wstali i ruszyli w kierunku swych smoków.

Węgłe jeszcze się żarzyły. Zielonooki przyklęknął, aby popatrzeć na wzór, w jaki ułożyły się one wśród popiołów, i na moment odblask żaru oświetlił jego jednooką twarz. A potem wyciągnął się przy ognisku.

Spałem dobrze, ale obudził mnie ruch przed świtem. Księżyc już zaszedł, a piasek oświetlało tylko światło gwiazd. Węgłe były już zimne. Jeden ze smoków zasyczał. Dwa zajęczały. Cisza. Nóż i Śmierdziel wracali. Pająk i Batt wstawali.

Odwróciłem się na drugi bok. Ponownie obudziłem się, gdy pojedyncza smuga błękitu oświetlała wydmy na wschodzie. Smok Batta zbliżył się do wygasłego ogniska. Wkrótce nadjechał też Pająk. Uniosłem się na łokciach.

– Obudziłem cię? – zapytał Pająk.

– Co? – wymamrotałem półprzytomnie.

– Znów nuciłem sobie w myślach Kodalye'go.

– Aha. – Słyszałem melodię płynącą wśród chłodnych piasków. – Nie, nie obudziłeś mnie. Nie spałem już od jakiegoś czasu. – Podniosłem się. Pająk i Batt zamierzali rozpocząć kolejną rundę wokół stada. – Zaczekaj chwilę! – zawołałem do Pajaka. – Pojadę z tobą. Chcę cię o coś zapytać.

Nie zczekał, ale ja szybko wskoczyłem na smoka i dogoniłem go. Zaśmiał się cicho, gdy zrównałem się z nim.

– Jeszcze kilka dni, a nie będziesz już taki skory, aby rezygnować z ostatnich minut snu – powiedział.

– Jestem zbyt obolały, aby spać – odrzekłem. Jazda nieco rozluźniła moje zeszywniałe od chłodu członki.

– O co chciałeś mnie spytać? – odezwał się Pająk.

– O Dziecko Śmierci.

– A konkretnie?

– Mówiłeś, że znasz go. Gdzie mogę go znaleźć?

Pająk milczał. Mój Wierzchowiec pośliznął się, ale zaraz odzyskał równowagę.

– Nawet gdybym mógł ci to powiedzieć, nawet gdyby mogło ci to pomóc, czemu miałbym to zrobić? – rzekł wreszcie Pająk. – Dziecko Śmierć może się ciebie pozbyć o tak – uderzył biczem w piasek. – Poza tym myślę, że on nie byłby zadowolony, gdybym opowiadał, gdzie można go znaleźć, ludziom, którzy chcą go zabić.

– Nie sądzę, by robiło mu to jakąkolwiek różnicę, jeśli tylko jest tak potężny, jak mówisz – powiedziałem i pogładziłem kciukiem ustnik maczety.

Pająk wzruszył kilkoma ze swych ramion.

– Możliwe. Ale, jak już mówiłem, Dziecko Śmierć jest moim przyjacielem.

– Ma cię w garści, co? – powiedziałem, usiłując być dowcipnym.

– Tak jakby – odparł Pająk.

Zdzieliłem pejczem smoka, który, zdaje się, chciał się oddalić. Jaszczur ziewnął, potrząsnął grzebieniem i znów się położył.

– W pewnym sensie on ma w garści również mnie – odezwałem się. – Powiedział, że będę go próbował znaleźć, dopóki nie dowiem się o nim dostatecznie dużo. Potem będę przed nim uciekał.

– Igra z tobą – powiedział Pająk, uśmiechając się drwiąco.

– Tak naprawdę to on ma nas wszystkich w garści – stwierdziłem.

– Tak jakby – powtórzył Pająk.

Zmarszczyłem brwi.

– “Tak jakby” to znaczy, że nie całkiem. Co masz na myśli?

– Widzisz – rzekł Pająk, nie patrząc na mnie – istnieją tacy, których Dziecko Śmierć nie może tknąć; kimś takim był jego ojciec. Właśnie dlatego prosił mnie, abym to ja go zabił.

– Znasz jeszcze kogoś takiego?

– Tak. Zielonooki i jego matka.

– Zielonooki? – Powtórzyłem to imię, zadając jednocześnie pytanie, którego Pająk być może nie dosłyszał. Albo nie chciał usłyszeć. Zadałem więc następne: – Dlaczego Zielonooki musiał opuścić Branning-at-sea? Tłumaczył mi to w nocy, ale niezupełnie zrozumiałem.

– On nie ma ojca – powiedział Pająk. Wyglądało na to, że był bardziej skłonny do rozmowy na ten temat.

– Czy nie można było przeprowadzić testu na ojcostwo? Wędrowni znachorzy często to robią w mojej wiosce.

– Nie powiedziałem, że nie wiadomo, kto jest jego ojcem. On w ogóle nie ma ojca.

Zmarszczyłem brwi.

– Jak tam z twoimi genami? – zapytał Pająk.

– Mogę narysować ci wykres cech dominujących – odparłem.

Większość mieszkańców tego świata, nawet w najmniejszych wioskach, знаła zestaw swych genów, nawet jeśli nie umieli dodawać – ludzki system chromosomowy był tak niesprawny w obliczu wysokiego poziomu promieniowania, że genetyka była wiedzą niezbędną do przeżycia. Często

dziwiłem się, dlaczego nie wynaleźliśmy jakiejś skuteczniejszej i bardziej odpowiedniej dla nas metody rozmnażania. Nie wykazaliśmy seksualnej inwencji. Byliśmy po prostu zbyt leniwi.

– Mów dalej – poprosiłem.

– Zielonooki nie miał ojca – powtórzył Pająk.

– Dzierwórdztwo? – zapytałem. – To niemożliwe. Chromosom różnicujący płeć znajduje się tylko u samców. Samice i obojnaki mają zestaw chromosomów, który pozwala reprodukcja tylko inne samice. Zielonooki musiałby więc być bezpłodną haploidalną dziewczyną. A on z pewnością dziewczyną nie jest. – Zastanowiłem się przez chwilę. – Oczywiście, gdyby był ptakiem, to co innego. Tam chromosom różnicujący płeć znajduje się u samic. – Spojrzałem na stado. – Tak samo jest u gadów.

– Ale on nie jest ani ptakiem, ani gadem – rzekł Pająk.

Zgodziłem się.

– To zdumiewające – powiedziałem, patrząc w stronę ogniska, gdzie spał tajemniczy młodzieniec.

Pająk przytaknął.

– Kiedy się urodził, z różnych stron przybyli mędrcy, aby go zbadać. Jest haploidalny. Ale jest płodny i bez wątplenia jest samcem, chociaż twarde życie przytępiło jego temperament.

– To niedobrze. Pająk przytaknął.

– Gdyby wziął aktywny udział w orgiach, które odbywają się podczas przesilenia dnia z nocą, lub wykonał jakiś pojednawczy gest podczas jesiennych uroczystości dożynkowych, mógłby uniknąć wielu kłopotów.

Uniosłem brew.

– Któż to wie, czy nie brał udziału w orgiach. Przecież odbywają się one w Branning podczas nowiu, czyż nie tak?

Pająk roześmiał się.

– Tak. Ale w Branning-at-sea orgie stały się tylko formalnym rytuałem. Tak naprawdę załatwia się to za pomocą sztucznego zapłodnienia. Prezentacji nasienia, a zwłaszcza nasienia mężczyzn pochodzących z ważnych rodów, nadaje się spory rozgłos.

– Jak można takie sprawy załatwiać tak formalnie i bezosobowo?

– Masz rację. Ale najważniejsze, że system ten jest skuteczny. Kiedy miasto ma ponad milion mieszkańców, nie można po prostu wyłączyć świateł i pozwolić, aby wszyscy szaleli na ulicach, tak jak wy to robicie w małej wiosce. Tak się to odbywało w przeszłości, gdy Branning-at-sea było znacznie mniejsze, ale nawet wtedy rezultaty były...

– Milion mieszkańców? – przerwałem mu. – Tyle liczy Branning-at-sea?

– Według ostatniego spisu ludności: trzy miliony sześćset pięćdziesiąt tysięcy.

Gwizdnałem.

– To bardzo dużo.

– To więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Spojrzałem na stado smoków; było ich tylko nieco ponad dwieście.

– Co to za przyjemność brać udział w orgiach ze sztucznym zapłodnieniem? – spytałem.

– W dużej społeczności – odrzekł Pająk – trzeba to robić w taki właśnie sposób. Dopóki istnieje jako taka równowaga w banku genów, jedyne, co można z nimi robić, to bez przerwy mieszać je z

sobą. My jednak, niestety, mamy tendencję do tworzenia klanów rodzinnych, co znacznie wyraźniej uwidacznia się w takich miejscach jak Branning-at-sea niż gdzieś tam w górach czy w lasach. To jest problem, jak zmusić ludzi, by mieli nie więcej niż jedno dziecko z tym samym partnerem. W wioskach zagubionych w dżungli kilka nocnych orgii załatwia tę sprawę. W Branning zapewniają to precyzyjne matematyczne obliczenia. Wiele rodzin z ochotą podwoiłoby liczbę swych dzieci, gdyby tylko dano im choć cień szansy. Zielonooki w każdym razie chodzi własnymi drogami. Od czasu do czasu mówi złym ludziom prawdę w oczy. Fakt, że jest inny, że pochodzi z ogólnie szanowanej rodziny, że jest uodporniony na potęgę Dziecka Śmierci i wreszcie że nie przestrzega rygorystycznie obrzędów – wszystko to czyni go postacią kontrowersyjną. Wszyscy kładą to na karb jego partenogenetycznych narodzin.

– Nawet w mojej wiosce patrzyli na takie przypadki bardzo nieprzychylnie – powiedziałem. – Znaczy to, że skład jego genów jest identyczny z genotypem jego matki. Tak nie może być. Jeśli będzie się to zdarzało zbyt często, nigdy nie powrócimy do wielkiego rock and rolla.

– Mówisz jak ci pompatyczni głupcy w Branning. – Pająk był zirytowany.

– Tak mnie uczono.

– Pomyśl przez chwilę. Za każdym razem, kiedy tak mówisz, przybliżasz Zielonookiego do śmierci.

– Co?!

– Już próbowano go zabić. Jak myślisz, dlaczego wysłano go ze mną?

– Och – powiedziałem. – W takim razie dlaczego tam wraca?

– Bo chce. – Pająk wzruszył ramionami. – Nikt nie jest w stanie go powstrzymać, jeśli coś postanowi.

Chrząknąłem.

– Z tego, co mówisz, wynika, że Branning-at-sea nie jest zbyt przyjemnym miejscem. Mnóstwo tam ludzi, połowa z nich to szaleńcy, i nawet nie wiedzą, jak urządzić porządną orgię. – Uniosłem maczetę. – Nie mam czasu na takie nonsensy.

Popłynęła muzyka: lekkie, wysokie dźwięki.

– Lobey.

Spojrzałem na Pajaka.

– Coś się dzieje, Lobey; coś, co zdarzyło się już przedtem, kiedy żyli tu nasi poprzednicy. Wielu z nas jest zaniepokojonych. Znamy liczne stare opowieści o tym wydarzeniu i jego skutkach dla dawnych mieszkańców tego świata. To może być coś bardzo poważnego i skutki tego mogą dotknąć nas wszystkich.

– Jestem zmęczony starymi opowieściami – rzekłem. – Nie jesteśmy nimi, jesteśmy nowi; nowi dla tego świata i tego życia. Znam opowieści o Lo Orfeuszu i Lo Ringu. Tylko one mnie obchodzą. Muszę znaleźć Frizę.

– Lobey...

– Reszta mnie nie obchodzi. – Wydobyłem z maczety piskliwy dźwięk. – Obudź poganiaczy, Pajaku. Musisz przecież doprowadzić smoki do celu.

Pogalopowałem na Moim Wierzchowcu. Pająk nie zatrzymał mnie.

Zanim słońce dosięgło zenitu, skraj Miasta zarysował się na horyzoncie. Strzelając z bicia w

obezwładniającym upale, rozpamiętywałem ostatnie słowa Zielonookiego, bijąc się z myślami: jeśli nie ma śmierci, to jak odzyskam Frizę? Czy aby ją odzyskać, wystarczy miłość, nawet najgłębsza i najsilniejsza? Pomyślałem też o La Dire (smoki, pozostawiając za sobą gorące piaski, wspięły się tymczasem na pokryte zielenią wzgórza), która wyraziła to inaczej: nie ma śmierci, jest tylko rytm. Kiedy opuściliśmy krainę czerwonych piasków, a smoki przyspieszyły, czując się pewniej na twardszym gruncie, wyjąłem maczetę i zacząłem grać.

Miasto zostało za nami.

Jaszczury swobodnie cwałowały teraz przez teren porośnięty janowcami. Wśród pagórków wił się strumień, przy którym zwierzęta zatrzymały się, aby zaznać ochłody w wodzie. Zanurzając głowy w strumieniu, smoki drapały tylnymi pazurami ziemię na brzegu, wyrzucając w powietrze trawę, piasek i czarną glebę. Zaczęły też wyrywać wodorosty i woda, sięgająca im do kolan, stała się mulista. Na jednej z gałęzi zwieszających się nad strumieniem kołysała się mucha i gładziła zgnieciony fragment skrzydła (skrzydła wielkości mej stopy) w rytm jakiejś linearnej owadziej muzyki. Zagrałem ją dla niej, a ona obróciła ku mnie swe czerwone spodkowate oczy i wyraziła pochwałę. Smoki odrzuciły do tyłu głowy, płuczac sobie gardła.

Nie ma śmierci.

Jest tylko muzyka.

*Gdy szedł po pogorzeliśku,
Nad czołem mu błyszczał kryształ,
A błękit wypełniał serce.
Wtem ból straszny ciało ścisnął,
W krwi skąpany klejnot błysnął,
Gdy w popiołów padł kobierce.*

Thomas Chatterton, Angielska przemiana

– Tak, teraz to ma ciekawy smak – powiedział Durcet. – No, Curval, co o nim myślisz?

– Wspaniały – odparł prezydent. – Oto mamy osobnika, który chce się zapoznać z ideą śmierci, nie obawiając się jej, i który nie znalazł lepszego rozwiązania niż skojarzenie jej z ideą libertynów...

...Podano kolację, po której jak zwykle nastąpiły orgie. Służba poszła spać.

Markiz de Sade, 120 dni Sodomy

...każda bańka jest całkowicie wypełniona wodą.

Samuel Greenburg, Szklane bańki

Dotarliśmy do Pękniętej Krainy, gdzie musieliśmy zwołnić. (“To – powiedział Pająk, zatrzymawszy swego smoka – jest Pęknięta Kraina”. Rzucił w dół kamyk, który zagrzecotał, spadając na dno kanionu. Smoki, wyciągając szyje, patrzyły z ciekawością na granitowe skały, pocięte żyłami urwiska i przepaście). Chmury zakryły słońce. Wokół snuła się gorąca mgła. Kolejno poruszałem poszczególnymi mięśniami, aby wycisnąć z nich zmęczenie. Ból niemal całkowicie (to niespodzianka!) ustąpił. Kluczyliśmy pomiędzy fantastycznie ukształtowanymi pojedynczymi skałami.

Właśnie tam smoki postanowiły zrobić sobie odpoczynek.

Pająk powiedział, że do Branning-at-sea zostało jeszcze około czterdziestu kilometrów. Wiatr ogrzewał nasze twarze. Skały błyszczały niczym szkło. Pięć smoków rozpoczęło bójkę. Jednym z nich była dotknięta rakiem samica. Zielonooki i ja podjechaliśmy do nich z dwu przeciwnych stron. Pająk był zajęty na czele stada; bójka miała miejsce bliżej tyłów. Nagle coś spłoszyło jaszczury, i pognały w dół stoku. Nie przyszło mi do głowy, że coś jest nie w porządku; takim rzeczom powinien przecież zapobiegać Pająk. (Podobnie jak robiła to Friza. Och, Frizo, znajdę cię w echach żałobnej pieśni wszystkich skał i w modlitwach wszystkich drzew!) Ruszyliśmy za smokami.

One tymczasem kluczyły pomiędzy głazami. Zawołałem na nie. Zaświstały nasze bicze. Nie mogliśmy dogonić smoków. Mieliśmy nadzieję, że znów zaczną walczyć. Straciliśmy je z oczu na minutę, a potem usłyszeliśmy ich syki gdzieś niżej, między skałami.

Chmury pokryły niebo i deszcz polakierował szlak przed nami. Mój Wierzchowiec pośliznął się na

mokrej skale. Spadłem, obcierając sobie biodro i ramię. Słyszałem brzęk maczety spadającej gdzieś między kamienie. Pejcz oplatał mi się wokół szyi i przez chwilę myślałem, że się uduszę. Toczyłem się w dół stoku, usiłując się czegoś uchwycić. Przybywało mi obtarć i zadrapań. Nagle przetoczyłem się przez krawędź skalną i w ostatniej chwili uchwyciłem się jej kurczowo dłońmi i stopami. Uderzyłem piersią i brzuchem o skałę i na długą chwilę straciłem oddech. Gdy powrócił, wdarł się, rycząc, w moje spragnione gardło i zawirował wewnątrz podrapanej klatki piersiowej. Pęknięte żebra? Nie, to tylko ból. I ponowny ryk, z kolejnym wdechem. Łzy zamgłiły mi wzrok.

Lewą dłonią trzymałem się skały, a prawą – jakiegoś pnącza; lewa stopa zacisnęła się na korzeniach wątlego drzewka, prawa natomiast zwisała. A w dół było bardzo daleko.

Potarłem ramieniem oko i spojrzałem w górę.

Widać było krawędź szlaku biegnącego skrajem przepaści, a wyżej wisiało gniewne niebo.

Dźwięk? To tylko wiatr zaszumił gdzieś w janowcach. To nie muzyka.

Zaczęło padać. Kiedy po strasznych katastrofach zdarzają się rzeczy prozaiczne, a nawet przyjemne, wywołuje to płacz. Zapłakałem.

– Lobey.

Ponownie spojrzałem w górę.

Po prawej, metr nade mną, na półce skalnej klęczał Dziecko Śmierć.

– Ty?

– Lobey – powiedział, strząsając mokre włosy z czoła – wiem, że możesz się tak trzymać przez dwadzieścia siedem minut, póki nie spadniesz z wyczerpania. Zamierzam więc poczekać dwadzieścia sześć minut, zanim cię uratuję. Dobrze?

Zakaszlałem.

Widząc go z bliska, oceniłem jego wiek na jakieś szesnaście – siedemnaście lat; być może był nawet młodo wyglądającym dwudziestolatkiem. Jego skóra była pomarszczona na nadgarstkach, na szyi i pod pachami.

Deszcz zalewał mi oczy; paliły mnie dłonie, a to, czego się trzymałem, stawało się coraz bardziej śliskie.

– Czy kiedykolwiek widziałeś jakieś dobre westerny? – zapytał Dziecko Śmierć, przekrzywiając głowę. – To niedobrze, że nie widziałeś. Niczego nie lubię bardziej od westernów. – Przesunął palec wskazujący pod nosem i powąchał go. Deszcz tańczył na jego ramionach, gdy pochylał się, mówiąc do mnie.

– Co to jest western? – zapytałem. Ciągle bolała mnie pierś. – Czy naprawdę zamierzasz – znowu zakaszlałem – trzymać mnie tu wiszącego tak przez dwadzieścia sześć minut?

– Jest to pewien rodzaj sztuki, którą uprawiała Stara Rasa, zanim my się zjawiliśmy – powiedział. – Tak, zamierzam cię tak trzymać. Tortura też jest formą sztuki. Chcę cię uratować w ostatniej chwili. Czekać chcę ci coś pokazać. – Wskazał na biegnący w górze szlak.

Friza spoglądała w dół.

Przestałem oddychać. Ból w piersi eksplodował, a rozszerzone oczy wypełniły się deszczem. Patrzyłem na jej brązową twarz i szczupłe, mokre ramiona. Obserwowałem, jak odwraca głowę, by chwytać krople deszczu ustami. (Spod mego brzucha osuwał się żwir. Bicz był ciągle owinięty wokół mojej szyi, a jego rączka zwisała przy udzie.) Gdy znowu spojrzała w dół, zobaczyłem (a może usłyszałem?) jej zdziwienie przywróconym życiem, deszczem, potrzaskanymi skałami i chmurami. Jej

oczy błyszczały. I wtedy mnie zobaczyła. Gdyby mogła mówić, byłaby zawołała; zamiast tego impulsywnie wyciągnęła ku mnie rękę (czy słyszałem jej strach?).

– Friza!

To był wrzask.

Tylko ja rozumiałem słowo, które wtedy wrzasnąłem. Nikt inny, słysząc dźwięk, który wydobył się z mego gardła, nie rozpoznałby go.

Otworzyła oczy na deszczu, zlizwała kroplę z warg, spojrzała w dół i zdała sobie sprawę, że ktoś za chwilę umrze i ten ktoś usiłuje wykrzyknąć jej imię.

A ja ciągle wrzeszczałem.

Dziecko Śmierć natomiast, siedząc między nami, chichotał

Friza zaczęła rozglądać się za czymś, czym mogłaby mnie dosięgnąć. Wstała, zniknęła na chwilę i zaraz była z powrotem, trzymając się przygiętego drzewka.

– Nie, Frizo!

Ale ona już zaczęła schodzić do mnie, a spod jej stóp osuwała się ziemia i drobny żwir. Kiedy zsunęła się na tyle, na ile pozwalało jej drzewko, wygięła swe ciało i chwyciła rączkę pejcza – nie rękami czy stopami, ale raczej w ten sposób, w jaki kiedyś rzuciła kamyk i jak Pająk swego czasu zepchnął betonową płytę. Złapała więc rączkę bicza, uniosła ją i zawiązała wokół drzewka, przy ostatnim rozwidleniu jego korony. Zaczęła wspinać się z powrotem: wyrzut ramienia, podciągnięcie, wyrzut, podciągnięcie. Chwytała się kolejnych gałęzi, była coraz bliżej krawędzi przepaści. Ciągle o tym myślę: oto Friza po tak wielu dniach budzi się ze śmiertelnego snu tylko po to, aby po chwili olśnienia rzucić się na ratunek czyjegoś zagrożonego życia. Pragnęła mnie uratować. Chciała, abym trzymając się pejcza, mógł podciągnąć się do drzewka, a po nim wspiąć się do krawędzi urwiska. Byłem poraniony i kochałem ją, trzymałem się i nie spadałem.

Dziecko Śmierć ciągle chichotał. A potem wskazał na wierzchołek drzewka i wyszeptał:

– Złam się!

Złamało się.

Friza spadała. Usiłowała jeszcze złapać się występów skalnych, na chwilę chwyciła wiszący u mej szyi pejcz, ale zaraz go puściła.

Puściła go, bo wiedziała, że w przeciwnym razie spadłbym razem z nią.

– Bee, bee! – zabeczał Dziecko Śmierć, naśladując kozę. Znowu chichotał.

Wcisnąłem twarz w skałę.

– Frizaaaaaa!!!

Nie, nikt nie byłby w stanie zrozumieć mego wycia.

Jej muzyka roztrzaskała się razem z jej mózgiem na dnie kanionu trzydzieści metrów poniżej.

Skała. Kamień. Próbowwała stać się skałą. Gdyby jej podwójna śmierć aż tak bardzo mną nie wstrząsnęła – spadłbym. Gdyby umarła w jakikolwiek inny sposób – umarłbym wraz z nią. Ale nie mogłem pozwolić, aby jej poświęcenie poszło na marne.

Moje serce biło w rytmie rock and rolla.

Zdrętwiały, wisiałem, tracąc poczucie czasu, aż wreszcie moje dłonie zaczęły się ześlizgiwać.

– No dobrze. W górę!

Coś chwyciło mnie mocno za nadgarstek i wyciągnęło do góry. Moje ramiona były gongami bólu.

Mrugałem i ciężko oddychałem. Dziecko Śmierć w jakiś sposób zdołał podciągnąć mnie do miejsca, gdzie siedział.

– Właśnie uratowałem ci życie – powiedział. – Nie jesteś zadowolony?

Zacząłem dygotać.

– Masz zamiar krzyczeć: “Zabiłeś ją!”? – dodał. – Tak, naprawdę zabiłem ją po raz drugi. I, być może, będę to musiał zrobić po raz trzeci, zanim zrozumiesz...

Osunąłem się w dół i już byłoby po mnie, gdyby mój towarzysz nie złapał mnie silną, wilgotną ręką. Drugą ręką zaczął uderzać mnie po twarzy. Deszcz przestał padać.

Być może zrobił wówczas coś więcej, niż tylko mnie ocucił.

Odwrócił się i zaczął wspinać się ku krawędzi urwiska i szlakowi. Poszedłem w jego ślady.

Wspinałem się.

Ziemia osuwała mi się spod palców. Jak to dobrze, że miałem obgryzione paznokcie, bo bym je wówczas stracił. Przekroczyliśmy skalną krawędź i ruszyliśmy dalej w górę łagodniejszego już stoku. Dziecko Śmierć poruszał się susami. Ja się czołgałem.

W pewnych warunkach działa się niemal zupełnie machinalnie. Ruch, oddech, odpoczynek, znowu ruch, a w mózgu tylko jedna myśl. Tak właśnie się poruszałem. Większą część drogi przebyłem na brzuchu i ze wstrzymanym oddechem. Taki wysiłek nie pozostawia czasu na myślenie. Oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy zdałem sobie sprawę, że przede mną stoją dwie osoby: mokry blady rudzielec i umorusany Zielonooki ze strzechą czarnych włosów.

Leżałem na skale zmęczony i wyczerpany.

Obaj stali na skraju przepaści. Dziecko Śmierć trzymał rękę na ramieniu Zielonookiego, a niebo przed nimi wirowało.

– Słuchaj, kolego – mówił Dziecko Śmierć – musimy dojść do jakiegoś porozumienia. Chyba nie myślisz, że przyszedłem tu tylko po to, aby ukraść pięć smoków memu przyjacielowi Pająkowi? Chciałem mu po prostu zasygnalizować, że ciągle działałem. Ale w zasadzie interesujesz mnie ty. Musimy się trzymać razem. Jesteś haploidalny, co stawia cię całkowicie poza moim zasięgiem. Potrzebuję cię. Bardzo cię potrzebuję, Zielonooki.

Wybrudzony poganiasz strząsnął z ramienia mokre palce.

– Spójrz – Dziecko Śmierć wskazał na oszalałe niebo.

Pośród skłębionych chmur jak na ekranie ujrzałem równinę otoczoną ogrodzeniem (jakiś rodzaj klatki?). Wewnątrz ogrodzenia znajdowała się ogromna strzelista iglica, której na wpół rozpadająca się konstrukcja zabezpieczona była licznymi podporami i odciągami. Zdałem sobie sprawę z jej ogromu, gdy zorientowałem się, że kawałki skał o regularnym kształcie, leżące przy ogrodzeniu, są domami, a poruszające się wokół nich kropki – to ludzie.

– Gwiezdna sonda – powiedział Dziecko Śmierć. – Oni są u progu odkrycia metody, którą zastosowali ludzie, aby przenosić się z planety na planetę, od gwiazdy do gwiazdy. Już od dziesięciu lat badają ruiny, wypróbowują stare pomysły, liżą kawałki metalu i drutów. Wszystko jest już prawie na ukończeniu.

Skinął dłonią. Gigantyczny ekran na niebie wypełnił się teraz bezmiarem wody: ocean. Na wodzie metalowe pontony formowały coś w rodzaju metalowej platformy. Wokół krążyły łodzie. Żurawie stojące na platformie opuszczały na dno morza metalową kabinę.

– Batyskaf – wyjaśnił Dziecko Śmierć. – Wkrótce będziemy mogli robić na dnie oceanu rzeczy, o

których nawet nie marzyliśmy. Musimy tylko oddawać się pracy z takim zaangażowaniem jak dawni ludzie.

Następne skinienie ręki i oto oglądaliśmy jakieś podziemia. Kobiety w kaskach kierowały złożonymi z licznych segmentów maszynami przypominającymi wielkie robaki.

– Te skalne tunele są obecnie drążone w miejscu, które oni zwali Chile.

Wreszcie finalny ruch ręki ukazał nam tysiące pracujących osób: mielących ziarno lub wykonujących inne ciężkie prace, używających błyszczących i zaskakująco skomplikowanych narzędzi.

– Oto osiągnięcia wszystkich mężczyzn, kobiet i hermafrodytów tego świata – mówił Dziecko Śmierć. – Dokonano tego, wykorzystując wiedzę starej rasy. Mogę ci ofiarować całe to bogactwo (oko Zielonookiego rozszerzyło się). Gwarantuję ci to. Wiesz, że mogę to zrobić. Musisz tylko przyłączyć się do mnie.

Biała ręka ponownie spoczęła na ramieniu Zielonookiego i ponownie została strząśnięta.

– Jaką masz siłę? – kontynuował Dziecko Śmierć. – Co możesz zrobić z tą całą swoją innością? Przemawiać do kilku głuchych i martwych, wnikać w umysły garstki jakichś idiotów?

Nagle zdałem sobie sprawę, że Dziecko Śmierć jest bardzo zdenerwowany. I że bardzo pragnie, aby Zielonooki przyłączył się do niego.

Ale Zielonooki odwrócił się i ruszył naprzód.

– Hej, Zielonooki! – ryknął Dziecko Śmierć. Ten ryk wypchnął całe powietrze z jego płuc, aż zapadł mu się brzuch. Pazury miał zaciśnięte.

Zielonooki obejrzał się.

– Ta skała! – Dziecko Śmierć wskazał odłamek skalny na skraju urwiska. – Zmień ją w coś do jedzenia!

Zielonooki podrapał się brudnym palcem za uchem.

– Od dwudziestu siedmiu dni pędzisz te smoki. Prawie przez rok nie było cię w Branning-at-sea. Zmień tę kłodę w łóżko, w którym sypiałeś w domu twojej matki! Byłeś księciem w Branning, a teraz śmierdzisz jak smocze gówno. Zmień tę kałużę w onyksową wannę z wodą o temperaturze kontrolowanej za pomocą miedzianego kurka w kształcie głowy szczura! Skóra na rękach ci zgrubiała, a twoje nogi wykrzywiły się od jazdy na smoczym grzbiecie. Gdzie są tancerki, które tańczyły dla ciebie na tarasie wykładanym jadeitowymi płytkami? Gdzie są muzycy, którzy umilali ci wieczory? Zmień te skały wokoło w miejsce warte ciebie...

W tym momencie Zielonooki odwrócił się i zobaczył mnie. Ruszył w moją stronę, podnosząc po drodze leżącą pod skałą maczetę, i po kilku skokach był obok.

Na krawędzi przepaści Dziecko Śmierć szalał z wściekłości. Cały dygotał z zaciśniętymi zębami i pięściami wciśniętymi w pachwiny. Nagle obrócił się i zawołał.

Uderzył piorun.

Z przestrachu szarpnąłem się do tyłu. Zielonooki nawet nie drgnął. Próbował pomóc mi usiąść. Na krawędzi urwiska Dziecko Śmierć potrząsał rękami. Błyskawice oświetlały chmury. W ich blasku liście zmieniały kolor z czarnego na seledynowy. Zielonooki nawet nie mrugnął. Znowu uderzył piorun, a potem zaczęło lać jak z cebra.

Na ramieniu Zielonookiego pył szlaku zmienił się w błoto, gdy pomagał mi iść wzdłuż stoku. Coś wewnątrz mnie było nie w porządku. Deszcz był zimny. Dostałem dreszczy. Przestałem się

mobilizować. Tak łatwo było się odprężyć...

Zielonooki potrząsał mną za ramię. Otworzyłem oczy zalewane deszczem i pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było sięgnięcie po maczetę. Poganiacz jednak trzymał ją poza zasięgiem moich ramion i wpatrywał się we mnie uporczywie.

– Co... Co... się stało? – zapytałem. Czułem mrowienie w palcach rąk i nóg. Deszcz boleśnie szczypał mnie w uszy i usta.

Zielonooki krzyczał, jego wargi odsłaniały białe zęby. Deszcz złobił smugi na jego brudnej twarzy i ściekał po błyszczących, mokrych włosach. Ciągłe potrząsał mną za ramię, zatroskany i wściekły.

– Co się stało? – zapytałem ponownie. – Czy ja zemdlałem?

– *Umarłeś!* – Zielonooki patrzył na mnie z niedowierzaniem i gniewem. – *Niech cię diabli, Lobey! Dlaczego musiałeś umrzeć? Po prostu poddałeś się, zdecydowałeś, że nie warto żyć, pozwoliłeś zatrzymać się sercu i zgasileś mózg. Umarłeś, Lobey! Umarłeś!*

– Ale teraz nie jestem martwy...

– *Nie.* – Pomógł mi wstać. – *Muzyka znowu gra. Chodźmy.*

Ponownie sięgnąłem po maczetę. Tym razem Zielonooki pozwolił mi ją wziąć. W pobliżu nie było niczego, co mógłbym posiekać na kawałki. Czułem się po prostu lepiej, mając ją w ręku. Padało zbyt mocno, bym mógł grać.

Znaleźliśmy nasze wierzchowce w potoku, jęczące ze szczęścia i wesoło wymachujące wąsami. Zielonooki pomógł mi wsiąść na mego jaszczura. Na mokrym smoku, obojętnie, czy w siodle, czy na oklep, jechało się tak, jakby jego grzbiet był wysmarowany wazeliną. W końcu dotarliśmy do stada powoli brnącego przez ulewę.

Podjechał do nas Pająk.

– Więc jesteście! Już myślałem, że straciliśmy was. Jedźcie na koniec stada i pilnujcie, żeby smoki nie żarły opuncji. Zachowują się wtedy jak pijane i nie można nad nimi panować.

Pojechaliśmy więc na koniec stada i pilnowaliśmy, żeby smoki nie żarły opuncji. W myślach układałem sobie zdania, aby opowiedzieć Pająkowi o tym, co się zdarzyło. Przeżuwałem słowa, ale nie łączyły się one w żadną sensowną opowieść. Kiedy nie mogłem już tego znieść, okrążyłem stado i popędziłem po błotnistym stoku w stronę Pajaka.

– Szefie, Dziecko Śmierć jest tutaj i...

Popełniłem błąd. Gdy jeździec się odwrócił, zobaczyłem, że to wcale nie Pająk. Czerwone włosy opadały mu na brwi. Odrzucił głowę do tyłu, zanosząc się potępieńczym śmiechem, który odsłaniał igłowate żaby i wywoływał uderzenia piorunów. Nagi na swym smoku, wywijał nad głową czarno-srebrnym kapeluszem. Dwa rewolwery zwisały w olstrach przy jego biodrach, a ich kolby lśniły mlecznym blaskiem. Gdy jego smok stanął dęba, zobaczyłem przypięte do bosych stóp ostrogi, które z okrucieństwem wbijał w bok jaszczura.

Oszołomiony, przetarłem zalewane deszczem oczy. Złudzenie przysło. Oniemiały ze zdumienia, pogałem z powrotem na skraj stada.

Jean Hartów? Chrystus, Orfeusz, Bilfy Kid – to rozumiem. Ale nie mogę pojąć, jak takiego młodego, ciężko pracującego pisarza jak ty mogła aż tak omotać ta Wielka Biała Dziwka?!

Chociaż, prawdę mówiąc, wcale się temu nie dziwię.

Gregory Corso, W rozmowie

To nie jest tak, że miłość czasami się myli. Ona sama jest pomyłką. Zakochujemy się, gdy nasza wyobraźnia idealizuje inne osoby. Pewnego dnia te fantasmagorie znikają, a wraz z nimi umiera miłość.

Ortega y Gasset, O miłości

Byłem otępiały ze zmęczenia i machinalnie wypełniałem swe obowiązki. Minęła prawie godzina, zanim zorientowałem się, że przestało padać. I że zmienił się krajobraz.

Skały zostały za nami. Mokre krzaki i płożące się pędy szeleściły pod pazurami smoków. Pasma szarego gruntu ciągnęło się po lewej, biegnąc w dół niewielkiej pochyłości.

– Czy my poruszamy się po tej śmiesznej kamiennej wstędze? – zapytałem Śmierdziela.

Ten zachichotał i zaślinił się.

– Hej, Lobey, założę się, że to pierwsza szosa, jaką widzisz w życiu, nie?

– Chyba tak – powiedziałem. – Co to znaczy “szosa”?

Jadący obok Nóż parsknął śmiechem. Śmierdziel oddalił się. Po raz pierwszy słyszałem o czymś takim. Trzy czy cztery wózki przetoczyły się drogą, zanim zorientowałem się, dlaczego ją utwardzono. Bardzo sprytnie. Uważnie przyglądałem się kolejnemu nadjeżdżającemu wózkowi. Było późne popołudnie i byłem już tak zmęczony, że nawet gdyby przed moimi oczyma pojawiły się wszystkie cuda świata, nie wywarłoby to na mnie większego wrażenia.

Wózki były ciągnięte przez różne czworo- lub sześcionożne zwierzęta, w większości zupełnie mi nie znane. Nie należało się jednak temu dziwić, kiedy w obrębie naszej własnej rasy mogły się rodzić najrozmaitsze monstra. Na widok jednego z wózków drgnąłem.

Był niski, wykonany z czarnego metalu i nie ciągnęło go ani nie pchało żadne zwierzę. Pojazd z warkotem przemknął szosą z szybkością dziesięciokrotnie większą niż pozostałe i zniknął dymiąc, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć. Smoki, ignorujące wózki, teraz wystraszyły się i syczały. Widząc moje zdziwienie, Pająk krzyknął:

– To po prostu jeden z cudów Branning-at-sea!

Zawróciłem, aby uspokoić podniecone smoki.

Kiedy ponownie spojrzałem na drogę, zobaczyłem obraz. Był namalowany na dużej planszy stojącej na poboczu, tak aby mogli go widzieć wszyscy przejeżdżający. Obraz przedstawiał twarz młodej kobiety o włosach białych jak wata i dziecięcym uśmiechu. Miała kształtny podbródek i zielone oczy, które wyrażały przyjemne zaskoczenie. Jej wargi były lekko rozwarte, ukazując małe zęby.

GOŁĘBICA MÓWI: “PRZYJEMNIE JEST MIEĆ JEDNEGO? DZIEWIĘCIU LUB DZIESIĘCIU JEST JESZCZE PRZYJEMNIEJ!”

Przesylabizowałem napis i zmarszczyłem brwi. Batt był w pobliżu, więc krzyknąłem do niego:

– Hej, kto to?

– Gołębica! – zawył, strząsając czarne włosy z ramion. – On chce wiedzieć, kto to jest Gołębica!

Pozostali również zaczęli się śmiać. Im bardziej zbliżaliśmy się do Branning-at-sea, tym częściej stawałem się obiektem żartów. Postanowiłem trzymać się blisko Zielonookiego; on się ze mnie nie śmiał. Na plecach i karku poczułem pierwszy powiew wieczornego wiatru, który wysuszył krople potu, zanim zdołały pojawić się nowe. Byłem pochłonięty patrolowaniem stada, gdy nagle Zielonooki zatrzymał się i wskazał przed siebie. Spojrzałem więc we wskazanym kierunku.

Właśnie przekroczyliśmy grzbiet wzgórza, za którym teren opadał łagodnie ku czemuś, co gdyby było odległe o dwadzieścia metrów, byłoby wspaniałą zabawką. Było to jednak odległe o dwadzieścia kilometrów! Biegące z różnych stron szosy wpadały w ten biało-aluminiowy chaos nad purpurową wodą. Ktoś zaczął to budować, a potem owo coś wyniknęło się spod kontroli i zaczęło budować się samo. Były tam wielkie place, gdzie kaktusy i palmy wyrastały i wędły; pojedyncze wzgórza, gdzie drzewa i trawniki sąsiadowały z pojedynczymi domami; całe dzielnice małych domków ściśle upakowanych przy krętych ulicach. Wypływające z przeszklonych doków statki przecinały wieczorne wody, kierując się do swych portów.

– Branning-at-sea – powiedział Pająk, który znalazł się obok mnie. – To właśnie ono.

Zamrugąłem. Słońce kładło przed nami cienie, ogrzewało nam karki i odbijało się w oknach wieżowców.

– Jest wielkie – rzekłem.

– Tam – wskazał ręką Pająk; nie byłem w stanie podążyć spojrzeniem we wskazanym kierunku, bo za wiele tu było do oglądania; słuchałem więc tylko – jest miejsce, gdzie skierujemy stado. Cała ta część Branning żyje ze smoków. Dzielnice nadbrzeżne utrzymują się z rybołówstwa i handlu z wyspami.

Pozostali poganiacze zgromadzili się wokół nas. Oni już znali wszystkie wspaniałości i ciemne strony tego miasta, więc milczeli, gdy ruszyliśmy w dół.

Minęliśmy kolejną przydrożną tablicę. Tym razem Gołębica była pokazana pod innym kątem i miała przymrużone oko.

GOŁĘBICA MÓWI: “CHOĆ MIEĆ DZIESIĘCIU JEST PRZYJEMNIE, TO MIEĆ DZIEWIĘĆDZIESIĘCIU LUB STU JEST O WIELE PRZYJEMNIEJ!”

Gdy patrzyłem na tablicę, nad sześciometrowej długości twarzą zapaliły się światła. Poczujęm się tak, jakby to wyrażające bez troskę i niefrasobliwość oblicze nagle skoczyło na nas. Musiałem wyglądać na zaskoczonego, bo Pająk, wskazując na tablicę, rzekł:

– Oświetlają ją przez całą noc, aby każdy mógł przeczytać to, co powiedziała Gołębica. – Uśmiechnął się tak, jakby powiedział coś niestosownego. – Zatrzymamy się na noc na tej równinie i wkroczymy do Branning o świcie.

Dwadzieścia minut później zaganiailiśmy stado na miejsce postoju, podczas gdy Batt

przygotowywał obiad. Niebo nad oceanem pokrywała czerń, ale nad naszymi głowami ciągle miało ono kolor błękitny. Branning zapaliło swoje światła błyszczące niczym cekiny rozrzucone na brzegu morza. Być może sprawiła to spokojna okolica, a może był to efekt oddziaływania Pajaka – w każdym razie smoki zachowywały się nienagannie.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Zostałem wyznaczony wraz z Nożem na środkową wartę. Kiedy Zielonooki potrząsnął mną za ramię, wstałem natychmiast. Podniecenie nie pozwoliło mi zmrużyć oka. Zastanawiałem się, dokąd mam się udać, gdy opuszczę poganiaczy.

Aby okrążyć stado, ja i Nóż skierowaliśmy swe wierzchowce w przeciwne strony. Podczas jazdy nie opuszczała mnie myśl, że być samotnym w dżungli to niemal komfortowa sytuacja, ale być samotnym w tym świecie ze szkła i kamienia, pośród milionów innych istnień – to zupełnie co innego. Cztery piąte stada spało. Kilka smoków jęczało, wyciągając szyje w kierunku Branning. Miasto było teraz słabiej oświetlone, ciągle jednak stanowiło mozaikę światła na brzegu morza. Uniosłem się w strzemionach, aby popatrzeć na...

– Hej, poganiaczu!

Spojrzałem w dół.

Jakiś garbus zatrzymał na skraju drogi swój ciągnięty przez psa wózek.

– Cześć.

– O świcie popędzicie swe jaszczury do Branning? – Nieznajomy uśmiechnął się, sięgnął pod skórzaną plandekę okrywającą wózek i wyciągnął melona. – Jesteś głodny, poganiaczu? – Przełamał owoc i chciał rzucić mi połówkę. Zsunąłem się z wierzchowca i stanąłem na drodze.

– Dzięki ci, Lo nieznajomy – powiedziałem.

Zaśmiał się.

– Nie przysługuje mi “Lo”.

Zaprężony do wózka pies patrzył na przemian to na mnie, to na garbusa i w końcu zaczął skomleć:

– Ja. Ja. Ja głodny. Ja.

Nieznajomy wręczył mi połówkę melona i podrapał psa za uszami.

– Przecież dostałeś obiad.

– Podzielę się z nim moją porcją – powiedziałem.

Garbus potrząsnął głową.

– On pracuje dla mnie i ja go karmię.

Przełamał swoją połówkę owocu i podsunął kawałek psu, który z mlaskaniem zabrał się do jedzenia. Gdy wgryzłem się w melon, nieznajomy zapytał:

– Skąd jesteś, poganiaczu?

Podąłem mu nazwę wioski.

– Czy po raz pierwszy przyjechałeś do Branning-at-sea?

– Tak. Skąd wiesz?

– Och. – Uśmiechnął się, ukazując mnóstwo żółtych zębów. – Ja też kiedyś przyjechałem tu po raz pierwszy. Jest parę rzeczy, które odróżniają cię od miejscowych; parę cech, które czynią cię innym...

Garbus uniósł rękę.

– Nie chciałem cię obrazić.

– Nie obraziłem się.

Nieznajomy zachichotał ponownie, gdy zatopiłem zęby w słodkim mięszu.

– To, co jest diamentem w jednym miejscu, gdzie indziej jest łajnem. – Wypowiedział to z przesadną artykulacją, naśladowując język sloganów. – Bez wątpienia kiedyś powiedziała to Gołębica.

– Gołębica – wtrąciłem. – Czy ona ma “La”?

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie. Tu nie tytułuje się nikogo “Lo”, “La” ani “Le”. – Wyskrobał skórkę owocu przednimi zębami i odrzucił ją. – Diament i łajno. Sądzę, że tytuły te używane są w twojej wiosce, podobnie jak w mojej. Są one zarezerwowane dla płodnych osobników normalnych i ewentualnie nadawane płodnym osobnikom funkcjonalnym. Czy tak?

– Tak.

– Kiedyś było tak również w Branning-at-sea. Ale teraz już tak nie jest. Tak niewiele wie się w wioskach o inności, że nikt się tam nie obraża, gdy go nazywają innym.

– Ja jestem inny – powiedziałem. – Dlaczego mam się obrażać? Przecież tak to już jest.

– Nie. W Branning już nie przyjmuje się tego tak po prostu. Powtarzam po raz trzeci: diament i łajno. To, co było ważne w wiosce, tu nie ma znaczenia. Mam nadzieję, że twoje wioskowe zwyczaje nie przysporzą ci kłopotów. Gdy ja przybyłem tu po raz pierwszy piętnaście lat temu, parę razy dostałem porządne lanie. A wtedy to miasto było znacznie mniejsze. – Nieznajomy patrzył na drogę.

Przypomniałem sobie, jak Pająk mówił, że nie należy używać tytułów w stosunku do poganiaczy.

– To jak tu teraz jest z tymi tytułami? – zapytałem.

– Posłuchaj. – Garbus zatknął kciuki za pas. – Jest tu około pięciu rodzin, które kontrolują wszystko, co dzieje się w Branning-at-sea. Są one właścicielami wszystkich statków, wynajmują połowę domów w mieście, najprawdopodobniej kupią od ciebie te smoki. W stosunku do członków tych rodzin, jak również do piętnastu czy dwudziestu znanych osobistości, jak na przykład Gołębica, jeżeli zwracasz się do nich osobiście, należy używać tytułów “Lo” lub “La”. Ale przekonasz się, że pośród nich znajdują się osobniki zupełnie niefunkcjonalne.

– W takim razie jak rozpoznam te osoby, skoro ich oczywista funkcjonalność nie ma znaczenia?

– Jeżeli spotkasz takie osoby, na pewno będziesz wiedział, że to właśnie one. Ale to mało prawdopodobne. Możesz spędzić całe życie w Branning-at-sea, nigdy nie musząc użyć żadnego tytułu. Ale jeżeli zaczniesz tytułować każdego, kogo spotkasz, lub protestować, gdy ktoś nie użyje tytułu w stosunku do ciebie, zostaniesz uznany za głupca albo szaleńca, a w najlepszym razie będą mieli cię za wiejskiego jołopa.

– Nie wstydę się, że pochodzę z wioski! – krzyknąłem.

Garbus wzruszył ramionami.

– Wcale nie sugeruję, że powinieneś. Próbuję tylko odpowiedzieć na twoje pytania.

– Tak. Rozumiem. A co z innością?

Nieznajomy wydał policzek językiem i po chwili powiedział:

– W Branning-at-sea inność jest sprawą prywatną. Inność – to fundamenty tych budynków; to pale, na których zbudowano port; to korzenie, z których wyrastają tu drzewa. Połowa tego miasta została zbudowana na inności, a druga połowa nie może bez niej żyć. Ale jeżeli mówisz o tym w miejscu publicznym, to znaczy, że jesteś źle wychowany i wulgarny.

– Oni o tym mówili. – Wskazałem na stado. – To znaczy, poganiacze.

– Więc są wulgarni. Jeżeli chcesz pozostać z poganiaczami – a możesz spędzić z nimi całe życie – będziesz mógł o tym mówić do woli.

– Ale ja jestem inny... – zacząłem, ale cierpliwość garbusa już się najwidoczniej wyczerpała, więc dodałem: – ...myślę jednak, że zatrzymam to dla siebie.

– Niezły pomysł – powiedział nieznajomy surowo.

Jak miałem mu opowiedzieć o Frizie? Jak miałem jej szukać, skoro inność jest utrzymywana w tajemnicy?

– A ty? – zapytałem po chwili kłopotliwego milczenia. – Co robisz w Branning-at-sea?

Pytanie sprawiło mu przyjemność.

– Jestem właścicielem pewnego miłego miejsca, gdzie zmęczeni mogą usiąść, głodni mogą zjeść, spragnieni mogą się napić, a znudzeni mogą się zabawić. – Zakończył swą wypowiedź, zarzucając czerwoną pelerynę na zniekształcone plecy.

– Przyjdę cię odwiedzić – powiedziałem.

– No cóż – zadumał się garbus. – Niewielu poganiaczy tam przychodzi. To nieco zbyt ekskluzywny dla nich lokal. Ale gdy już się otrzaskasz w mieście i uznasz, że potrafisz się odpowiednio zachowywać, wpadnij z odrobiną srebra w sakwie. I choć większość tego srebra ci zabiorę, z pewnością będziesz się dobrze bawił.

– Przyjdę na pewno – odrzekłem. Pomyślałem o Dziecku Śmierci i o mojej długiej podróży w poszukiwaniu Frizy, po czym zapytałem: – Jak się nazywasz i gdzie mogę cię znaleźć?

– Nazywam się Pistolet, ale nie musisz tego pamiętać. Znajdziesz mnie w “Perle” – to nazwa mojego lokalu.

– Brzmi fascynująco.

– To najbardziej fascynująca rzecz, jaką tacy jak ty kiedykolwiek widzieli – rzekł skromnie.

– Z pewnością nie ominę tego miejsca. Co robisz na tej drodze o tak późnej porze?

– To samo co ty. Jadę do Branning-at-sea.

– A skąd jedziesz?

– Mój przyjacielu z prowincji, twoje maniery są niewiarygodne! Ponieważ zapytałeś, odpowiadam ci: wracam od przyjaciół mieszkających poza miastem. Zawiozłem im prezenty, oni w rewanżu dali prezenty mnie. Ponieważ jednak nie są twoimi przyjaciółmi, nie powinieneś o nich pytać.

– Przepraszam. – Czuję się dotknięty tą oficjalnością, której nie rozumiałem.

– Nie rozumiesz tego wszystkiego, co? – powiedział Pistolet łagodniej. – Ale kiedy założysz buty i zakryjesz pępek, znajdziesz w tym więcej sensu. Mówię ci to wszystko teraz, chociaż gdy spędzisz rok w Branning, sam to wszystko zrozumiesz.

– Nie zamierzam pozostawać tu przez rok.

– Nie musisz tego zamierzać. Wbrew twym zamierzeniom może się zdarzyć, że spędzisz tu resztę życia. To jest takie miejsce. Jest tu wiele cudów, a cuda mogą cię zatrzymać.

– Jestem tu tylko przejazdem – powiedziałem z naciskiem. – Śmierć Dziecka Śmierci zakończy moją podróż.

Pistolet rzucił mi dziwne spojrzenie i przestrzegł:

– Mówiłem ci już, chłopcze z prowincji, oducz się tego wulgarnego języka poganiaczy. Nie

przeklinaj przy lepiej od ciebie wychowanych.

– Ja nie przeklinam. Ten rudzielec nie daje nam spokoju. Jechał razem ze stadem, aby nękać Zielonookiego i mnie.

Pistolet zdecydował, że ten idiota (czyli ja) już się niczego nie nauczy. Roześmiał się i klepnął mnie po ramieniu. Ta odrobina wulgarności w nim, która skłoniła go do otwartej rozmowy, znów dała o sobie znać.

– Więc powodzenia, Lo Brudna Twarz, i niech ten diabeł zginie wkrótce z twoich rąk.

– Raczej od mojego noża – sprostowałem, pokazując mu maczetę. – Pomyśl o jakiejś piosence.

– Co?

– Pomyśl o jakiejś piosence. Jaką muzykę grają w twojej “Perle”?

Zmarszczył brwi, a ja zagrałem.

Jego oczy rozszerzyły się i znów się roześmiał. Pochylił się nad wózkiem, klepiąc się po brzuchu. To coś we mnie, co w zależności od nastroju śmieje się lub płacze, śmiało się wraz z nim przez chwilę. Grałem. Kiedy jednak dobry humor garbusa przekroczył granice mego rozumienia, przestałem grać i schowałem maczetę do pochwy.

– Poganiaczu – rzekł Pistolet, tłumiąc śmiech – miałem do wyboru: albo wyśmiać twoją ignorancję, albo uznać, że to ty ze mnie drwisz.

– Nie zamierzałem cię obrazić. Ale chciałbym, żebyś mi wytłumaczył, co cię tak rozbawiło.

– Już ci to tłumaczyłem parę razy. A ty się ciągle upierasz przy swoim. – Patrzył na moje zaskoczenie. – Zachowaj swoją inność tylko dla s i e b i e. To jest wyłącznie twoja sprawa, nikogo innego.

– Ale to była tylko muzyka.

– Przyjacielu, co pomyślałbyś o dopiero co poznanym człowieku, który po trzech minutach rozmowy podałyby ci głębokość swego pępka?

– Nie widzę związku.

Pistolet klepnął się w czoło.

– Ciągłe zapominam o tym, skąd sam pochodzę. Byłem kiedyś takim samym ignorantem jak ty; przysięgam! Ale nie pamiętam już, kiedy to było. – Znów był rozdrażniony. Jego nastrój zmieniał się szybciej, niż byłem w stanie nadążyć.

– Posłuchaj – powiedziałem – nie rozumiem, jakie znaczenie ma ta twoja oficjalność. Nie podoba mi się to...

– Nie tobie to oceniać – odrzekł Pistolet. – Możesz to zaakceptować lub odejść. Ale nie możesz bez przerwy lekceważyć cudzych zwyczajów, szydzić z nich i popisywać się znajomością rzeczy przeklętych.

– Czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, jakie to mianowicie zwyczaje lekceważyłem i czym się przechwalałem? Mówiłem po prostu to, co miałem na myśli.

Jego wieśniacza twarz stała się znowu twarda (do takich twardych wiejskich twarzy miałem się w przeszłości przyzwyczaić w Branning).

– Mówiłeś o Lo Zielonookim tak, jakby wraz z tobą poganiał smoki, a o Dziecku Śmierci tak, jakbyś na własne oczy oglądał jego sześciopalcowca.

– A jak myślisz – byłem wściekły – gdzie jest teraz Zielonooki? Śpi tam przy ognisku! –

Wskazałem na nasze obozowisko. – A Dziecko Śmierć...

Ogień zaskoczył nas i obróciliśmy się jak na komendę. Za nami stał Dziecko Śmierć otoczony płomieniami i uśmiechał się. Gdy lufą rewolweru przesunął do tyłu rondo kapelusza, czerwone włosy opadły mu na czoło.

– Cześć, koledzy! – parsknął.

Cienie traw i skał tańczyły na ziemi. W miejscach, gdzie płomienie lizały jego mokrą skórę, pojawiła się para.

– Ahhhhhh-ahhhhhh-ahhhhhh-aaaaaa!

To był Pistolet. Wyjąc upadł obok wózka z otwartymi szeroko ustami, które próbował zamknąć, ale bezskutecznie. Pies również wył. Ja tylko patrzyłem.

Ogień błysnął, zamigotał i zbladł. A potem został tylko zapach liści. W oczach pulsował im jeszcze oglądany przed chwilą obraz. Byłem wściekły. Na wzniesieniu przy szosie stał Zielonooki, a światło przydrożnej latarni muskało mu kolana. Pięścią ścierał zmęczenie z twarzy. Dziecko Śmierć odszedł tam, skąd przyszedł.

Za moimi plecami ruszył wózek.

Pistolet próbował usadowić się na siedzeniu i jednocześnie kierować psem. Myślałem, że nie utrzyma się i spadnie. Ale się utrzymał. Kiedy turkot wózka umilkł, wszedłem na pagórek i stanąłem obok Zielonookiego. Spojrzał na mnie... smutno?

W świetle padającym od strony drogi ostry zarys jego kości policzkowych nieco łagodził meszek młodzieńczego zarostu. Jego zacieniony oczodół był ogromny.

Wróciliśmy do ogniska. Położyłem się. Sen wkrótce zamknął mi oczy, a pod powiekami, aż do świtu, eksplodowały zdumiewające sny o Fricie.

Złamała gołębicę swe białe skrzydełko. Nie będzie śpiewać już, więc trzeba zabić ją.

Jacques Brel, Gołębicę

Błyskawice i pioruny ogrzały go, mógł więc zatrzymać się i przez chwilę pomyśleć. Tam był smok. Ani on, ani nikt inny nie mógł nic słyszeć z powodu szalejących żywiołów. Tam był smok.

Hunce Voelker, Podróże Harta Crane'a

I myślę o ludziach wzdychających nad poezją, wykorzystujących ją, nie wiem, po co to robią... I – Och, oddaję ci te twoje wypociny!

Joannę Kyger, Świnie dla Kirke w maju

Ona jest ze mną każdego wieczora. Do mego ucha spłyną wszystkie głosy, trele i szczebioty, które zdołasz sobie wyobrazić tego dnia. Ona jest ze mną każdego ranka.

Wróciłem do domu wcześniej. Gospodarze kupili wino na Nowy Rok. W białym mieście było pełno muzykantów. Pamiętam, że gdy półtora roku temu kończyłem "The Fall of the Towers", powiedziałem sobie: masz dwadzieścia jeden lat, jesteś już za stary, by być cudownym dzieckiem; twoje osiągnięcia są ważniejsze niż wiek, w jakim ich dokonałeś. Ciągłe jednak prześladowały mnie obrazy i bohaterowie mojej młodości: Chatterton, Greenburg, Radiguet. Mam nadzieję, że kończąc "Punkt Einsteina", rozstaną się z nimi. Ostatnim z nich będzie Bilfy Kid. Snuje się po kartach tej powieści jak jedno z szalonych dzieci na wzgórzach Krety. Lobey upoluje cię, Bilfy. Jutro, jeśli pogoda dopisze, wrócę do Delos, aby zwiedzić ruiny wokół Tronu Śmierci, znajdujące się w centrum wyspy leżącej naprzeciw nekropolii, za wodami Rhenii.

Dziennik pisarza, Mykeny, grudzień 1965

W przeciągu całej niemal historii ludzkości jasno zdawano sobie sprawę ze znaczenia rytuałów, ponieważ to właśnie dzięki aktom rytualnym człowiek potwierdzał swój związek z odnawialnymi siłami przyrody, a jednocześnie akty te pomagały mu przejść na wyższe stadia rozwoju osobowości i wzbogacały jego wiedzę.

Masters i Houston. Odmiany doświadczeń psychodelicznych

Żółte światła Branning okryła mgiełka, gdy zraniona noc rozpoczęła błękitny odwrót w chłodzie poranka. Na wschodzie niebo oświetlały pierwsze promienie słońca, podczas gdy na zachodzie wciąż widoczne były gwiazdy. Batt rozniecał ognisko. Trzy smoki udały się na przechadzkę w stronę

szosy, pogałem więc za nimi i zawróciłem je. Jedliśmy w milczeniu, jeśli nie brać pod uwagę pochrząkiwań.

Z powodu bliskości oceanu poranek był wilgotny. Na morzu widać było liczne łodzie kierujące się w stronę wysp. Wsiadłem na Mojego Wierzchowca i ruszyliśmy szlakiem. Smoki syczały, gdy je poganiał, ale wkrótce zaczęły iść zgodnie i równo.

Pająk zobaczył ich pierwszy.

– Tam, przed nami. Kim oni są?

Jacyś ludzie biegle szosą; inni szli za nimi. Przydrożne latarnie zgasły. Było już zupełnie widno.

Zaciekawiony, pojechałem w kierunku czoła stada.

– Oni śpiewają! – krzyknąłem.

Pająk wyglądał niewyraźnie.

– Słyszysz muzykę? – zapytał.

Skinałem głową.

Głowa Pajaka pozostawała nieruchoma; podczas jazdy kołysała się reszta jego ciała. Przerzucał pejcz z ręki do ręki; pomyślałem, że to spokojny i ładny sposób okazywania zdenerwowania. Zagrałem dla niego melodię, ponieważ śpiew ludzi jeszcze do nas nie dotarł.

– Czy oni śpiewają razem? – spytał Pająk.

– Tak – odpowiedziałem. – To chóralna pieśń.

– Zielonooki! – krzyknął Pająk. – Trzymaj się mnie!

Opuściłem maczetę.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytałem.

– Być może – powiedział Pająk. – To hymn rodu Zielonookiego. Wiedzą, że tu jest.

Spojrzałem pytająco.

– Chcemy, żeby dojechał do Branning w spokoju. – Pająk poklepał swego smoka po skrzelach. – Jestem ciekaw, skąd się dowiedzieli, że on przyjeżdża właśnie dzisiaj.

Popatrzyłem na Zielonookiego. On jednak nie patrzył na mnie. Spoglądał na ludzi na drodze. Nic innego nie przyszło mi do głowy, więc zacząłem grać. Nie chciałem mówić Pajakowi o człowieku z wózkiem, którego spotkałem w nocy.

Dotarły do nas głosy.

W tym momencie zdecydowałem, że jednak powiem Pajakowi. Nie odzywał się jednak.

Nagle Zielonooki popędził swego smoka. Pająk usiłował go powstrzymać, ale nie udało mu się. W jego bursztynowych oczach pojawiła się troska. Wierzchowiec Zielonookiego był już daleko.

– Myślisz, że on powinien iść do tych ludzi? – zapytałem.

– Wie, co robi – odparł Pająk. Tłum gęstniał na drodze. – Mam nadzieję.

Patrzyłem na zgromadzonych, wspominając Pistoleta. Jego przerażenie musiało się rozprzestrzenić w nocy po całym Branning niczym plama oleju. Naprzeciwko gromady smoków wędrowała gromada ludzi.

– Co się stanie? – spytałem.

– Teraz będą go witać z uwielbieniem – odrzekł Pająk. – Co będzie dalej, kto wie?

– Ze mną – powiedziałem. – Pytałem, co się stanie ze mną.

Pająk był zaskoczony.

– Muszę znaleźć Frizę. Nic się nie zmieniło. I muszę zniszczyć Dziecko Śmierć.

Przypomniał mi się wyraz twarzy Pistoleta, gdy zobaczył demonicznego rudzielca. Twarz Pajaka – to mną wstrząsnęło – wyrażała taki sam strach. Ale było w niej jeszcze coś: siła. Tak, Pająk był potężnym mężczyzną.

– Nie obchodzi mnie Zielonooki ani nikt inny. – W moich słowach brzmiało zdecydowanie i wola walki. – Zamierzam znaleźć tu Frizę i zamierzam ją stąd zabrać.

– Ty... – zaczął Pająk, a następnie w jego oczach pojawił się wyraz akceptacji. – Życzę ci szczęścia. – Znów spojrzał na Zielonookiego, kołyszącego się na wierzchołku daleko na przodzie, już blisko tłumu.

Patrząc na Pajaka, widziałem, że jakaś jego część jest tam z przodu, razem z tym chłopcem. A jednak, co mnie zaskoczyło, druga jego część pozostała ze mną.

– Wykonałeś dobrą robotę, Lobey – powiedział. – Gdy zagnamy stado na miejsce, dostaniesz swoją zapłatę... – U-rwał. Coś przyszło mu do głowy. – Przyjdź po pieniądze do mojego domu.

– Do twojego domu?

– Tak. Do mojego domu w Branning-at-sea. – Pająk zwinął pejcz i popędził swego smoka.

Minęliśmy kolejną tablicę. Białowłosa kobieta o zimnych wargach i ciepłych oczach patrzyła na mnie.

GOŁĘBICA MÓWI: “CZEMU MIEĆ TYLKO DZIEWIĘĆDZIESIĘCIU DZIEWIĘCIU, SKORO MOŻNA MIEĆ ICH DZIEWIĘĆ TYSIĘCY?”

Odwróciłem wzrok od jej twarzy i pomyślałem, jak wielu ludzi zgromadziło się przed nami w ciągu poranka. Stali wzdłuż drogi. Gdy rozpoznali młodego poganiacza, ich pieśń zmieniła się w wiwaty. Wjechaliśmy w tłum.

Dżungla to tysiące pojedynczych drzew, pnączy i krzewów; przechodząc przez nią, widzi się to wszystko jako jedną zieloną masę. Tłum odbiera się podobnie: najpierw pojedyncza twarz (stara kobieta powiewająca zielonym szalem), potem druga (mrużący oczy chłopiec, odsłaniający w uśmiechu braki w uzębieniu) i następne (trzy gapiące się dziewczęta podtrzymujące się nawzajem za ramiona). A potem wokół roje łokci, uszu, języków zdrapujących słowa z dna jamy ustnej i wyrzucających je na zewnątrz: “... ruszaj się!”, “Och, zabierz swoje...”, “...nie widzę...”, “Gdzie on jest? Czy to on...”, “Nie!”, “Tak...”. Smoki przedzierały się przez falujące morze głów. Tłum wiwatował. Ludzie unosili ramiona. Pomyślałem, że moja robota jest skończona. Co chwila ktoś potrącał Mojego Wierzchowca. “Czy to on? Czy to...”. Smoki były zaniepokojone. Tylko dzięki oddziaływaniu Pajaka spokojnie parły naprzód. Wraz z tłumem przekroczyliśmy bramę Branning-at-sea. A potem zdarzyło się całe mnóstwo rzeczy.

Nie wszystkie z nich rozumiałem. To, co się stało w ciągu kilku pierwszych godzin, przydarzyłoby się każdemu, kto nie widział nigdy więcej niż pięćdziesiąt osób naraz, a znalazł się nagle wśród ulic, alei i placów, po których krążą tysiące ludzi. Stado smoków pozostawiło mnie (czy też to raczej ja się od niego odłączyłem); siedłem z zadartą głową, otwartymi ustami, co sprawiało, że ciągle się potykałem. Przechodnie bez przerwy na mnie wpadali i krzyczeli: “Uważaj!”, a przecież to właśnie usiłowałem robić – tylko że próbowałem zwracać uwagę na wszystkie rzeczy naraz. Co byłoby trudne, nawet gdyby wszystko wokół było nieruchome. Gdy starałem się coś obserwować, coś innego

w tym czasie czaiło się za moimi plecami lub usiłowało mnie przejechać.

Muzyka milionów stąpiła się w hymn, podobnie jak wówczas, gdy próbujemy zasnąć, a coś dzwoni nam w uszach. W wiosce, gdy widzisz jakąś twarz, to jest ci ona znana, wiesz, jaka jest i czego się można po niej spodziewać; wiesz, jak się śmieje, jak przeklina, jakie miny lubi, a jakich unika. Tu jedna twarz ziewa, inna je, kolejna jest wystraszona, następna pragnie miłości, a jeszcze inna wrzeszczy; każda z nich jest otoczona tysiącem innych i żadnej nie widzi się więcej niż raz. Starasz się jakoś uporządkować sobie w głowie, aby znaleźć miejsce dla wszystkich tych twarzy; znaleźć jakieś miejsce, gdzie można by złożyć te wszystkie ćwierćemocje. Kiedy przekraczasz bramy Branning-at-sea, opuściwszy prowincję, mimo wszystko z miejscem, z którego pochodzisz, łączy cię słownictwo, za pomocą którego próbujesz opisać to, co cię otacza: rzeki mężczyzn i strumienie kobiet, burze głosów, deszcze palców i dżungle ramion. Ale to nie jest w porządku w stosunku do Branning. Ani też w stosunku do prowincji.

Wędrowałem ulicami miasta z wiszącą u boku maczetą, na której nie dawało się grać. Gapiłem się na budynki pięciopiętrowe, dopóki nie ujrzałem budynków dwudziestopiętrowych. Na te gapiłem się z kolei, dopóki nie zobaczyłem budynku o tak wielu piętrach, że nie byłem w stanie ich policzyć, ponieważ w połowie liczenia (czyli gdy doliczyłem do około dziewięćdziesięciu) zgubiłem się, wciąż popychany przez tłumy.

Było tam kilka pięknych ulic, gdzie drzewa ocierały się liśćmi o ściany. Było też wiele brudnych zaułków, gdzie śmiecie gromadziły się na chodnikach, a domy były tak stłoczone i wąskie, że nawet powietrze nie mogło się w nich poruszać, nie mówiąc już o ludziach. Nieruchome powietrze, nieruchomi ludzie – wszystko tam gniło.

Na murach wisały poobrywane plakaty przedstawiające Gołębicę. Gdzieś tam były też inne plakaty. Minąłem grupkę chłopców trącających się łokciami przed plakatem marszczącym się na ogrodzeniu. Przecisnąłem się między nimi, aby go obejrzeć.

Z pstrokatego tła spoglądały dwie kobiety o głupkowatym wyrazie twarzy. Napis głosił:

TE DWIE IDENTYCZNE BLIŹNIACZKI NIE SĄ TAKIE SAME

Dzieciaki chichotały i popychały się. Coś musiałem na tym plakacie przeoczyć. Odwróciłem się i powiedziałem do jednego z chłopców:

– Nie rozumiem tego.

– Co? – Chłopak miał piegi i sztuczną rękę. Podrapał się po czole plastikowymi palcami. – Jak to, nie rozumiesz?

– Co jest śmiesznego w tym plakacie?

Najpierw niedowierzenie, a potem śmiech.

– Jeśli nie są takie same – wybuchnął chłopak – to znaczy, że są i n n e!

Wszyscy się roześmieli. Ich lubieżny śmiech był urozmaicony szyderczymi parsknięciami.

Oddaliłem się. Szukałem muzyki, ale nic nie było słyhać. Poszukiwanie i nasłuchiwanie, gdy chodniki i tłumy nie są w stanie znieść więcej twoich pytań – oto czym jest samotność, Frizo. Ściskając maczetę, błąkałem się ulicami aż do wieczora, samotny, zagubiony w Wielkim Mieście.

Nakładające się na siebie dźwięki sonaty wiolonczelowej Kodaly'ego! Obróciłem się na pięcie.

Płyty chodnika były tu czyste i nie popękane. Na rogach ulic rosły drzewa. Budynki piętrzyły się wysoko za mosiężnymi bramami. Muzyka rozwijała się wewnątrz mej głowy. Mrugając spoglądałem na bramy. Wybrałem jedną z nich. Chwiejnym krokiem wszedłem na niewysokie stopnie i uderzyłem rękojeścią maczety w kraty.

Rozległ się dzwonek, który przestraszył mnie, ale mimo to uderzyłem ponownie.

Nabijane mosiężnymi ćwiekami drzwi budynku uchylły się. Po chwili odblokowana została brama i z grzechotem odsunęła się na bok. Ostrożnie ruszyłem chodnikiem, zerkając w cień za drzwiami. Wreszcie wszedłem do środka, oślepiiony słońcem; towarzyszyła mi tylko muzyka.

Moje oczy przyzwyczajały się do przyćmionego światła. W górze było okno z witrażem przedstawiającym smoka na wysokiej skale.

– Lobey?

Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości

Apokalipsa św. Jana, rozdz. 2, ustęp 4 (Biblia Tysiąclecia)

Gdy rozpatruję takie sprawy, największą trudność sprawia mi koncentrowanie się na ich istocie. Ani ja, ani nikt inny nie jest w stanie o tym pisać... Już sama próba opisanie tego w kategoriach problemów moralnych przekracza moje możliwości. W takich przypadkach pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że ponownie uda mi się określić istotę problemu i że, pomimo mej ignorancji, zdołam rozpocząć wszystko od nowa.

James Agee, List do ojca Ffye'a

Gdzie jest ten kraj? Jak można się tam dostać? Trafi tam tylko ten, kto jest urodzonym kochankiem z wrodzoną skłonnością do filozofii

Plotyn, Inteligencja, idea i jestestwo

Pająk spoglądał na mnie znad biurka, przy którym czytał.

– Pomyślałem sobie, że to pewnie ty – powiedział.

W cieniu za nim widać było książki. La Dire miała ich kilkaset Tu jednak półki wypełnione były nimi od podłogi po sufit.

– Chciałbym... moje pieniądze. – Znów spojrzałem na biurko.

– Usiądź – rzekł Pająk. – Chcę z tobą porozmawiać.

– O czym? – zapytałem. Nasze głosy zwielokrotniało echo. Muzyka prawie ucichła. – Muszę ruszać w drogę, by wydostać Frizę i by znaleźć Dziecko Śmierć.

Pająk skinął głową.

– Dlatego właśnie sugeruję, byś usiadł.

Nacisnął jakiś przycisk i stożek światła, w którym tańczyły pyłki, oświetlił onyksowy taboret. Usiadłem powoli, trzymając w ręku maczetę. Podobnie jak o świcie w zdenerwowaniu przerzucał z ręki do ręki pejcz, teraz Pająk robił to samo z białą, kruchą czaszką jakiegoś gryzonia.

– Co wiesz o mitologii, Lobey?

– Znam tylko historie, które opowiadała mi La Dire w naszej wiosce. Ona opowiadała je wszystkim młodym ludziom, niektóre z nich po kilka razy. A my opowiadaliśmy je sobie nawzajem, aż zapadły nam głęboko w pamięć. Ale później pojawiły się inne dzieci, którym musiała to opowiadać.

– Pytam jeszcze raz: co wiesz o mitologii? Nie pytam, jakie znasz mity ani skąd one się biorą, ale po co je mamy i do czego nam służą.

– Ja... nie wiem – powiedziałem. – Gdy opuszczałem wioskę, La Dire opowiedziała mi mit o Orfeuszu.

Trzymając w dłoniach czaszkę, Pająk pochylił się ku mnie.

– Dlaczego? – zapytał.

– Ja nie... – Zastanowiłem się. – Aby wskazać mi drogę?

Niczego innego nie potrafiłem wymyślić.

– Czy La Dire była inna?

– Ona była...

Przypomniałem sobie lubieżność, jaka przebijająca w śmiechu chłopców gapiących się na plakat; nie rozumiałem jej, ale czułem, że na jej wspomnienie czerwienią mi się uszy. Pamiętam, w jaki sposób Easy, Mały Jon i Lo Hawk próbowali przełamać moje przygnębienie po śmierci Frizy oraz jak próbowała to zrobić La Dire; robiła to podobnie, a jednak inaczej.

– Tak – przyznałem. – Ona była inna.

Pająk kiwnął głową i zabębnił zgrubiałymi palcami po blacie biurka.

– Czy rozumiesz inność, Lobey?

– Żyję w świecie, w którym jedni są inni, a drudzy nie. Sam odkryłem w sobie inność zaledwie kilka tygodni temu. Wiem, że świat zmierza ku niej z każdym uderzeniem wielkiego rock and rolla, ale nie rozumiem jej.

Po skupionej twarzy Pajaka przeniknął uśmiech.

– Nie różnisz się w tym od pozostałych. Wiemy dobrze, czym inność nie jest, ale na tym kończy się nasza wiedza.

– A czym ona nie jest? – zapytałem.

– Nie jest telepatią, nie jest telekinezą, choć prawdopodobieństwo wystąpienia takich zdolności u innych jest wyższe niż u pozostałych. Posłuchaj, Lobey: Ziemia, nasz świat, piąta planeta Układu Słonecznego oraz dwunożny gatunek zamieszkujący jej cienką, wilgotną powłokę – wszystko to się zmienia. Nic nie pozostaje stale takie samo. Niektórzy akceptują te zmiany, a inni zamykają oczy, zatykają sobie uszy i zaprzeczają wszystkiemu. Chichot, drwina i szyderstwo – tak zachowywali się ludzie starej rasy, gdy myśleli, że nikt ich nie widzi. Przejęliśmy opuszczony przez nich świat i teraz dzieje się w nim coś nowego, coś, czego nawet nie można zdefiniować za pomocą słownictwa, jakie nam pozostawiła ludzkość. Musisz przyjąć znaczenie inności tylko w taki sposób: nie da się ona zdefiniować; jesteś w nią zaangażowany; jest wspaniała, przerażająca, głęboka, nie poddająca się wytłumaczeniom, nie dająca się przejrzeć na wylot; a jednak wymaga ona od ciebie podróży, określa punkty startu i postoju, może sprawić, że motorem twojego działania będzie miłość lub nienawiść, a nawet zmusić cię abyś usiłował zabić Dziecko Śmierć...

– ...lub powodować, że tworzę muzykę – dokończyłem za niego. – O czym myślisz, Pajaku?

– Gdybym umiał to wyrazić lub gdybyś ty potrafił zrozumieć moje słowa, straciłoby to całą wartość. Kilka wojen, kilka chaosów, kilka paradoksów temu dwaj matematycy zakończyli jedną erę i rozpoczęli nowy rozdział w dziejach naszych gospodarzy i naszych duchów zwanych ludźmi. Jednym z nich był Einstein, który swoją teorią względności wyznaczył granicę ludzkiej percepcji, wyrażając matematycznie, w jaki sposób obserwator wpływa na rzeczy, które obserwuje.

– Znam to – powiedziałem.

– Drugim był Godel, współczesny Einsteinowi, pierwszy, który precyzyjnym twierdzeniem matematycznym przypominał ogromny obszar znajdujący się poza granicami określonymi przez Einsteina: W każdym zamkniętym systemie matematycznym – co należy rozumieć: w realnym świecie

z jego niezmiennymi prawami logiki – istnieje skończona liczba prawdziwych twierdzeń – co znaczy: postrzegalnych, dających się mierzyć zjawisk – które, choć zawarte w oryginalnym systemie, nie dadzą się z niego wyprowadzić – czyli: udowodnić za pomocą zwykłej czy niezwykłej logiki. Wszystko to oznacza, że jest więcej rzeczy na niebie i Ziemi, niż śniło się naszym filozofom. W naszym świecie istnieje więc określona liczba prawdziwych rzeczy, których prawdziwości nie sposób dowieść. Einstein określił granice racjonalności. Godel wbił pinezkę w irracjonalność i przyczepił ją do ściany wszechświata na tyle mocno, by ludzie wiedzieli, że ta irracjonalność istnieje. Ziemia i ludzkość zaczęły ulegać zmianom. Tymczasem z innej strony wszechświata my wolno nadciągaliśmy tutaj. Widoczne efekty teorii Einsteina można przedstawić w postaci krzywej wypukłej; wydajność tej teorii była największa w pierwszym stuleciu po jej ogłoszeniu, a potem ustabilizowała się na pewnym poziomie. Wydajność prawa Godla można przedstawić za pomocą krzywej wklęsłej; z początku była mikroskopijna, potem zrównała się z krzywą Einsteina, przecięła ją i przewyższyła. W punkcie przecięcia ludzkość potrafiła osiągnąć granice znanego wszechświata, posługując się statkami o napędzie odrzutowym, które ciągle są dostępne dla każdego, kto chce ich użyć...

– Lo Hawk – powiedziałem. – Lo Hawk podróżował do innych światów...

– ...a gdy linia prawa Godla zaczęła górować nad krzywą Einsteina, jej cień przysłonił opuszczoną Ziemię. Ludzie wynieśli się dokądś, do jakiegoś świata poza tym kontinuum. Przybyliśmy my, zabraliśmy ich ciała i dusze; były puste i porzucone, mógł je wziąć każdy wędrowiec. Miasta, które były niegdyś tętniącymi życiem centrami międzygwiazdowego handlu, rozsypały się w pył, a były one większe niż Branning-at-sea.

Pomyślałem przez chwilę.

– To musiało zająć mnóstwo czasu – powiedziałem powoli.

– Tak – odrzekł Pająk. – Miasto, przez które jechaliśmy na szlaku, ma około trzydziestu tysięcy lat. Słońce przyciągnęło o dwie planety więcej od czasów Starych Ludzi.

– A Jaskinia? – zapytałem nagle. – Czym była Jaskinia?

– Nie pytałeś o to starszyzny?

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Istnieje sieć jaskiń, ciągnących się niemal wokół całej planety. Na ich niższych poziomach znajdują się źródła promieniowania, dzięki czemu wioski, w których nastąpiła stagnacja populacji, mogą w sposób kontrolowany powodować losowe mieszanie się genów i chromosomów. Nie używamy tych jaskiń już od prawie tysiąca lat, jednak źródła radiacji ciągle są czynne. W miarę jak coraz bardziej upodabniamy się do ludzi, stajemy się istotami coraz bardziej skomplikowanymi, trudniej jest nam pozostać doskonałymi; jest coraz więcej różnorodności wśród normalnych, a klatki przepełnione są odrzuconymi. Tak to wygląda, Lobey.

– A co to wszystko ma wspólnego z mitologią? – Byłem już znużony tym monologiem.

– Przypomnij sobie moje pierwsze pytanie.

– Co wiem o mitologii?

– Tak. Ale chodzi mi o godlowską, a nie o einsteinowską odpowiedź. Nie chcę wiedzieć, jaka jest treść mitów ani jak się one wzajemnie przenikają i uzupełniają; nie chcę znać ich wątków przewodnich, ich granic ani ich genezy. Chcę znać ich kształt, ich fakturę; chcę wiedzieć, jak to jest, gdy omiatają cię na ciemnej ulicy, kiedy widzisz je cofające się we mgle, kiedy czujesz ich ciężar, gdy z tyłu wskakują ci na plecy, chcę wiedzieć, czemu dźwigasz na swych barkach więcej, niż

musisz. Kim jesteś, Lobey?

– Jestem... Lobey? – W moim głosie drżało wahanie. – La Dire kiedyś nazwała mnie Ringiem i Orfeuszem.

Pająk uniósł brodę i oparł kościstą twarz na złączonych palcach.

– No tak. A wiesz, kim ja jestem?

– Nie.

– Jestem Iskariotą Zielonookiego. Jestem Patem Garrettem Dziecka Śmierci. Jestem sędzią Minosem przy bramie, którego musisz oczarować muzyką, zanim pozwoli ci dotrzeć do tego rudzielca, chociażby tylko po to, aby go o coś poprosić. Jestem każdym zdrajcą, jakiego tylko możesz sobie wyobrazić. A jednocześnie jestem baronem smoków, próbującym utrzymać dwie żony i dziesięcioro dzieci.

– Jesteś wielkim człowiekiem, Pajaku.

Przytaknął.

– Co wiesz o mitologii?

– Pytasz mnie o to już po raz trzeci.

Podniosłem maczetę. Czulem rozdzierającą go miłość, którą usiłował wyśpiewać w milczącej serenadzie, ale nie słyszałem już żadnej muzyki. Przytknąłem instrument do ust.

– Przebij się przez skorupy mojej wiedzy, Lobey. Wiem o wiele więcej od ciebie. Winni mają ten przywilej: wiedzą o wiele więcej. – Trzymał czaszkę nad stołem. – Wiem, gdzie możesz znaleźć Frizę. Mogę cię przeprowadzić przez bramę. Chociaż Dziecko Śmierci może mnie za to zabić, chcę ci to powiedzieć. On jest młodszy, bardziej okrutny i znacznie silniejszy. Czy chcesz to dalej ciągnąć?

Cisnąłem maczetę na ziemię.

– Przecież to jest już przesądzone! – krzyknąłem. – Nie uda mi się! La Dire mówiła, że Orfeuszowi się nie udało. Ty próbujesz mi powiedzieć, że te historie mówią nam, co się zdarzy. Mówisz mi, że jesteśmy znacznie starsi, niż myślimy, przecież to wszystko to schematy naszej rzeczywistości, których nie jesteśmy w stanie zmienić! Z twoich słów wynika, że w momencie gdy zacznę, moje niepowodzenie jest przesądzone.

– Czy wierzysz w to?

– Przecież to właśnie powiedziałeś.

– Wszystko się zmienia, Lobey, w miarę jak potrafimy coraz lepiej czerpać z naszej własnej przeszłości. Abyśmy mogli się zestarzeć, upłynąć musi wiele czasu. Trasa Labiryntu jest dzisiaj inna, niż była na Knossos pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Możesz być Orfeuszem lub kimkolwiek innym, kto rzuca wyzwanie śmierci i zwycięża. Zielonooki może zostać dziś powieszony i nigdy nie zmartwychwstać. Świat nie jest taki sam. To właśnie próbowałem ci powiedzieć. Świat jest inny.

– Ale...

– Dzisiaj w tym świecie jest tyle samo niepewności, ile wówczas, gdy pierwszy śpiewak ocknął się z odurzenia swą pieśnią, aby odkryć wartość poświęcenia się dla innych. Nie wiesz, jak to jest naprawdę, Lobey. To może być fałszywa nuta, a w najlepszym wypadku przemijający dysonans w harmonii wielkiego rock and rolla.

Pomyślałem przez chwilę, po czym powiedziałem:

– Chcę stąd uciec.

Pająk skinął głową.

– Pewien kamieniarz wykuł w skale na Fajstos wizerunek labrys – topora o dwu ostrzach. Twój śpiewający nóż ma także dwa ostrza. Ciekawe, czy Tezeusz budował Labirynt, gdy przez niego wędrował.

– Nie sądzę – powiedziałem niepewnie. – Te historie określają prawa, według których należy postępować...

– ...którym możesz być posłuszny lub które możesz łamać.

– One określają cel...

– ...a ty możesz tego celu nie osiągnąć albo też dotrzeć do niego, a nawet osiągnąć więcej.

– Dlaczego? – domagałem się wyjaśnień. – Dlaczego po prostu nie możemy ignorować tych starych historii? Znajdę Dziecko Śmierć bez twojej pomocy, nawet na dnie morza. Zignoruję te opowieści!

– Żyjesz teraz w realnym świecie – rzekł smutno Pająk. – On skądś się wziął i dokądś zmierza. Mity zawsze kłamią w punktach najtrudniejszych do zignorowania. Mieszają miłość z nienawiścią. Musisz je odrzucić, jeśli masz zamiar zacząć lub skończyć jakiekolwiek przedsięwzięcie. – Położył czaszkę na blacie. – Czy wiesz, dlaczego jesteś potrzebny Dziecku Śmierci tak samo jak Zielonooki?

Potrząsnąłem głową.

– Ja wiem.

– Dziecko Śmierć mnie potrzebuje?

– A jak myślisz, dlaczego się tu znalazłeś?

– Czy z powodu... inności?

– Zasadniczo tak. Siadaj i słuchaj. – Pająk odchylił się do tyłu i rozparł w fotelu. Ja się nie poruszyłem. – Dziecko Śmierć może zmieniać wszystko w zakresie, na jaki pozwala mu jego inteligencja. Może zmienić skałę w drzewo, a mysz w kępkę mchu. Ale nie może stworzyć czegoś z niczego. Nie może także wziąć tej czaszki i zostawić próżnię. A Zielonooki potrafi takie rzeczy. Dlatego właśnie Dziecko Śmierć go potrzebuje.

Przypomniałem sobie, jak w górach ten złośliwy rudzielec usiłował swymi wizjami skusić księcia-poganiacza.

– On potrzebuje także muzyki, Lobey.

– Muzyki?

– Dlatego cię ściga, lub raczej pozwala, żebyś ty go ścigał. On potrzebuje rozkazów. On potrzebuje wzorów. On potrzebuje wiedzy płynącej stąd, że sześć kolejnych nut pozwala przewidzieć siódmą, że trzy dźwięki określają tonację, że melodia określa gamę. Muzyka jest czystym językiem relacji czasowych. On nic o tym nie wie, Lobey. Dziecko Śmierć może kontrolować, ale nie może rozkazywać. I dlatego właśnie potrzebuje ciebie.

– Ale jak...

– Tego się nie da wyrazić ani w twoim prostym wiejskim języku, ani w moim, bardziej wyrafinowanym – miejskim. Inaczej, Lobey. Rzeczy zachodzące w świecie inności mają swe surrealistyczne następstwa w teraźniejszości. Zielonooki ma zdolność kreowania, ale jest to pośredni efekt czegoś innego. Ty odbierasz i tworzysz muzykę, ale to również tylko pośrednio mówi o tym, kim jesteś...

– A k i m jestem?

– Jesteś... czymś innym.

W moim pytaniu brzmiało żądanie. W jego odpowiedzi pobrzmiwał chichot.

– On potrzebuje was obu – kontynuował Pająk. – Co zamierzasz mu dać?

– Zamierzam zatopić mu maczetę w brzuchu, aż krew zaleje dziurki i wycieknie przez ustnik. Znajdę go na dnie morza. Ja... – Miałem otwarte usta; nagle tak mocno wciągnąłem powietrze, że wywołało to ból w piersi. – Boję się – wyszeptalem. – Pająku, boję się.

– Dlaczego?

Spojrzałem na niego. Mrugał miarowo powiekami osłaniającymi czarne oczy.

– Ponieważ nie zdawałem sobie sprawy, że jestem tak bardzo samotny. – Złączyłem dłonie na rękojeści maczety. – Jeśli mam znaleźć. Frizę, muszę to zrobić sam; jej miłość może mi tylko w tym przeszkodzić, więc muszę odrzucić tę miłość. Ty nie jesteś po mojej stronie. – Poczulem, że mój głos stwardniał, ale nie z powodu strachu. To był smutek, który powstaje na dnie gardła; gorycz, sprawiająca, że kaszлемy, zanim zaczniemy płakać. – Jeśli nawet znajdę Frizę, nie będę wiedział, co znalazłem.

Pająk czekał, aż zapłaczę. Nie dałem mu tej satysfakcji, więc po chwili powiedział:

– Skoro naprawdę to wiesz, myślę, że mogę cię wpuścić.

Podniosłem wzrok.

Odpowiedział na moje milczące pytanie:

– Jest tutaj ktoś, kogo musisz zobaczyć.

Wstał, w dłoni trzymał sakiewkę, w której pobrzękiwały monety. Rzucił, a ja ją złapałem.

– Kto?

– Gołębica.

– To ta, którą widziałem na tablicach i plakatach? Ale kim...

– Kim ona jest? – dokończył Pająk. – Gołębica to Helena Trojańska, Star Anthim, Maria Montez i Jean Harlow.

– A ty? – zapytałem. – Jesteś Judaszem, Minosem i Patem Garrettem. Kim jesteś dla niej?

Ubawiony, Pająk parsknął pogardliwie:

– Skoro Gołębica jest Jean Harlow, to ja jestem Paulem Burnem.

– Ale dlaczego?

– Daj już spokój, Lobey. Pora iść.

– Idę – powiedziałem. – Idę.

Byłem zmieszany. Szedłem do drzwi, oglądając się na Pajaka. Nagle poganiacz cisnął trzymaną w ręku czaszkę: przeleciała obok mnie, obróciła się kilka razy i roztrzaskała o ścianę. Pająk zaśmiał się. Był to przyjazny śmiech, bez złośliwych migotań rybich łusek i owadzych skrzydeł, które pobłyskiwały w śmiechu Dziecka Śmierci. A jednak wystraszyłem się śmiertelnie. Uciekłem. Drzwi zatrzasnęły się za mną. Słońce uderzyło mnie w twarz.

Safona, Fragment

Tego ranka schroniłem się przed deszczem w herbaciarni pełnej robotników portowych. Żółte chmury z mżawką przepływały nad Bosforem. Znalazłem człowieka mówiącego po francusku, dwu innych znało grecki. Rozmawialiśmy o podróżach i ogrzewaliśmy palce szklankami herbaty. We czwórkę okrążyliśmy glob. Radio zawieszona nad piecem nadawało rytmiczną muzykę turecką na przemian z Aznavourem i Beatlesami. Lobey rozpoczął ostatni etap swej podróży, ale nie byłem w stanie teraz o tym myśleć. Kiedy deszcz ustał, poszedłem wzdłuż rozłożonego na nabrzeżu rybnego targu. Srebrne ryby spreparowano w ten sposób, że ich skrzela wyciągnięto na zewnątrz, tak że każda głowa była ukoronowana krwawym kwiatem. Ulica drewnianych domów ciągnęła się w górę, w kierunku centrum miasta. Niedawno szalał tu pożar. Kilka domów było zupełnie spalonych. Ich wysokie, zwęglone ściany pochylały się nad brukami, gdzie dzieci kopały w błocie skórki pomarańczy. Inna grupka dzieci gonila rudowłosego chłopca. Miał mokrą twarz; potknął się w błocie i umknął przede mną. Jego buty miały przydeptane pięty. Być może, przepisując, zmienię czarny kolor włosów Dziecka Śmierci na rudy. Wędrowałem wzdłuż muru pałacu Topkapi, strącając z chodnika mokre liście. Zatrzymałem się przy Błękitnym Mecze. Niebieskie wzory piętrzyły się na ścianach świątyni nade mną. Było bardzo spokojnie. Za tydzień są moje urodziny. Niebawem znów zacznę żmudny proces nakładania kolejnych misternych zdobień na ornament powieści. Czułem chłód kamieni pod bosymi stopami. Wzory ciągnęły się w nieskończoność, absorbując wzrok i myśli. Na zewnątrz założyłem buty i skierowałem się na ukos przez dziedziniec. Na piętrze starej herbaciarni, w parku naprzeciwko, usiadłem w kącie, z dala od pieca, i usiłowałem wymyślić zakończenie mojej powieści. Wkrótce znów do tego wrócę. Dobre zakończenie nie powinno wyjaśniać wszystkiego do końca.

Dziennik pisarza, Stambuł, marzec 1966

Jakie ty masz kwalifikacje? Ośmielasz się zatrzymywać na Wschodzie, gdzie przebywaliśmy? Obawiasz się słońca? Czy gdy słyszysz, jak rosnące młode fiołki przeciskają się między grudkami ziemi, potrafisz być stanowczy?

Emily Dickinson, List do KS. Turnera

“Perła” zaskoczyła mnie. Milion ludzi to zbyt wiele, aby mógł wyróżnić się wśród nich osobnik ze slumsów. Co innego, gdyby znalazł się w otoczeniu osób z wyższych sfer. Tego wieczora zobaczyłem szyla na ulicy. Zajrzałem do sakiewki. Pająk dał mi dostatecznie dużo pieniędzy.

Czarne drzwi oświetlone karmazynowym neonem otworzyły się. Wszedłem po schodach zalanych pomarańczowym światłem. Czułem zapach perfum. Panował hałas. Mocno trzymałem maczetę. Zdeptane setkami stóp dywany były wytarte. Ktoś olejną farbą namalował martwą naturę na ścianie po lewej: owoce, pióra i instrumenty miernicze na pomarszczonym kawałku skóry. Głosy, tak. Jednak

w miejscu, gdzie nerwy słuchowe łączą się z mózgiem i dźwięk zamienia się w muzykę – panowała cisza.

– Lo? – zagadnął mnie pies u szczytu schodów.

Byłem zmieszany.

– Lo Lobey – powiedziałem, spoglądając na jego zimne oblicze, i uśmiechnąłem się. Oblicze pozostało zimne.

Stała na balkonie półpiętra, ponad wypełniającym salę tłumem uczestniczącym w jej przyjęciu. Przechylna przez barierkę zawołała, śmiejąc się kontraltem:

– Kim jesteś?

Była piękna. Miała na sobie obcisłą srebrną suknię z głębokim dekoltem ukazującym małe piersi. Jej usta wyglądały tak, jakby były stworzone do śmiechu. Jej włosy, tak jasne jak włosy Małego Jona, były w nieznacznym nieładzie. Osobą, do której się zwróciła, byłem ja.

– Tak, tak. Ty, głuptasie. Kim jesteś?

Zupełnie wyleciało mi z głowy, że gdy ktoś się do ciebie zwraca, należy mu odpowiedzieć. Pies kaszlnął i zaanonsował:

– Hm... oto Lo Lobey!

W tym momencie wszyscy w sali umilkli. Uświadomiłem sobie, jak wielki panował tu przed chwilą hałas. Brzęk kieliszków, szepty, śmiech, rozmowy, skrzypienie podłogi pod stopami, szuranie nówek foteli – chciałem, żeby to wszystko znów się zaczęło. W drzwiach z boku sali, ozdobionych wizerunkiem dwu splecionych węży, stał Pistolet. Najwyraźniej przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Dostrzegł mnie, zamknął oczy, westchnął i nacisnął klamkę.

– No, nareszcie, Lo Lobey. Myślałam już, że nigdy tu nie dotrzesz – powiedziała Gołębica. – Pistolecie, przynieś fotel.

Byłem zaskoczony. Pistolet otworzył usta ze zdumienia, ale przyniósł fotel. Z wyciągniętą maczetą szedłem w stronę Gołębicy pomiędzy stołami, kwiatami, świecami i gobelinami. Mijałem mężczyzn z siedzącymi u ich stóp psami na złotych łańcuchach oraz kobiety z malowanymi powiekami i piersiami uwięzionymi w klatkach z mosiężnej siateczki lub srebrnego drutu. Wszyscy oglądali się za mną.

Wszedłem po schodach na balkon Gołębicy. Dziewczyna opierała się biodrem o barierkę i wyciągnęła do mnie rękę.

– Jesteś przyjacielem Pajaka – powiedziała. W jakiś sposób sprawiała, że czułem się bardzo dobrze, słuchając jej głosu. – Pistolecie – obróciła się; fale światła ześliznęły się po jej sukni – postaw ten fotel obok mojego.

Garbus zrobił to i usiedliśmy na brokatowych poduszkach. W towarzystwie Gołębicy, siedzącej naprzeciw, trochę trudno było mi patrzeć na cokolwiek innego. Pochyliła się ku mnie, oddychając głęboko.

– Powinniśmy porozmawiać. O czym chciałbyś ze mną mówić?

Obserwowanie oddychającej kobiety jest fascynujące.

– No... cóż... ja... – Użyłem całej siły woli, aby na powrót skupić uwagę na jej twarzy. – Czy mieć dziewięć tysięcy to naprawdę taka wielka frajda? (Czy myślicie, że wiedziałem, o czym mówię?)

Zacząła się bezgłośnie śmiać. Co było chyba jeszcze bardziej fascynujące.

– Ach! – westchnęła. – Sam musisz spróbować i sprawdzić to.

W tym momencie wszyscy znów zaczęli rozmawiać. Gołębica ciągle mi się przyglądała.

– Co robisz? – zapytałem. – Pająk powiedział mi, że możesz mi pomóc odnaleźć Frizę.

– Nie wiem, kim jest Friza.

– Ona była... – Gołębica znówu głęboko westchnęła. – Ona także była piękna.

Jej twarz wyrażała silne wzruszenie.

– Tak – powiedziała.

– Nie sądzę, byśmy mogli rozmawiać o tym tutaj. – Patrzyłem na Pistoleta, który ciągle krążył w pobliżu. – Mój problem polega niezupełnie na tym, o czym myślisz.

Uniosła przyciemnioną brew.

– To jest trochę...

– Och! – powiedziała i uniosła podbródek.

– Ale ty? – zapytałem. – Co robisz? Kim jesteś?

Jej łuk brwiowy stał się bardziej ostry.

– Pytasz poważnie?

Skinąłem głową.

Zmieszana, popatrzyła na ludzi wokół niej. Nikt jednak nie zamierzał jej nic wyjaśniać, więc ponownie spojrzała na mnie. Jej wargi rozchyliły się i na powrót złączyły; jej powieki kilkakrotnie unosiły się i opuszczały.

– Mówią, że jestem kimś, kto sprawia, że wszyscy mogą się ciągle kochać.

– W jaki sposób to robisz? – zapytałem.

Ktoś obok niej powiedział:

– Czy on naprawdę nie wie?

Ktoś inny dodał:

– Czy on nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia ciągłego krzyżowania się z sobą?

Gołębica położyła palec na ustach. Wszyscy umilkli.

– Muszę mu powiedzieć. Lobey... tak masz na... imię, prawda?

– Pająk powiedział mi, bym z tobą porozmawiał... – zacząłem. Chciałem przyczepić się do jej świata za pomocą haków informacji.

Uśmiechnęła się.

– Próbujesz upraszczać. Pająk. Wielki Lord Lo Pająk? Zdrajca, fałszywy przyjaciel, ten, który podpisał wyrok śmierci na Zielonookiego. Nie zaprzataj sobie głowy tym przeklętym człowiekiem. Spójrz na siebie, Lobey. Co byś chciał wiedzieć...

– Wyrok śmierci...

Dotknęła mego policzka.

– Bądź egoistą. Czego pragniesz?

– Frizy! – krzyknąłem, niemal wstając ze swego fotela.

Gołębica usiadła.

– Pytałam cię już o to, ale mi nie odpowiedziałeś. Kim jest Friza?

– Ona... – powiedziałem i urwałem. – Ona była prawie tak piękna jak ty.

Dziewczyna opuściła podbródek i spojrzała na mnie. Jej jasne oczy pociemniały.

– Tak.

To słowo wyplęnęło z jej ust wraz z oddechem, bez dźwięku. Uporczywe, pytające spojrzenie nadawało jej twarzy nieco szorstki wyraz.

– Ja... – zacząłem. Niewłaściwe słowo. – Ona...

Czułem się tak, jakby jakaś pięść wewnątrz usiłowała uderzyć mnie w żebra, ale w ostatniej chwili zatrzymała się, otworzyła, po czym powędrowała do góry i zaczęła drapać wnętrze mej twarzy. Piekło mnie czoło, policzki i oczy.

Gołębica ponownie westchnęła.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. – Udało mi się opanować. – Nie rozumiesz.

Wszyscy znowu patrzyli na nas. Dziewczyna rozejrzała się, przygryzła wargę i ponownie spojrzała na mnie.

– Ty i ja jesteśmy... niezupełnie tacy sami.

– Co?... och! Ale... Gołębico...

– Tak, Lobey?

– Gdzie ja jestem? Przybyłem tu z wioski, znikąd, spotykałem po drodze drapieżne rośliny i smoki. Odrzuciłem swoje “Lo”, szukając mojej martwej dziewczyny i polując na nagiego kowboja, okrutnego jak pejcz Pajaka. A gdzieś tam pewien brudny jednooki książę wkrótce... umrze. Gdzie ja jestem, Gołębico?

– Jesteś bardzo blisko pewnego starego miejsca zwanego Piekłem – powiedziała szybko. – Można tu wejść tylko poprzez śmierć lub pieśń. Będziesz jednak potrzebował pomocy, gdybyś chciał się stąd wydostać.

– Szukałem mojej ciemnej dziewczyny, a znalazłem ciebie, srebrzystą.

Wstała, powodując, że uderzyły we mnie ostrza światła odbitego od sukni. Jej zgrabna ręka osunęła się wzdłuż biodra. Schwyciłem ją moją szorstką dłonią.

– Chodźmy – powiedziała.

Poszedłem z nią.

Gdy schodziliśmy po schodach, oparła się na moim ramieniu i wyszeptała:

– Obejdziemy salę dookoła. Musisz zdecydować, czy będziesz słuchał, czy patrzył. Wątpię, czy zdołasz robić obie rzeczy jednocześnie. Ja nie potrafię, ale możesz spróbować.

Gdy okrążyliśmy salę, uderzałem się w goleń trzymaną na płask maczetą.

– Jesteśmy już bardzo wyczerpani, próbując być ludźmi, Lobey – mówiła Gołębica. – Aby przeżyć jeszcze choćby dziesięć pokoleń, musimy bez przerwy mieszać nasze geny.

Stary człowiek opierał się brzuchem o blat stolika, gapiąc się na dziewczynę siedzącą naprzeciwko. Jego towarzyszka oblizwała usta. Miała zdumiewająco piękne błękitne oczy. Jej kości policzkowe drwiły ze starca.

– Nie można zmusić ludzi, aby mieli dzieci z wieloma partnerami. Ale można uczynić tę ideę jak najbardziej atrakcyjną. – Gołębica spuściła wzrok.

Przy następnym stoliku siedziała kobieta, której twarz sprawiała wrażenie nieco obwisłej. Ale się uśmiechała. Jej dłoń oplatała smukłe palce młodzieńca siedzącego po przeciwnej stronie.

Umalowyanymi oczyma spoglądała zazdrośnie na jego trzepotliwe powieki, ciemne jak oliwki, i na jego rozwichrzone włosy, bardziej błyszczące niż jej upięta fryzura.

– Kim jestem, Lobey? – Była to raczej sugestia niż pytanie. – Jestem główną postacią ogromnej kampanii reklamowej. Jestem kimś dobrym i zarazem złym, kimś dzikim; każdy mnie pragnie lub pragnie być do mnie podobny; jestem kimś, kto preferuje dziewięćdziesięciu dziewięciu zamiast jednego. Jestem tą, której mężczyźni doszukują się w każdej swojej partnerce. Jestem tą, której uczesanie naśladują wszystkie kobiety, jak również, wzorując się na moich strojach, dostosowują do nich długość swoich sukni i głębokość dekoltów. Cały świat małpuje skradzione mi powiedzonka, gesty, a nawet pomyłki, wypróbowując je na każdym nowym kochanku czy kochance.

Para przy kolejnym stoliku najwidoczniej zapomniała, że czterdziestkę mają już za sobą. Byli szczęśliwi i bogaci. Zazdrościłem im.

– Kiedyś – kontynuowała Gołębica, naciskając moją dłoń palcem wskazującym – te sprawy załatwiały orgie i sztuczne zapłodnienie. Ale teraz ciągle musimy zwalczać bierność. I ja właśnie to robię. W związku z tym za chwilę pewnie zadasz mi następne pytanie.

Dwoje młodych naprzeciw nas trzymało się za ręce i chichotało. Kiedyś myślałem, że dwadzieścia jeden lat to poważny wiek, ale było to dawno. Te dzieciaki miały wszystko przed sobą, wszystkiego się jeszcze uczyły. Lękali się tego, co ich czeka, a jednocześnie byli bezgranicznie szczęśliwi.

– Odpowiedź – odezwała się Gołębica, więc znowu na nią spojrzałem – tkwi w szczególnych zdolnościach, które posiadam i które ułatwiają mi pracę.

Palec, który naciskał dłoń, dotykał teraz moich warg. Dziewczyna zmarszczyła brwi, prosząc, bym się nie odzywał. Ujęła moją maczetę i uniosła ją.

– Zagrasz, Lobey?

– Dla ciebie?

Zatoczyła ręka krąg.

– Dla nich. – Odwróciła się do tłumu. – Uwaga, wszyscy! Chcę, żebyście się uciszeli. Chcę, żebyście posłuchali. Macie milczeć...

Umilkli.

– ...i słuchać.

Słuchali. Wiele osób wsparto głowy na łokciach. Gołębica odwróciła się do mnie i skinęła głową. Spojrzałem na maczetę.

Po przeciwnej stronie sali Pistolet trzymał się za głowę. Uśmiechnąłem się do niego. Usiadłem na skraju pustego stolika i przebiegłem palcami rąk i nóg po dziurkach maczety.

Zagrałem pojedynczy ton. Spojrzałem na ludzi. Zagrałem następny i roześmiałem się. Młoda para roześmiała się również.

Zagrałem dwa dźwięki jeden po drugim: niski i wysoki.

Zacząłem wystukiwać dłońmi twardy, powolny rytm. Grałem wyłącznie za pomocą stóp. Młoda parę to także rozbawiło. Kołysałem się na brzegu blatu; zamknąłem oczy, wybijałem rytm dłońmi i grałem. Z tyłu ktoś zaczął klaskać do taktu. Uśmiechnąłem się, nie przerywając grania (co było trudne), i dźwięk pojaśniał. Pamiętałem muzykę, którą znalazłem w głowie Pajaka, i postanowiłem spróbować czegoś, czego dotąd nie robiłem. Pozwoliłem jednej melodii rozwijać się, nie grając jej, a jednocześnie zagrałem inną melodię. Dźwięki splatały się harmonijnie, w rytm wyznaczony przez następujące po sobie klaśnięcia. Zostawiłem więc je samym sobie i zawiesiłem nad nimi trzecią

melodię. Wsadziłem muzykę do wirówki, do miksera, a moje palce uparcie wybijały rytm na obrusie. Grałem, patrząc twardo na otaczających mnie ludzie. Obserwowałem, jak narasta w nich muzyka. Kiedy już byli nią wypełnieni, zacząłem tańczyć. Ruchy powtarzały się. Wykonywanie tańca to coś zupełnie innego niż tańczenie z kimś. Tańczyłem na stole. Smagałem ich wszystkich muzyką. Dźwięk rodził się z dźwięku. Akordy otwierały się jak rozwijające się kwiaty. Ludzie zaczęli krzyżeć. Wydmuchiwałem na nich moje rytmy, wpychałem im nuty w kręgosłupy, podobnie jak wpycha się drut w kręgosłup żaby, odrdzieniając ją. Ludzie zaczęli wiercić się w fotelach. Włączyłem do muzyki czwartą linię melodyczną, pozostającą w dysonansie do pozostałych. Kilka osób zaczęło tańczyć wraz ze mną. Sprawilem, że muzyka prowadziła ich; podrygiwali w jej rytm. Stary człowiek potrząsnął ramionami przed niebieskooką dziewczyną. Klap. Młodzi podskakiwali ramię przy ramieniu. Klap. Para w średnim wieku mocno trzymała się za ręce. Klap. Dźwięki piętrzyły się. Klap. Przez moment cisza. Klap. A potem, jakby coś ich uwolniło: wszyscy nagle oszaleli i podobnie jak stado smoków zaczęli jęczeć, uderzając się po udach i brzuchach w takt czterech melodii.

Na podwyższeniu, gdzie stał stolik Gołębicy, ktoś otworzył szerokie okna. Zimny powiew na mych spoconych plecach sprawił, że zakaszlałem. Flet warknął. Ten powiew uświadomił mi, jak gorąco było w zamkniętej sali. Tancerze przenieśli się na półpiętro, gdzie ściany były wyłożone czerwono-błękitnymi kafelkami. Śledziłem ich wzrokiem. Kilkoro z nich odpoczywało, opierając się o barierkę. Odjąłem od ust maczetę i rozglądałem się wokół...

Coś przykuło mój wzrok. Srebrna sukienka marszczyła się na wietrze. Ale to nie była Gołębica. Uniosła ciemne palce do brązowego policzka, jej pełne usta były rozchylone. Zamrugła i przesunęła ręką po włosach, rozglądając się wśród tancerzy, którzy co jakiś czas zasłaniaли ją przed moim wzrokiem.

Ciemna Friza...

Powróciła i przesuwiała się między tancerzami...

Tak bardzo za nią tęskniłem...

Kiedyś wśród poganiaczy byłem tak głodny, że aż mnie to przerażało. Teraz czułem takie samo przerażenie. A nawet większe. Muzyka grała się sama. Maczeta ciążyła mi w ręce. Friza rzuciła kiedyś kamyk...

Pobiegłem ku niej, zagłębiając się w labirynt tancerzy.

Zobaczyła mnie. Chwyciłem ją w ramiona; przytuliła się do mnie, policzek na mej szyi, pierś na mej piersi, ręce mocno oplecione wokół mych pleców. Jej imię krążyło mi w głowie. Wiem, że sprawiałem jej ból. Jej pięści wpijały mi się w plecy, aż bolało. Moje szeroko otwarte oczy były pełne łez. Chciałem być otwarty na nią, na wszystko, co się z nią wiązało. Nic w niej nie drżało. Przytulałem jej szczupłe ciało; moje ramiona zwały się nieco mocniej, rozluźniły się na chwilę i ponownie zwały.

Po drugiej stronie stało samotne drzewo poskręcane od oszalałego słońca. Wisiał na nim Zielonooki. Sznur biegł od pachwiny ku rozpiętym na konarach ramionom. Głowa opadała tak nisko, że kark musiał być złamany. Powróż, którym przywiązano ramiona do drzewa, werznął się w ciało, tak że ramiona lśniły od krwi.

Friza obróciła się w mych ramionach, aby zobaczyć, na co patrzę, i szybko zakryła mi oczy rękami. W jej ciemnych dłoniach rozpoznałem muzykę. Był to wielogłosowy, rytmiczny, przedziwny hymn żalobny, którym dziewczyna zasłaniająca mi oczy oddawała hołd zamęczonemu księciu.

Przez muzykę dotarł do mnie szept:

– Lobey, bądź ostrożny. – Był to głos Gołębiczy. – Czy chcesz to lepiej obejrzeć?

Palce ciągle spoczywały na mych oczach.

– Mogę zaglądać do wnętrza twojej głowy. Ty umarłeś, Lobey. Gdzieś tam, w skałach i deszczu, umarłeś. Czy chcesz się temu przyjrzeć...

– Nie jestem duchem!

– Och, ty jesteś realny, Lobey! Ale być może...

Szarpnąłem głową, ale ciemność ciągle trwała.

– Czy chcesz się czegoś dowiedzieć o Dziecku Śmierci?

– Chcę wiedzieć wszystko, co pomoże mi go zabić.

– Więc posłuchaj. Dziecko Śmierci może przywrócić do życia tylko tych, którym życie zabrał, i tylko ich może trzymać w swojej mocy. A czy ty wiesz, kto ciebie przywrócił do...

– Zabierz ręce.

– Musisz dokonać wyboru, Lobey. I to szybko! – wyszeptała Gołębica. – Czy chcesz zobaczyć to, co jest przed tobą naprawdę, czy też to, co widziałeś przedtem?

– Twoje ręce. Przecież nie mogę nic widzieć, gdy trzymasz ręce na moich... – Umilkłem, przerażony tym, co powiedziałem.

– Jestem bardzo utalentowana, Lobey. – Delikatny nacisk zelżał, i do mych oczu dotarło światło. – Muszę doskonalić moje zdolności, aby przeżyć. Nie można ignorować praw świata, który się wybrało...

Złapałem spoczywające na mej twarzy ręce za nadgarstki i pociągnąłem w dół. Po krótkim oporze poddały się. Były to ręce Gołębiczy. Zielonooki wciąż wisiał na drzewie.

Chwyciłem Gołębicę za ramiona.

– Gdzie ona jest?! – krzyknąłem.

Rozejrzałem się po tarasie. Friza zniknęła. Potrząsałem stojącą przede mną dziewczyną, a ona odsunęła się i oparła o barierkę.

– To ja stałam się twoją ukochaną. Na tym między innymi polegają moje zdolności. Dlatego mogę być Gołębicą.

Potrząsnąłem głową.

– Ale ty... – zacząłem.

Pogładziła swoje ramię. Jej ręka wsunęła się pod srebrny materiał, aby poprawić ułożenie sukni.

– A oni... – Wskazałem na tancerzy. Młodzi, ciągle trzymając się za ręce, wskazywali na park i chichotali. – Oni nazywają cię La Gołębica.

Uniosła głowę, odrzucając do tyłu srebrne włosy.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Kto ci to powiedział, Lobey? Kto ci to powiedział? Jestem Le Gołębica.

Zadrzałem. Gołębica wyciągnęła szczupłą rękę.

– Nie wiedziałeś o tym? Naprawdę nie wiedziałeś, Lobey?

Odsunąłem się od niej, unosząc maczetę.

– Lobey, my nie jesteśmy ludźmi! Żyjemy na ich planecie, ponieważ oni ją zniszczyli. Próbuje przyjąć ich kształty, ich wspomnienia, ich mity. Ale one do nas nie pasują! To złudzenia, Lobey. To

on cię przywrócił do życia: Zielonooki. I on jest jedynym, który może ci przywrócić, naprawdę przywrócić twoją Frizę.

– Zielonooki?

– My nie jesteśmy tacy sami jak oni. My jesteśmy...

Odwróciłem się i uciekłem z półpiętra.

Biegając okrążałem salę. Zatrzymał mnie pies, który warknął:

– Lo Lobey! – Siedział na podeście, gdzie odbywało się przyjęcie Gołębicy. – Zaczekaj. Czy oglądałeś specjalny pokaz, z którego słynie “Perła”?

Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, pies wcisnął nosem przycisk w ścianie.

Podłoga sali zaczęła się obracać. Ogarnięty histerią, uświadomiłem sobie, co się dzieje. Składała się z dwu warstw spolaryzowanego plastyku, ułożonych jedna nad drugą. Górna warstwa się obracała, dolna była nieruchoma. Obie powoli stawały się przezroczyste. Zobaczyłem sylwetki poruszające się wśród kamiennych ścian w dole, pod nogami stolików i foteli.

– “Perła” jest zbudowana nad jednym z korytarzy klatki w Branning-at-sea. Spójrz: oni snują się wśród skał i zapadlisk, jeden właśnie spada, drugi trzyma się kurczowo ściany, przygryzając do krwi własny język. Nie ma tu dozorczy. Stary system komputerowy, którego ludzie używali do wywoływania Psychicznej Harmonii i Enigmatyczno-Delirycznych Reakcji Asocjacyjnych, troszczy się o iluzje dla uwięzionych. Spełniają im się wszystkie marzenia...

Rzuciłem się na podłogę i przycisnąłem do niej twarz.

– PHAEDRA! – krzyknąłem. – PHAEDRA, gdzie ona jest?

– Cześć, dzieciaku!

Światelka błyskały w mroku pode mną. Para o zbyt wielkiej liczbie ramion stała objęta pod mrugającą maszyną.

– PHAEDRA...

– To ciągle jest niewłaściwy labirynt, dzieciaku. Możesz doznać tu kolejnej iluzji. Ona pójdzie wraz z tobą do drzwi, ale kiedy się odwrócisz, aby sprawdzić, czy naprawdę tu będzie, zobaczysz, że jesteś sam. Nie ma co zawracać sobie tym głowy. – Głos był przytłumiony przez plastikową podłogę. – Matka rządzi tu wszystkim. Nie graj już na tym twoim cholernym nożu. Musisz spróbować wydostać dziewczynę w jakiś inny sposób. Wszyscy jesteście po prostu kłębkiem uczuć, wielopłciowymi i niematerialnymi, które pragną nałożyć sobie ograniczającą maskę człowieczeństwa. Odwróć się, Lobey. Spróbuj wyrzeć poza ramię lustro...

– Gdzie...

– Czy błagałeś już o spełnienie twej prośby pod drzewem?

Pode mną potępieńcy ślinili się, zataczali i bełkotali w głębinach klatki, poniżej mrugającej PHAEDRY. Podniosłem się i wyszedłem z sali. Pies warknął, gdy mijalem drzwi.

Potknąłem się na schodach i odzyskałem równowagę o cztery stopnie dalej, chwyciwszy się poręczy. Budynek wyrzucił mnie do parku. Wokół piętrzyły się metalowe wieże z tysiącami widzów tańczących na tarasach, tłoczących się w oknach i śpiewających.

Stałem pod drzewem i zagrałem. Moja muzyka błagała. Powiązałem akordy w grupy dźwięków, które prosiły o decyzję. Zacząłem pokornie, i pieśń oczyściła mnie. Zatraciłem się w grze. Pojawił się gniew. Przesłałem go Zielonookiemu w muzyce. Była też miłość. Rozbrzmiewała w pieśniach dobiegających z okien.

W miejscu gdzie ramię wiszącego przywiązane było do gałęzi, kość była złamana. Ręka zwisała bezwładnie i...

...i nic się nie stało. Wrzasnąłem zawiedziony i wściekły. Uchwyciłem maczetę obiema rękami i wbiłem ją w udo Zielonookiego, aż ostrze dotarło do drewna. Wrzasnąłem ponownie i dygocząc wyszarpnąłem maczetę.

I myśli naszły go ponure. Zmartwiony tym, wyszedł z pokoju W galileańskim niepokoju I ujrzał, popatrzwszy w górę, Babilońskiego nieba ciemność.

William Butler Yeats, Pieśń z pewnej sztuki teatralnej

Słyszałem, że daje pan za mnie 1000 dolarów, to znaczy, jak rozumiem, jeślibym stawiał się jako świadek... gdybym mógł pojawić się w sądzie, udzieliłbym pożądanых informacji, ale ponieważ jestem oskarżony o pewne rzeczy, które zdarzyły się w czasie wojny w hrabstwie Lincoln, obawiam się oddać w ręce sprawiedliwości, gdyż moi wrogowie zabiliby mnie.

William H. Bonney (Billy Kid),
List do gubernatora Lew Wallace'a

Chciałbym wieńcami wynagrodzić to zło.

Andrew Marvell, Diadem

Morze było wzburzone. Świt przesuwiał się nad wodą. Samotny wędrowałem po plaży. Dookoła leżało mnóstwo muszli. Nie mogłem uporządkować myśli. Przecież jeszcze wczoraj razem wjeżdżaliśmy do Branning. A dziś jego życie i moje złudzenia się skończyły. Za mną miasto jakby zmniejszyło się w świetle poranka. Czubek maczety złobił długą bruzdę w piasku.

Nie byłem zmęczony. Spacerowałem całą noc. A jednak coś we mnie powstrzymywało zmęczenie i niemal wcale go nie odczuwałem. Plaża o świcie była piękna. Wspiąłem się na wydmy zwieńczoną grzebieniem długich, szepczących traw.

– Hej, Lobey!

Coś we mnie rozwinęło się, jak zwolniona sprężyna zegarka.

– Jak się masz?

Siedział na kłodzie sterczącej z mokrego piasku u podnóża wydmy. Spoglądał na mnie, odgarniając włosy. Słońce błyskało w kryształkach soli na jego ramieniu i ręce.

– Czekam już bardzo długo. – Podrapał się w kolano. – Jak się masz?

– Nie wiem – powiedziałem. – Jestem zmęczony.

– Czy będziesz grał? – Wskazał na maczetę. – Zejdź tu do mnie.

– Nie chcę.

Piasek zaczął osypywać się spod moich stóp. Opuściłem wzrok i zobaczyłem, że część wydmy pode mną osuwa się. Zachwiałem się. Strach przypomniał o sobie. Upadłem i chwytając się rękami piasku, zsunąłem się w dół. Dziecko Śmierć chichotał, siedząc na kłodzie i przyglądając mi się.

– Czego chcesz? – wyszeptalem. – Zgubiłeś Zielonookiego. Czego chcesz ode mnie?

Dziecko Śmierć podrapał się w ucho, ukazując w uśmiechu mnóstwo małych zębów.

– Potrzebuję tego. – Wskazał na maczetę. – Czy myślisz, że Pająk naprawdę... – Urwał. – Pająk zdecydował, że Zielonooki, ty i ja nie możemy żyć w tym samym świecie; to zbyt niebezpieczne. Tak więc podpisał wyrok śmierci, i Zielonooki został powieszony, podczas gdy ty grałeś, a ja płakałem tu, nad morzem, gdzie nie widzi się łoż. Czy uwierzyłbyś w to?

– Ja nie... nie wiem.

– Wierzę, że Zielonooki żyje. Nie mogę go śledzić, tak jak pozostałych. On może być martwy. – Dziecko Śmierć pochylił się do przodu i obnażył zęby. – Ale nie jest.

Oparłem się plecami o piasek.

– Daj mi maczetę – poprosił.

Cofnąłem ramię. Nagle rzuciłem się do przodu i zadałem cios. Rudzielec odskoczył. Z kłody poleciały drzazgi.

– Jeśli mnie uderzysz – powiedział Dziecko Śmierć – przypuszczam, że będzie to nieprzyjemne. Będę krwawił. Znam twoje myśli i mogę od razu ci powiedzieć, że próby pozbycia się mnie w ten sposób są z góry skazane na niepowodzenie. – Wzruszył ramionami, uśmiechnął się, wyciągnął rękę i dotknął maczety.

Drgnęła mi ręka. Rudzielec wziął maczetę i przesunął palcami po dziurkach.

– Nie – westchnął. – Nie potrafię. – Oddał mi maczetę. – Pokaż mi, jak się to robi.

Wziąłem ją od niego, bo była moja i nie chciałem, by jej dotykał.

Dziecko Śmierć podrapał się lewą stopą w prawą piętę.

– No, śmiało. Pokaż mi. Nie chcę maczety. Potrzebna jest mi muzyka, która jest w niej. Graj, Lobey. – Skinął głową.

Przerażony, przytknąłem ustnik do warg.

– Śmiało.

Zadrgała pojedyncza nuta.

Dziecko Śmierć pochylił się, opuszczając złociste powieki.

– Teraz zamierzam wziąć wszystko, co pozostało – powiedział. Zahaczył o siebie palce rąk, a zaciśniętymi palcami nóg drapał ziemię.

Następna nuta.

Zacząłem grać trzecią.

To był dźwięk, ruch i odczucie – wszystko w tym samym momencie. Usłyszałem głośne chłaśnięcie: Dziecko Śmierć skulił się i złapał za szyję. Przejęła mnie groza, większa, niż mogłem sobie wyobrazić. Pająk, stojąc na szczycie wydmy, krzyczał:

– Graj, do diabła!

Patrzyłem na niego, trzymając maczetę.

– Dopóki grasz, on nie może używać swego umysłu!

Bicz ponownie zaświstał nad moją głową i uderzył Dziecko Śmierć, rozcinając mu do krwi skórę na piersi. Rudzielec odskoczył, potknął się o kłodę i upadł. Odsunąłem się na bok, usiłując ciągle wydobywać z maczety jakieś dźwięki.

Pająk ze śpiewającym biczem zszedł z wydmy na ramionach niczym ogromny krab.

Dziecko Śmierć, którego kolejne smgnięcie obróciło na brzuch, próbował się odczołgać. Skrzela wysunęły mu się spod włosów i opadły na szyję. Następne uderzenie bicza rozcięło mu plecy. Pająk

krzyczał do mnie:

– Nie przestawaj grać!

Dziecko Śmierć syczał i gryzł ziemię. Po chwili obrócił się na bok. Piasek oblepiał mu usta i brodę.

– Pająku... och, Pająku. Przestań! Proszę, przest...

Bicz rozciął mu policzek.

– Graj, Lobey! Graj, bo inaczej on mnie zabije! – krzyczał Pająk.

Moja melodia, za wysoka o oktawę, kłuła poranek.

– Aaaaach... nie, Pająku. Nie rań mnie już! – Dziecko Śmierć bełkotał, ukazując zakrwawiony język. – Nie... aaa-aa... to boli. To boli! Przecież jesteś moim przyjacielem, Pająku! Przecież jesteś moim... – Łkał przez chwilę. Kolejne razy rozcinały mu skórę.

Ramię Pająka ociekało potem.

– W porządku – powiedział Pająk i zwinął bicz, oddychając ciężko.

Miałem sztywny język i zdrętwiałe ręce. Pająk spoglądał na przemian na mnie i na Dziecko Śmierć.

– Skończone – powiedział.

– Czy to było... konieczne? – zapytałem.

Wbił wzrok w ziemię.

W krzaku nie opodal coś trzasnęło. Wyłonił się stamtąd sunący po piasku kolczasty pęd ozdobiony kwiatami.

Pająk zaczął wchodzić na wydmy.

– Chodź – powiedział.

Podążyłem za nim. Na szczycie wydmy obejrzałem się.

Głowę Dziecka Śmierci otaczał bukiet żarłoczych kwiatów, rozpychających się i walczących z sobą o najbardziej smakowite kąski – oczy i język.

Zaczęliśmy schodzić z pochyłości po drugiej stronie wydmy.

U jej podnóża Pająk odwrócił się do mnie i marszcząc brwi, powiedział:

– Otrząśnij się z tego, chłopcze. Właśnie uratowałem ci życie.

– Pająku...

– Co?

– Zielonooki... myślę, że coś zrozumiałem.

– Co rozumiałeś? Chodźmy, musimy już wracać.

– Podobnie jak Dziecko Śmierć, ja także mogę przywracać do życia tych, których sam zabiłem.

– Tak się stało w Pękniętej Krainie – rzekł Pająk. – Sam się przywróciłeś do życia. Najpierw pozwoliłeś sobie umrzeć, a potem wróciłeś. Teraz tylko Zielonooki może przywrócić życie twojej Frizie.

– Zielonooki – powtórzyłem. – Ale on nie żyje.

Pająk skinął głową.

– To ty go zabiłeś. Zabił go cios twojej... – Wskazał na maczetę.

– Och – powiedziałem. – Co się dzieje w Branning-at-sea?

– Rozruchy.

– Dlaczego?

– Ludzie niepokoją się o swoją przyszłość.

Na chwilę stanął mi przed oczami bukiet na twarzy Dziecka. Zrobiło mi się niedobrze.

– Wracam – powiedział Pająk. – Przyjdiesz?

Morze cofnęło się i osadziło na piasku spirale piany. Rozmyślałem przez chwilę.

– Tak. Ale jeszcze nie teraz.

– Zielonooki – rzekł Pająk, grzebiąc stopą w piasku – myślę, że będzie czekał na ciebie. I Gołębica też. Ona teraz prowadzi ich wszystkich do tańca i nie będzie skłonna, aby wybaczyć ci wybór, którego dokonałeś.

– A co to za wybór?

– Pomiędzy realnością i... resztą.

– I co ja wybrałem?

Pająk klepnął mnie po ramieniu uśmiechając się.

– Może będziesz to wiedział, gdy wrócisz. Dokąd się wybierasz? – zapytał i chciał się już odwrócić, ale powstrzymałem go.

– Pajaku?

Spojrzał na mnie.

– W mojej wiosce był człowiek, którego znudziło wiejskie życie, więc opuścił ten świat. Pracował na Księżycu i na zewnętrznych planetach, a potem odwiedził światy odległe o wiele gwiazd. Być może i ja się tam udam.

Pająk skinął głową.

– Ja też tak kiedyś zrobiłem. Wszystko na mnie czekało, gdy wróciłem.

– Jak tam jest?

– Nie będzie tak, jak myślisz. – Pająk uśmiechnął się i odszedł.

– Czy tam będzie... inaczej?

Brnął dalej przez piasek.

Blask poranka kładł się na morzu, spychając ciemność w odległą część plaży. Odwróciłem się i ruszyłem w tamtą stronę.

SAMUEL R. DELANY urodził się w prima aprilis 1943 r. w nowojorskim Harlemie. Studiował na Wyższej Uczelni Miejskiej, jednak nie ukończył studiów. "Klejnoty Aptorii", swoją pierwszą powieść, napisał w wieku lat dziewiętnastu. Niemal natychmiast stał się znanym i popularnym pisarzem. Czterokrotnie uhonorowano go Nagrodą Nebula, raz przyznano mu Nagrodę Hugo.

Jest autorem kilkunastu powieści, z których największym uznaniem cieszą się "The Fall of The Towers", "The Einstein Intersection", "Nova", "Dhalgren", "Triton" oraz "The Bridge of The Lost Desire".

Delany uważany jest, obok Ursuli K. LeGuin, Rogera Żelaznego, Thomasa Ditcha, za pierwszoplanową postać generacji pisarskiej, która w latach sześćdziesiątych doprowadziła do podniesienia S-F do rangi literatury artystycznej. Wybitny eksperymentator, świetny stylistą, Delany porównywany jest przez niektórych krytyków do J.L. Borgesa. Przez wielu uznany za najwybitniejszego żyjącego autora prozy fantastyczno-naukowej. Rozszerzył pulę tematów S-F, wprowadzając kontrowersyjne wątki obyczajowe, rozważania filozoficzne, problematykę władzy i odpowiedzialności.

Prowadzi także działalność eseistyczną i recenzencką. Po latach spędzonych w Europie powrócił do rodzinnego Nowego Jorku, gdzie mieszka i tworzy.